TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM I.

WARSZAWA.

1839.

779165

2.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nietoczy
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

POWRÓT JASIA.

(*Ballada.*)

Dziewczyna.

Przy krzewinie, przy strumyku,
Kukaj kukułko! dmuchaj wietrzyku!
Nadszedł już wieczór ponury,
Słońce się skryło za chmury,
Nie słychać tylko ptaszyn kwilenie,
I księżyc wschodzić zaczyna,
Wszędzie spokojność, wszędzie milczenie,
Jak samotności miła godzina,

Jak miłe jedno. . . . wspomnienie!
Przy krzewinie, przy strumyku,
Kukaj kukułko! dmuchaj wietrzyku!
Głos twój kukułko szmer jakiś głuszy,
Wspomnienie me łzy wyciska,
Ach! coś mnie dręczyć zaczyna,
Nadzieja w sercu mém błyska,
Żal mnie przenika do duszy,
Biédna ja, biédna dziewczyna.

Kukułka.

Czego płaczesz smutna?
Ach! luba dziewczyno,
Cóż twych łez przyczyną?
Czy miłość okrutna?
Zwiódł cię kochanek,
Straciłaś wianek;
Zwiódł i porzucił,
Odjechał, nie wrócił.
I godzina za godziną,
Czekasz kochaneczka,
Żałujesz wianeczka,
Biédna dziewczyno!...

Dziewczyna.

Lipka się zieleni,
W pośrodku laseczka,

Tam wśród drzewek cieni,
Ujrzałam Jasieczka;
Chłopiec jak kwiat róży,
Piękny, młody, hoży,
Zaledwo mnie zoczył,
Pokochał, uroczył;
Przysiągł mi w zapale,
Że mnie kocha stale.
Jam mu uwierzyła,
Jego postać miła,
I jego spojrzenie,
I czułe westchnienie,
Wierzyć mi kazało,
Ale cóż się stało!?
Pojechał, nie wrócił,
I mnie porzucił.
Rok drugi już się zaczyna,
Już wiosna niwy pozłaca,
A on nie wraca, nie wraca,
Biédna ja, biédna dziewczyna,
Kukułko! ty jak zanucisz,
Zamiast mię bawić, to smucisz,
Bo mój żal, głosek twój głuszy,
Wspomnienie me łzy wyciska,
I przytomna ciągle w duszy,
Przeszłego szczęścia godzina,
Łzy z oczu moich wyciska,

Choć nadzieja w sercu błyska,
Biédna ja, biédna dziewczyna.

Kukułka.

Nie smuć się luba dziewczyno,
Serce twe wcześnie się smuci,
Twój Jasio prędko powróci,
Ujrzysz go jeszcze dziewczyno!
Gdy spojrzy na ciebie,
Przytuli do siebie.
To i twe troski przeminą;
Nie smuć się, nie smuć dziewczyno.
Twój Jasio przyjedzie,
Przed ołtarz zawiedzie,
I w obec kapłana.
Powie, żeś ty dla niego na świecie jedyną.
A tak, zorza miłości błyśnie ci rożana,
Niesmuć się, nie smuć dziewczyno.

Dziewczyna.

Czy słońce ziemię pozłaca,
Czy noc swe cienie rozwija,
Chwila po chwili przemija,
A mój kochanek nie wraca.

Milę ztąd rzeka, za rzeką
Bór, w boru mała drożyna,
Dróżką tą jadąc daleko,
Mieszka Jasieczka rodzina.
Pod borem zwierząt są knieje,
I wilcy często tam wyją,
A w boru, w boru się kryją,
Ach! rozbójniki, złodzieje.
Jasio mój poszedł tą drogą,
Może go wilcy schwytali,
Lub rozbójnicy zabrali,
I dręczą, dręczą jak mogą.
Czy słońce ziemię pozłaca,
Czyli noc po dniu powróci,
Mnie wszystko dręczy i smuci,
Bo mój kochanek nie wraca.
W boru tym krzyż jest przy drodze,
Przy krzyżu mały kurhanek,
Sosna, przy sosny odnodze,
Rośnie, paprotka, rumianek.
Gdy przyjdzie nocna już pora,
Widać osobę tam w bieli,
Postać szatana, upióra,
Ludzie tam często widzieli.
Jasio tam w nocy przechodził,
Nie wierząc w mowy niczyje,

Upior go wzrokiem ugodził,
A upiór wzrokiem zabije!...
Czy słońce ziemię pozłaca,
Czyli noc po dniu powróci,
Mnie wszystko dręczy i smuci,
Bo mój kochanek nie wraca.
Kiedy odchodził w tę drogę,
Wrona tuż nad nim krakała,
Słońce okryła mgła biała,
Żaba mu przeszła przez nogę.
Kiedy mnie żegnał, łzy rosił,
Rumiane zbladły mu lica,
Gdy wtém zadrżała dzwonnica,
I dzwon sam wtenczas zadzwonił.
Nie wierzy gdy mu kto wróży,
Ale mu zaraz to była,
Babka z naszéj wsi, mówiła,
Że go coś spotka w podróży.

Wspomnienia miła godzina,
Łzy z moich oczu wyciska,
Nadzieja gaśnie i błyska,
Biédna ja, biédna dziewczyna!

Po wiośnie lato upływa,
Druga wiosna kwiatki sieje,
Strumyk płynie, wietrzyk wieje,
I kukułka znowu śpiéwa.

Lecz gdzież jest?.. gdzież jest dziewczyna?
Mała wśród lasu drożyna,
Przy drożynie pagórek,
A pagórek mech okrywa;
Klęknijmy, zmówmy paciórek.
Gdyż tam spoczywa,
Biedna dziewczyna.
W wieczór wiatr dzienny skwar studzi,
Kukułka kuka w gaiku,
I strumyk szmery swe wszczyna,
Cicho! kukawko, strumyku,
Bo się obudzi,
Ze snu dziewczyna.

Jaś.

Ty śpisz nieczuła dziewczyno,
Kryje cię z ziemi kurchanek,
A mnie bez ciebie łzy płyną,
Wszak to ja Jaś, twój kochanek.
Tyś dla mnie tak czułą była,
Wtém twoje serce śmierć studzi,
Ach! kukaj, kukułko miła,
Może się jeszcze obudzi.
Zbudzi się, miłość zabłyśnie
W jéj oczach i znowu zgaśnie,

Westchnie i znów mnie przyciśnie,
I zaśnie . . .
Przy krzewinie, przy strumyku,
Kukaj kukułko! dmuchaj wietrzyku,
Nadszedł już wieczór ponury,
Słońce się skryło za chmury.
Tak się me skryły nadzieje,
Które mi świeciły stale,
Groźny wiatr tylko dziś wieje,
A z nim i burze i fale.
Szczęśliwy! gdym tu przebywał,
Przy lubéj, czułéj dziewczynie,
Z nią m chodził, razem z nią m śpiewał,
I żyłem dla niéj jedynie.
Milę z tąd rzeka, za rzeką
Bór, w boru mała drożyna,
Za borem . . . bardzo daleko,
Mieszka tam moja rodzina.
Rodzina! . . widzieć ją miło,
Chwila mijała za drugą,
Choć serce ciągle tęskniło,
Jednak bawiłem za długo.
Powracam! szczęsna godzino!
Nadzieja szczęścia błysnęła,
Powracam! . . przez bór przez rzeki,
Powracam! . . gdzieżeś dziéwczyno?

Niestety! ona zasnęła,
na wieki . . .
Kryje ją z ziemi kurhanek,
Kurhan okryty krzewiną.
Obudź się, obudź dziewczyno,
Wszak to ja Jaś, twój kochanek,
Tyś dla mnie tak czułą była,
Dzisiaj śmierć serce twe studzi.
Ach, kukaj, kukułko miła,
Może się jeszcze obudzi.
Wiatr wieje . . głucho i ciemno,
Liść z szumem po drzewie pływa.
Ty śpisz kochanko szczęśliwa,
O Boże! cóż będzie ze mną?
Wspomnienia miła godzina,
Miłe przeszłości obrazy.
Biédnaś ty była dziewczyna,
Lecz jam biédniejszy sto razy.

Mała wśród lasku drożyna,
Przy drodze dom i kurhanek,
W kurhanku zmarła dziewczyna,
A w domku, smutny kochanek.

Józef Łopaciński.

MAGNETYZM.

Dnia 27 Sierpnia 1834 roku, zaproszony byłem na obiad, który dawał dyrektor jednéj z najznakomitszych pensji męzkich w Bruxeli. Kiedy wszyscy zaspokoili pierwszy apetyt, to jest po pierwszém daniu, milczenie zostało zerwane, i wszyscy zaczęli żywo rozmawiać o nowych wynalazkach i odkryciach najważniéjszych w naszym wieku. Para i koleje żelazne, otrzymały pierwsze miejsce, rozprawiano nad wpływem, jaki te wynalazki wywarły już na handel i inne stosunki towarzyskie, kiedy wtém ktoś odezwał się z wyrazem, będącym przedmiotem modnym powszechnéj rozmowy. Jeden z biesiadników wymienił wyraz *magnetyzm*, a natychmiast wagony zostały zapomniane w środku drogi. Młody professor łacińskiego języka, po pierwszym wyrazie zaraz, wykrzyknął: głupstwo! głupstwo! a jego koledzy podzielili się na dwie strony; ci mówili tak; tamci nie; najświeższe dowody przytaczano i zbijano znad-

zwyczajną szybkością. Ja byłem w liczbie niedowiarków, i odrzucałem dowody przeciwników zwykłą moją bronią, irońją. W pośród tego ognia dowodów, zbijań, poważnych rozpraw i żartów, gdy wszyscy odzywali się na poparcie zdań swoich, jeden tylko mój sąsiad z lewéj strony, professor rysunków, zachowywał najgłębsze milczenie, i nakoniec nie mogłem wstrzymać się, żeby go o przyczynę nie zapytać.

— Dla czegóż mam się mięszać do rozpraw, kiedy moje zdanie, z niczyjém się nie zgadza?

— Jakto, czyliż pan wierzysz i nie wierzysz razem?

— Nie to chciałem powiedzićć: całe towarzystwo dzieli się na dwa stronnictwa, jedni przypuszczają, drudzy przeczą.

— A pan?

— Ja jestem pewnym.

— O istnieniu i cudownych skutkach magnetyzmu?

— Tak jest.

— Nigdy nie będę zdania pańskiego,

— Może kto pana przekona.

— Ktoby też, ciekawym?

— Ja.

— Pan umiesz magnetyzować?

— Umiem.

— Pan umie magnetyzować!...mamy między nami magnetyzera!... ten pan jest magnetyzerem.

Podczas gdy te okrzyki brzmiały w sali, przyjrzałem się postaci magnetyzera.

Drobny, szczupły, ale nie słabéj budowy, miał on w twarzy swéj cóś takiego, co w oczach biegłego fizjonomisty, mogłoby mu uchodzić za dowód spokrewnienia z szatanem. Włosy jego dość ciemne, pokrywały w zupełnym nieporządku, dużą okrągłą głowę, a kilka promieni spadających na niskie ale bardzo wypukłe czoło, łączyło się z łukowatemi brwiami, pod któremi, szaro-zielone oczy, rzucały spojrzenia, których wyrazu niepodobna opisać. Przypadek który miał w dzieciństwie, dodawał jeszcze jeden więcéj rys do ogólnego wyrazu jego twarzy; na prawym jego policzku była ogromna blizna, pozostała po ranie, którą sobie zadał, upadłszy na gorący żelazny piec; blizna ta w dwóch miejscach dzieliła jego faworyty. Smiać się będziecie z mojéj prostoty, ale w pierwszéj chwili po przyjrzeniu się téj twarzy, cofnąłem o kilka cali moje krzesło.

Podczas krótkiéj chwili moich postrzeżeń, *mały czarownik*, bo tak go nazwały wszystkie damy, szczodrze wynagradzał sobie milczenie jakie dotąd zachowywał; niewymownie szybko, dowody jego i objaśnienia następowały jedne po drugich; biesiadnicy zaledwie mieli czas odezwać się niekiedy z wyrazem: dowody! wtedy gdy dla odetchnienia zostawił chwilowy przestanek w swéj mowie. Nakoniec stentororym głosem zawołał nauczyciel deklamacji.

— Dowody! mości panie, proszę nam dać dowody!...

A my chórem powtórzyliśmy:

— Prosiemy o dowody!!!...

Wtedy zarumienił się, zakaslał, i wyjąkał kilka wymówek, względem niesprzyjających okoliczności i miejsca. Ciągłe domagania się z jednéj strony, ciągłe odmowy z drugiéj. Potém, docinki, żarty, epigramy, jak grad sypnęły się na głowę biédnego magnetyzera.

Szczególniéj jeden młody nauczyciel, swawolniéjszy niż największy figlarz z pomiędzy jego uczni, ten sam, który najpierwéj odezwał się z wykrzyknikiem opozycjinym: *głupstwo*! wymierzał przeciw swemu koledze rysownikowi, najuszczypliwsze żarty. Nagle, *mały czarownik*, zniecierpliwiony, powstał i rzekł:

— Chcecie tego panowie? Dobrze więc, jestem gotów, będę magnetyzował. Kto chce być magnetyzowanym?

— Ja! ja! ja! zawołało dwadzieścia ust razem.

— Pan jesteś najbardziéj niedowierzającym i wyśmiewasz się z mojéj nauki, na panu chcę dać dowód. Siadaj na tém krześle i nie ruszaj się.

Młody professor usiadł na wskazaném miéjscu, naprzeciw niego stanął magnetyzer, spojrzał nań ostro, zaczął z lekka ściskać wielkie palce jego, aż do zrównoważenia się obu ciepłików utajonych.

Potém chuchając w dłonie, udzielał mu tego oddechu, pocierając go z lekka od czoła do ramion i od ramion do łokci, potém niżéj, aż do końców palcy; niekiedy także ściskał mu głowę dłoniami: ale młody professor śmieje się, całe towarzystwo czyni to samo, a sen magnetyczny ani myśli się okazać.

Po kilkunastu minutach próżnych usiłowań, magnetyzer oświadcza, że obecność tak licznego i głośnego towarzystwa przeszkadza mu, i prosi o pozwolenie powtórzenia doświadczeń w przyległym pokoju, sam na sam z pacjentem. Zezwolono na to.

Upłynął blisko kwadrans, szampan obficie krążył, zapomnieliśmy prawie o dwóch nieobecnych biesiadnikach... Nagle drzwi się otwierają, wchodzi *czarownik*, i uroczystym głosem rzecze:

— Wéjdźcie państwo, ale bez hałasu.

— Idziemy jeden za drugim, na palcach i wstrzymując oddech, wchodziemy do przyległego pokoju; sądźcież o naszém zdziwieniu; ten młodzieniec, przed chwilą taki wesoły, śmiejący się, żywy, teraz rozciągnięty na sofie, blady, sztywny, bez ruchu; kobiety przestraszyły się; mężczyźni spojrzeli po sobie. Magnetyzer jest spokojny, uśmiech zadowolenia ożywia jego usta. Znowu skinieniem nakazuje milczenie; bierze za rękę uśpionego młodzieńca i zadaje mu różne pytania. Jasnowidzący odpowiada na wszystkie głosem pewnym i z taką otwartością, iż jeden z moich sąsiadów uczynił bardzo słuszną uwagę, iż młodzieniec zdaje się *myśléć głośno.*

— Gdzie jesteś w téj chwili?

— U pana S....

— Czy jesteś zadowolony z całego dnia dzisiéjszego?

— Nie! nie!

Dowiedziałem się późniéj, iż biedak zmartwiony był tém, że podczas biesiady, siedział na jednym końcu stołu, kiedy na drugim siedziała młoda osoba, którą szalenie kochał.

— Kto to puka do bramy?

— Djabeł! odpowiedział uśpiony.

Wszyscy rozśmieliśmy się głośno: kiedy w tém służący wszedł i oświadczył, że jakiś pan chce się na chwilę widzieć z gospodarzem.

Był to N..., niegdyś dyrektor jednéj z szkółek niedzielnych, człowiek fałszywy, przewrotny, mało troszczący się o zasady poczciwości, i którego główną zasadą było:

„Trzeba brać wszystko, co tylko i gdzie tylko wziąść można.“

Dlatego też brał na prawo i lewo, nie pytając się czy tym sposobem ogołoci biedną rodzinę lub zniszczy niedoświadczonego młodzieńca. Słowem był to zupełny oszust.

Jasnowidzący nazwał go djabłem jakby przez natchnienie. Wszyscy unosili się nad trafnością tego przydomku, a magnetyzer nie posiadał się z radości.

Na każde zapytanie magnetyzera lub jakiéjkolwiek osoby, którą wziął za rękę, jasnowidzący odpowiadał jasno i zwięźle. Ja pytałem go

po łacinie i po grecku; odpowiadał mi bardzo poprawnie w obu językach. *Czarownik* utrzymywał, że pacjent jego może odpowiadać wszystkiemi językami, jakie są używane w całym świecie.

Damy jednak ciągle jeszcze były strwożone, jasnowidzący, chociaż mówił jak gdyby na jawie, wyglądał jakby wymknął się z trumny. Jeśli mu podniesiono rękę, ręka opadała ciężko, poruszano go, nie dawał żadnego znaku życia; jego oddychanie zaledwie dostrzedz się dało, puls bił bardzo słabo i rzadko; jego rysy nieruchome przybrały wyraz smutny i przykry.

Doświadczenie trwało przeszło pół godziny, kiedy magnetyzer, głuchy aż dotąd na próśby tych dam, (jednéj szczególnie), postanowił wskrzesić, swoją zajmującą ofiarę. Zaczął więc pocierać uśpionego w kierunku odwrotnym temu, którego się poprzednio trzymał, to jest od dołu do góry, od palcy do ramion. Po kilku minutach, gdy sen wcale nie słabnął, magnetyzer zbliżył się do ucha śpiącego, chuchnął i rzekł:

— Obudź się!

A jasnowidzący, posłuszny rozkazowi, zrywa się na równe nogi, i spogląda na nas śmiesznie błędnemi oczyma. Obsypują go pytaniami, ale

on nie przypomina sobie nic tego co mówił, zdaje mu się, że wyszedł z innego świata, doświadcza nieopisanéj jakiéjś przykrości. Znikła jego wesołość, pustota, nie odzywa się z żadnym żartem, rzekłbyś, że statua Alicji Manfredi, położyła na głowie jego swą lodowatą rękę.

Podano kawę, przechodziemy do salonu; wszyscy mówią tylko o *czarowniku*. Wszyscy są zdziwieni, pomięszani. Winszują małemu magnetyzerowi, jego nadzwyczajnéj biegłości, on przyjmuje to skromnie, ale tak jakby był już dawno przyzwyczajony do podobnych hołdów. Z drugiéj strony, kobiéty nie śmieją zbliżyć się do niego; zaledwie która odważy się spojrzéć nań ukradkiem, bo trwoga przymusza ją wkrótce spuścić oczy. Słowem, że się wyrażę jak narzeczona Normandczyka *Raimbaud*, nasz magnetyzer wydawał im się podobnym, nie do S. Michała, ale *do drugiego*.

Mimo to, jeden z biesiadników nie był jeszcze zupełnie przekonanym. Oświadczył on, iż nie uwierzy, że to są skutki magnetyzmu, dopóki to doświadczenie na nim samym nie będzie powtórzoném.

Podczas gdy ów niewierny Tomasz tak mówił, magnetyzer wyciągnął mu nieznacznie

chustkę z kieszeni. Uważałem, że ją skręcił jak piłkę na kolanach pod stołem, i pocierał ją rękami w które poprzednio chuchał.

— Co to pan robisz? zapytałem.

— Przygotowuję odpowiedź niedowiarkowi, odrzekł.

— Jakim sposobem?

— Zobaczysz pan.

Po chwili powstał od stołu, zbliżył się z cicha do swego przeciwnika, który w najlépsze śmiał się z mniemanych czarów.

— Spij! zawołał magnetyzer, rzucając mu zwiniętą chustkę w środek piersi.

Skutek dotknięcia był tak szybki jak iskra elektryczna, tak czarowny jak działanie głowy Meduzy. Ow niedowiarek stał się w jednéj chwili nieruchomym, jak statua, jego uśmiech jakby przymarł do liców pobladłych, głos skonał na ustach, oczy zamknęły się, głowa upadła na stół, tłukąc filiżankę o którą uderzyła; wszystko to, nie więcéj jak w jednéj sekundzie, Błyskawica nie może być gwałtowniéjszą Już to nie był człowiek, ale trup, widmo wyszłe z grobu, tak dalece rysy jego były zmienione, a głos ponury, grobowy; mówił bowiem, odpowiadał na wszystkie pytania jakie mu czyniono.

Odpowiadał równie jasno i zwięźle jak jego poprzednik.

Doświadczenie trwało dziesięć minut, a potém magnetyzer obudził uspionego, tym samym co poprzednio sposobem. Ale obudzenie się tego drugiego pacjenta, śmieszniejsze jeszcze było jak poprzednie. Najprzód okazał on podziwienie, potém krzyknął gniewnie, potém zawstydził się i nie mógł ukryć tego uczucia zmyślonym śmiechem, nakoniec szklanka malagi, którą duszkiem wypił, przywróciła mu zwolna zupełną przytomność.

Ta scena sprawiła na wszystkich biesiadnikach takie wrażenie, iż niepodobna było przywrócić w naszém towarzystwie wesołości. Dwaj magnetyzowani, byli smutni i zamyśleni i jak zapewniali późniéj, że przez kilka dni czuli jakiś nieopisany ból we wszystkich członkach, i napróżno walczyli przeciw senności.

Łatwo domyśléć się, że wszyscy obsypywaliśmy *czarownika* niezliczonemi pytaniami; odpowiadał na wszystkie bardzo grzecznie, ofiarował się powtórzyć doświadczenia swoje na kimkolwiek i kiedy tylko zechcemy, prosił nas nawet, żebyśmy go odwiedzili w jego mieszkaniu, gdzie nader ciekawe obiecał pokazać nam skut-

ki magnetyzmu. Przyrzekliśmy odwiedzić go w dniu naznaczonym; i ponieważ już dość późno było, rozeszliśmy się, ucieszeni tak przyjemnym spędzeniem dnia. Magnetyzm zyskał dwudziestu stronników więcéj.

. . . .

. . . .

. . . .

W kilkanaście dni po tém, znajdowaliśmy się wszyscy, w salonie jednego z domów przy ulicy *des Grands Carmes*. *Mały czarownik*, siedząc na krześle składaném, magnetyzował chłopczyka dwunasto-letniego, siedzącego w rogu kanapy. Przy mnie siedziała młoda, świeża ośmnastoletnia dziewica, wesoła, pusta, zajęta haftowaniem sukni ślubnéj, bo wkrótce miała iść za mąż. Wiktorja mieszkała w tym samym domu co magnetyzer, i jako sąsiadka, przyszła z swoją matką, aby się bawić, bo szczęście jakie ją za kilkanaście dni oczekiwało, usposabiało ją do zabawy. Nieco dalęj, znajdowała się inna młoda osoba, imieniem Eliza.

Chłopczyk zasnął; pytano go, ale nie chciał odpowiadać na żadne pytanie; wzdychał głęboko, i zdawał się mocno miotanym wewnętrznie,

widać było, że bardzo cierpiał, duże łzy występowały z pod zamkniętych powiek i spływały po jego licach.

— Co to jest? zapytał magnetyzer, głosem nakazującym.

— Oh! nie pytaj mnie, odpowiedział młodzieniec głosem cichym i przerywanym łkaniami, nie pytaj mnie!

Im bardziej biedny mały błagał aby go nie pytano, tem więcéj byliśmy ciekawemi dowiedzieć się tajemnicy. Na prośby nasze, magnetyzer, przyłożył dłoń do czoła jego i rzekł:

— Rozkazuję ci, mów co widzisz w śnie twoim?

— Młodą dziewicę, wesołą, ufną, która skacze i bawi się nad brzegiem przepaści.

Wiktorja z żywością zbliża się.

— Co on mówi?

— O! mój Boże! niech porzuci tę suknię ślubną którą jéj ręce haftują, i do któréj uśmiechają się jéj usta, bo ona tak wesoło pracuje nad swoim całunem. Jéj małżeństwo już ułożone, za ośm dni mają być pierwsze zapowiedzi! Biédna dziewczyna! Za ośm dni wyjdą zapowiedzi jéj niewiernego kochanka, który inną zaślubia. Za piętnaście dni odbędą się te występne

zaślubiny, a za miesiąc ofiara poświęcona umrze.

— Mój Boże! mój Boże! co za okropna przepowiednia! Do kogóż ona może stosować się jeśli nie do mnie? zapytała Wiktorja, rzucając się bez tchu w objęcia matki.

— Ale, zaczął znowu jasnowidzący, niech się oddali! niech ucieka!.... Dlaczegóż ona tu jest przy mnie?... Mój Boże! mój Boże!

— Milcz nieszczęśliwy! zawołał magnetyzer, wyciągając nad nim rękę.

Otwarte usta jasnowidzącego, zamknęły się natychmiast, wydał głębokie westchnienie i obudził się. . . .

W ośm dni potém ogłoszono zapowiedzi narzeczonego Wiktorji z inną panną, bogatą i wysokiego urodzenia, a w miesiąc odprowadzaliśmy zwłoki nieszczęśliwéj na miejsce wiecznego spoczynku, poprzysięgając sobie, że nigdy nie będziemy się starali przeniknąć zasłony, kryjącéj wyroki Opatrzności.

ZEMSTA MĘŻA.

Nieraz słyszałem śmieszne rozmowy o wujaszkach z Ameryki, któremi od czasu odkrycia nowego świata, nie jeden swoją wyobraźnię w złotych marzeniach kołysze; i zawsze ten wyciągałem z tych rozmów wniosek, że gdybyśmy zamiast pochlebiać sobie romansową nadzieją, i stroić biednych braci naszych ojców i matek, czarowną suknią niepewnéj odległości, poprzestawali po prostu na żywych i w bliskości nas mieszkających krewnych, małobyśmy wprawdzie budowali powietrznych zamków na perłach i sztabach złotych, ale więcéj posiadalibyśmy ich na stałéj i bezpiecznéj ziemi. Tym zadługim może wstępem, chciałem czytelników moich uwiadomić, iż miałem wuja z znacznym majątkiem, ale który zupełnie prozaicznie mieszkał w starym zamku pomiędzy *Chalons sur marne* i *Vitry-le Français*. Ten wujaszek, który za brudnemi oknami magazynu, położonego na jednéj z najposępniejszych i najbłotnistszych ulic Pa-

ryża cały majątek swój zebrał, przedawał cukier *en gros*, i moja pamięć słabo tylko zatrzymała wyobrażenie tych czasów, w których on prowadził swój handel; przypominam sobie tylko, iż co rok w wilję S. Jana, jako w dzień jego urodzin, i 31 Grudnia, jako w wilję nowego roku, ubierała mię moja matka w najpiękniéjsze suknie, i uzbrojonego ogromnym bukietem, albo powinszowaniem różową jedwabną wstążką związaném, prowadziła mię do wujaszka, która to podróż, przynosiła mi zazwyczaj piękny podarunek, który co rok zwiększał się co do wartości.

Wujaszek mój był bratem mojéj matki, ubogiéj wdowy, po notarjuszu małego miasteczka. Po śmierci męża, przedała ona jego pozostałość i udała się zemną do Paryża, dla dania mi lepszego wychowania, które zupełnie prawie pochłoniało jéj szczupłe dochody. Spodziewano się bezwątpienia, że mój wujaszek, który żył bezżennie i nie myślał wcale zmieniać stanu, będzie sobie miał za obowiązek, wesprzéć swoją jedyną siostrę, ale ta nadzieja była fałszywą; może on byłby co podobnego uczynił, gdyby matka moja skłoniła się do poświęcenia mię temu samemu powołaniu w którém wujaszek tak

pomyślnie wyszedł, ale ona o innéj dla mnie marzyła pomyślności, innéj pragnęła sławy. Skoro o tém przekonał się wujaszek, natychmiast oświadczył, iż ani moralnie ani materjalnie do mojego wychowania nie chce się nadal mieszać, a mój wujaszek był uparty. Frenologja dowodzi, że spiczaste czaszki wróżą niezachwianą wolę, a głowa mego wują kształtem swoim zbliżała się do głowy cukru.

Miałem lat dwanaście i chodziłem do szkoły, kiedy mój wujaszek porzucił handel, i przedał swój magazyn bardzo korzystnie; muszę mu wprawdzie oddać sprawiedliwość, iż przed podpisaniem kontraktu sprzedaży, namawiał moją matkę, aby objęła ten handel i przysposobiła mię do zastąpienia kiedyś wujaszka, i mocno ubolewał nad zaślepieniem matki, która koniecznie chciała abym był adwokatem.... *bezprocessów* jak on zwykle przydawał.

Wujaszek porzuciwszy handel, kupił sobie zamek Lacaux, od właściciela który przedał go bardzo tanio, z obawy żeby wkrótce darmo mu go nie zabrali, był to bowiem młody utracjusz. Mój wujaszek jak zwykle korzystał z okoliczności, i nabył Lacaux z wszelkiemi przynależytościami jak to mówią: „za torbę sieczki.“

Już od dwunastu lat był posiadaczem zamku, kiedy dnia pewnego, siedząc w axamitném krześle z poręczami przed marmurowym kominkiem w jednym z licznych pokoi, tknięty apoplexją, nagle życie zakończył. Od czasu objęcia zamku, wujaszek mój zerwał prawie zupełnie stosunki z moją matką, i chociaż ciągle jak poprzednio wiernie wykonywałem mój obowiązek względem niego i dwa razy do roku pisałem do niego z powinszowaniem, jednakże odpowiedzi jego nie towarzyszył już ani razu podarunek, któryby mógł stan nasz cokolwiek polepszyć. Nie pragnąc zgłębiać serca mojéj matki, przyznać jednak muszę iż nie zdołałbym opisać uczuć jakiemi była przejętą kiedy pewnego wieczora za powrotém moim do domu, gdzie jak zwykle przy nędznym ogniu w biédnie umeblowanym pokoiku nad robotą siedziała, podała mi list notarjusza z Lacaux, donoszący nam o śmierci wujaszka.

Moja matka była jedyną jego krewną, a on umarł nie napisawszy testamentu.

Następnego dnia byłem w drodze do szampańji; wysiadłem z dyliżansu o pół godziny od Lacaux dokąd prowadziła droga przez mego wuja własnym kosztem założona.

Była noc ciemna gdy do Lacaux przybyłem; szedłem przez wieś, gdzie wszystko w najgłębszém śnie spoczywało, bo prócz słabego szumu kołowrotków albo jednotonnego spiewu wieśniaczki, która usypiała swoje niemowlę, nic nie przerywało spokojności spoczywających po całodziennéj pracy mieszkańców, była godzina dziewiąta. Musiałem kilkakrotnie do krat wielkiego dziedzieńca dzwonić, nim mi otworzono; zdawało się że cały dom wymarł razem z panem. Nakoniec po długich tłumaczeniach się i objaśnieniach, zostałem wpuszczonym.

Gdy się dowiedziano iż jestem dziedzicem Jana Moulinet, i nateraz właścicielem wszystkich jego posiadłości, wszystko przybrało ruch nadzwyczajny; sludzy wpół śpiący jeszcze, biegli powitać nowego pana, wszystko cisnęło się wokoło mnie, aby mi usłużyć, i czary przywiązane do tytułu dziedzica, tak dalece były czynnemi, iż nawet przygotowano mi wyborną wieczerzę. Nie mogłem jednak jeszcze téj nocy objąć w posiadłość zamku, ponieważ zaraz po śmierci wujaszka, popieczętowano wszystko, i musiałem cierpliwie czekać, na urzędowe zdjęcie pieczęci. Zapytałem się zatém jednego z służących o najlepszą oberżę w Lacaux, kiedy w tém jakiś

człowiek niski, w czarnym fraku i krymce na głowie, wszedł do sali jadalnéj.

Po trzech lub czterech ukłonach, coraz uniżeńszych, oświadczył mi iż był tamtéjszym lekarzem; dowiedziawszy się o moim przyjeździe, osądził iż wypadnie mi nie spać w zamku i przybył prosić mię, abym u niego tymczasem zamieszkał. — Posiadałem, dodał, całe zaufanie szanownego ś. p. Moulinet, ratowałem go w ostatniéj chwili jego życie, i spodziewam się że będę mógł zyskać przychylność jego dziedzica.

Podziękowałem mu serdecznie za jego gorliwość i przyjąłem ofiarowane mieszkanie. Mieszkanie doktora Nichaud odległe było od zamku o strzał z fuzji; był to ładny domek, w guście szwajcarskich chatek zbudowany.

— Mieszkam tu już pół wieku, mówił doktor; przez pięćdziesiąt lat, wielu już naliczyłem posiadaczy, — ale sądzę że pan już będziesz ostatnim, dodał z grzecznym ukłonem, ustępując na bok, aby mi pozwolić pierwszemu przez próg przestąpić.

Nigdzie nie mogłoby być czyściéj, porządniéj i przyzwoiciéj, jak w domu pana Nichand; wszystko tu świadczyło o zamożności, która dowodziła, że stary lekarz wielkie ma wzięcie wo-

kolicy, i istotnie, liczył on pięć gmin, w których był razem doktorem, chirurgiem, akuszerem i aptekarzem. Że ten ostatni urząd pełnił, można było się domyśléć po wielkiém mnostwie flaszek, któremi zapełnione były półki w przedpokoju.

Wprowadzony zostałem do salonu, gdzie się koncentrował cały zbytek pana Nichaud, i wkrótce na miękkiéj pościeli zasnąłem.

Lekkie pukanie zbudziło mię nazajutrz z marzenia, które dawniéj na cały dzień nabawiłoby mnie złego humoru; śniło mi się, że byłem bogatym! Teraz nie był to już sen; moje dobra, konie, moi słudzy, nie przestali być mojemi, nawet po przebudzeniu się; matka moja, którą widziałem we śnie wesołą, istotnie nie będzie już potrzebowała płakać. . . Wszystkie te myśli w jedném mgnieniu przebiegły w méj duszy, i zawołałem: „proszę" nim budzący mię drugi raz zapukał. Był to pan Nichaud, który przyszedł dowiedziéć się o moje rozkazy, pierwéj nim się zajmie powinnościami swego powołania. Podziękowałem mu za jego uprzedzającą gościnność, kiedy wtém, wszedł kamerdyner mojego wuja, obciążony tém wszystkiém co do toalety człowieka, mającego 50,000 liwrów rocz-

nego dochodu, koniecznie jest potrzebném. Pożegnałem uprzejmego lekarza, i prosiłem go na obiad do zamku o godzinie piątéj.

Dzień upłynął na samém zatrudnieniu z notarjuszem, w przedmiocie pozostałości po wujaszku; który równie w dobrach swoich jak w sklepie umiał największą wyciągać korzyść z swoich pieniędzy. Nie mogę powiedzieć, że środki jakich używał, zawsze były godziwe; niekiedy jeden i drugi ubogi włościanin, otrzymał z kassy mego wuja zapomogę na wybudowanie sobie domku, a późniéj, kiedy nie mógł w oznaczonym czasie długu swego spłacić, został wygnany z domu i pola; ale Jan Moulinet nie mógł chciéć stać się ofiarą swojéj ludzkości względem włościan, a prócz tego, on także miał wydatki!...

Właśnie wybiła piąta godzina na zamkowym zegarze, kiedy w długiéj topolowéj alei, prowadzącéj do zamku, ujrzałem cień doktora Nichaud. Szedł on z zadziwiającą, jak na jego wiek, szybkością, i widać było, że jego cienkie nogi, oddawna już nauczyły się swojéj służby. Wyszedłem naprzeciw niemu aż do kraty, za którą to grzeczność, podziękował mi z całą południową żywością. Rozmowa jego, zdradzała

także jego pochodzenie, (urodził się w Montpelier), była ona szybką, żartobliwą, żywą, miał przytém akcent, który słowom jego szczególny wdzięk nadawał. Pytałem go wiele względem mego wuja, którego znał bez porównania lepiéj jak ja, i względem jego poprzedników. Dopóki była mowa o Janie Moulinet i bezpośrednim jego poprzedniku, siostrzeńcu prezydenta d'Adhemar, pan Nichaud wdawał się w najdrobniéjsze szczegóły, ale gdy przyszło z kolei na samego prezydenta, zaczął mi odpowiadać lakonicznie, i dostrzegłem w twarzy jego jakiś wyraz przymusu i skrytości.

Jego wstrzemięźliwość draźniła moją ciekawość, używałem wszelkich sposobów, żeby go do mówienia skłonić.

— Prezydent d'Adhemar, musiał się bardzo cieszyć, rzekłem, że w tak odległém od stolicy miejscu, tak uczonego jak pan znalazł człowieka.

— Zbyt pan jesteś łaskawym w sądzeniu o mnie; odpowiedział pan Nichaud; ale pan prezydent był zawsze prawie zdrów i nie często potrzebował pomocy mojéj umiejętności; pomimo to jednak, zaszczycał mnie swoją przyjaźnią.

— Może miał słabowitą żonę, którą kochał; w takim przypadku przyjaźń pańska musiała mu być drogą. Czy był żonatym?

— Tak jest, . . . i pan Nichaud spuścił w ziemię oczy.

— Pani d'Adhemar była piękną?

— Jak bogini Paphos!

— I równie dobrą jak piękną?

— Ach! mój panie, była aniołem!

— Czy tu umarła.

— Tak jest! . . . i oczy pana Nichaud zwilżyły dwie duże łzy, które chciał ukryć przedemną.

— Kochany panie Nichaud, przykro mi niezmiernie, że zbudziłem jakieś bolesne dla pana wspomnienie; proszę mi przebaczyć.

I zacząłem o czém inném mówić.

Starzec widząc, iż oddalam się od tego przedmiotu, zdawał się znowu do niego chcieć wrócić; tak zwykle bywa z gwałtownemi smutkami, skoro je ocucimy z snu w którym je czas pogrążał, wzburzają się one i czują potrzebę wylania się, jak strumień, który swoją tamę zerwał.

— Mam jéj portret u mnie w domu, mówił poczciwy starzec, który panu jeśli pan zechcesz

dziś wieczór pokażę; potém możemy pójść do kaplicy, w któréj znajduje się nagrobek, wzniesiony dla niéj przez pana prezydenta z wielkim kosztem.

Pan Nichaud wymówił ostatnie wyrazy z ironicznym przyciskiem.

— Czy on bardzo kochał swoją żonę?

— Cały świat mówił, że on ją ubóstwia!

— Ale pan zdajesz się być innego zdania panie doktorze, i sądzę, że więcéj wiesz w tym względzie, niż chcesz powiedzieć.

— Niestety! łaskawy panie, skazani przez nasze powołanie wciskać się we wnętrze rodzin, więcéj mamy jak kto inny sposobności, postrzegać ich cierpienia fizyczne czy moralne; i niekiedy znajdujemy niedolę pod haftowanemi sukniami i sztucznym uśmiechem kryjącą się. Często pod bukietem kwiatów bije serce, niszczone śmiertelną raną, i żałujemy dwudziesto-letniéj kobiety; spoczywającéj w axamitnéj trumnie, nie pomyślawszy, że może tu dopiero zaczął się dla niéj pokój.

Doktór mówił te słowa głosem nadzwyczajnego natchnienia, który mi kazał wnosić o ważności jaką przywięzywał do tego wszystkiego, co się tyczyło pani d'Adhemar.

— Miło mi będzie widzieć obraz, o którym pan wspomniałeś, rzekłem, ale nim wieczór nadejdzie, mamy jeszcze dość czasu zwiedzić kaplicę; prócz tego, dopełnię tym sposobem powinności mojéj względem zwłok mojego wuja, który jak słyszałem, także pochowany jest w téj kaplicy.

Pan Nichaud nic nie odpowiedział, był zamyślony, zdawał się wycieńczonym być uniesieniem z jakiém mówił; wstał od stołu, wziął kapelusz, i poszliśmy ku kościołowi.

Zamek Lacaux należał początkowo do jakiegoś rycerza, o którym podanie zupełnie się zatarło; ale łatwo było poznać iż tak był budowany, aby mógł wytrzymać dość silny napad; trzy wieże były jeszcze mało uszkodzone, i pomimo tegoczesnych okien, wprawionych w grube mury, łatwo było odgadnąć, iż w ich miejscu znajdowały się niegdyś strzelnice za któremi nie jeden łucznik broń swą naciągał. Jedna szczególniéj wieża zdawała się być niedostępną, z powodu ogromnego rowu, który ją otaczał i teraz nawet wodą niedaleko płynącéj Marny był napełniony. Za pomocą szluzy, w godzinie rów ten mógł być wypróżniony i znowu napełniony wodą.

Wychodząc z zamku przez dziedzieniec, trzeba łukiem obchodzić, aby dojść do kościoła; wzdłuż

rowu otaczającego jedno skrzydło. Kiedyśmy przechodzili mimo wspomnionéj wieży, pan Nichaud zatrzymał się, i wskazując palcem na jedno okno grubemi kratami obwarowane, rzekł: — To był pokój pani prezydentowéj! — i uchylił kapelusza.

Przybyliśmy do kościoła; drzwi były otwarte, stary zakrystjan dzwonił na chrzciny, a my przychodziliśmy odwiedzić zmarłych!.. W kaplicy jest podziemie, służące od niepamiętnych czasów za grób właścicielom Lacaux. Tylko prezydent d'Adhemar, w skutek szczególnego upodobania, które każdy przypisywał jego tkliwéj miłości, kazał po prawéj stronie ołtarza osobny grób murować; srebrna lampa, trzymana przez anioła, który z rozwiniętemi skrzydłami, nad ostatnim spoczynkiem pani d'Adhemar czuwa, paliła się zawsze; była to fundacja wieczysta, któréj koszta najpóźniejsi dziedzice zamku Lacaux będą musieli ponosić.

Pomodliwszy się za duszę wuja, ukląkłem na stopniach pomnika pani d'Adhemar, gdzie już doktór klęczał, i uczułem jakieś zajęcie się zmarłą, któréj życia nie znałem; jedynie przez prostą litość, która mi łzy wyciskala. Któż w moim wieku mniéj byłby tkliwym, przeczytawszy

na nagrobku: „*Zmarła w dwudziestym drugim roku życia!*“ Czyliż te trzy wyrazy, dwudziesty drugi rok! nie naprowadzają młodego człowieka na myśl o szczęściu? W tym wieku życie błyszczy w całéj swéj sile, wtedy wszystko na świecie, taki w naszych oczach ma powab, że mimowolnie głos wewnętrzny woła: „chcę żyć!“... Późniéj dopiero, gdy głęboko zajdziemy w życie, a każdy rok czyni nas uboższemi o jedno szczęśliwe złudzenie, a bogatszemi w boleść, wołamy na widok grobu młodéj dziewicy: Ona szczęśliwa, Bóg zlitował się nad nią, oszczędził jéj wiele cierpienia!...“ Jakież inne zadość uczynienie mielibyśmy za cierpienia ziemskie, jeśliby niém nie była radość jakiéj doznajemy porzucając to życie.

Popiersie pani d'Adhemar wykonane po jéj śmierci, stało w framudze nad pomnikiem, jéj wyschłe i zapadłe rysy, były jeszcze regularnie pięknemi, i jéj ostatnie chwile, musiały być spokojnemi i wolnemi od smutku. Objawiłem tę myśl panu Nichaud.

— Umarła z poddaniem się, odpowiedział; bo gdy jéj rzekłem w południe, że nie ujrzy już wschodzącego słońca, odpowiedziała mi: że ten dzień jest najpiękniéjszym w jéj życiu!.. Ale

pójdź pan, dodał, oddalmy się stąd, bo w mojim wieku, łzy boleśnie palą oczy; po tém opowiem panu jéj historją, bo pan zapłakałeś nad jéj grobem...

Udałem się za panem Nichaud do jego domu, i wpatrując się w tego człowieka, który wprawdzie nie był zupełnie pospolitym, ale często przybierał głos i ruch pospolity, rzekłem sam do siebie; że każda istota ma swoją poetyczną stronę, że na tém tylko wszystko zależy, żeby ją umiéć trącić, i że pan Nichaud rozmawiający o pani d'Adhemar, i doktór Nichaud przy łożu chorego, są dwie zupełnie oddzielne istoty.

Przebyliśmy drogę z kościoła do mieszkania mego gospodarza w głębokiém milczeniu, bo każdy z nas szedł za swemi smutnemi uwagami. Wszedłszy do mieszkania pana Nichaud, zastaliśmy gotową wieczerzę, którą na rozkaz doktora zaniesiono do mojéj sypialni. Wesoły ogień, który chłodne wieczory na wsi, nawet w maju potrzebnym czynią, palił się na kominku, i zachęcał do poufaléj gawędki.

— Pozwól pan, rzekł doktór, kiedy usiadłem przy kominku, aby nim siądziemy do wieczerzy pokazał panu obraz pani d'Adhemar, i poszedł

do szafki, w któréj za szklannemi drzwiczkami, widać było mnóstwo książek. Otworzył szafkę kluczem, który wisiał na łańcuszku od jego zegarka, na jednéj z dolnych półek, stała szkatułka hebanowa grubéj roboty.

— Ta szkatułka i portret w niéj zamknięty, stanowią jedyną pozostałość, jaką mam po pani d'Adhemar, rzekł pan Nichaud, uważam je za świętą pamiątkę, i nie oddałbym ich za katedrę w fakultecie medycznym, chociaż jestem tylko biédnym wiejskim doktorem.

Mówiąc to, wydobył z szkatułki prześliczny obraz; nigdy nie widziałem na czole kobiety tyle czystości i niewinności; jéj duże niebieskie oczy boleśnie w górę wzniesione, zdawały się wstrzymywać łzy, i błagać nieba o litość. Jéj upudrowane włosy, jak wtedy noszono, podwyższały jeszcze świeżość jéj lica, którym lekka biała zasłona nadawała wyraz nad ziemski. Przy boku miała piękny bukiet róż.

— Piękna jest, wszak prawda? zaczął pan Nichaud.

— Nigdy żadna twarz kobieca takiego na mnie nie uczyniła wrażenia, odpowiedziałem.

— Tak się z wszystkiemi działo; kochano ją mimowolnie; jeden tylko człowiek zimnym był

względem tego anioła, a tym człowiekiem był jéj mąż... Kiedy pani d'Adhemar poszła za prezydenta, miała wtedy lat szesnaście, a on po pięćdziesięciu. Był on wysoki i szczupły, surowéj, obawę wrażającéj twarzy. W młodości miał on być pięknym, ale rozwiązłych obyczajów. Był opiekunem swéj żony, i zaślubił ją podobno dlatego, że nie był w stanie zdać rachunku z zarządu jéj majątkiem.

W trzy miesiące po ślubie, który się odbył w Prowancji, pan d'Adhemar, z podziwieniem całéj okolicy, tutaj osiadł. Dwa razy tylko widziano go w Lacaux, od czasu jak objął ten zamek po ojcu; i wszelkiemi interessami tutéjszemi trudnił się jego intendent. Gdy się dowiedziano, że przybywa z swoją młodą żoną, powstała ogólna radość, bo żonę jego poprzedziła już tutaj sława jéj dobroci, i na widok jéj, wszyscy nieszczęśliwi uczuli, że ją niebo na ich pociechę zesłało.

Przez niejaki czas trwały w zamku nieprzerwane uroczystości, każdy zazdrościł losu pani d'Adhemar; ja tylko, panie, uważałem, że ona nie jest szczęśliwą, i że jéj mąż, przedmiotem jest dla niéj trwogi i wstrętu. Ona dostrzegła, iż odgadłem jéj skrytą boleść i cierpienia, i od

tego czasu powstało między nią i mną* skryte porozumienie się, pewien rodzaj wspólności myśli, która się nigdy żadnym słowem nie zdradziła, a wymowniéjszą jednak była nad wszelkie wyrazy.

Ile razy moje powołanie zawiodło mię do zamku, co prawie dwa razy w tydzień bywało, widziałem lekki wpływ radości w jéj oczach, i wyrazy: „Ty przynajmniéj żałujesz mię" wyraźnie były w jéj spojrzeniu wypisane. . . późniéj usłyszałem je nawet z jéj ust.

Zabawy w Lacaux ustały zwolna, odwiedziny stawały się rzadszemi; pan prezydent ciągle zimny i zatrudniony, nikomu się nie podobał, i wyjąwszy dwóch lub trzech biesiad, które co rok dawał, i od których nie śmiano się wymawiać, przez wzgląd na wysoki urząd jego, sąsiedzi nie widywali go wcale. Obszerne sale w Lacaux wpadły w głębokie milczenie.

Ilekrotnie urząd jego wymagał wyjazdu do Paryża, pan prezydent najsurowiéj zakazywał żonie, aby żadnych odwiedzin nie przyjmowała, ja jeden, stanowiłem w tym względzie wyjątek, ponieważ słabe jéj zdrowie wymagało często mojéj pomocy.

Podczas tych odwiedzin, które jéj wtedy oddawałem, mogłem dopiéro anielską jéj dobroć ocenić, która wszystkie rodzaje udręczeń, jakiemi ją zazdrość nieczułego, nie umiejącego kochać męża, bezprzestannie obciążała, znosiła w milczeniu bez szemrania. Nigdy skarga nie powstała na jéj ustach, ale żal za przeszłością dowodził o ile okropną dla niéj była teraźniéjszość. Płakała zawsze, ilekroć wspomniała o klasztorze, w którym była wychowaną, i który opuściła dopiéro, aby zostać małżonką prezydenta. Nie pozwalał on jéj pisać do jéj towarzyszek lat dziecinnych, bez poprzedniego czytania jéj listów. Słowem, mój panie, nie podobnaby daléj posunąć surowości, i gdybym panu wszystkie szczegóły nieszczęśliwego życia pani d'Adhemar chciał wyliczać, nie skończyłbym dzisiaj.

Cztery lata już trwały te nieszczęśliwe związki, i czas nie przyniósł ulgi skrytym cierpieniom biednéj małżonki; jéj wysoka cnota, jéj nieograniczona słodycz i niezachwiana cierpliwość, nie zyskały względów jéj męża; owszem zdawało się, iż wyrzuty sumienia, które każdy zły człowiek czuje, drażniły bardziéj jeszcze zły jego charakter. Pod ten czas, i właśnie,

pod niebytność prezydenta, przybył do Lacaux młody hrabia Juljusz d'Adhemar; był on synem jednego z braci prezydenta, sierota, w służbie królewskiéj. Nieszczęśliwa sprawa z pułkownikiem, którego wyzwał na pojedynek, przymusiła go opuścić pułk, w którym służył; przybył szukać pomocy i opieki u stryja.

Przybycie jego w przykrém nader położeniu stawiało panią d'Adhemar, nie mogła odprawić krewnego swego męża, z obawy, żeby nie ściągnęła na siebie jego nagany, albo nie odkryła jego przykrego charakteru; a zatrzymać młodego przystojnego mężczyznę, byłoby to obudzić całą wściekłość prezydenta. W takiém okropném położeniu, powzięła zamiar pod pozorem słabości, zamknąć się w swoim pokoju, i napisała do pana d'Adhemar, aby natychmiast przyjechał.

Niewiadomo czy list zaginął, lub czy inny jaki był tego powód, dość, że pan prezydent nie odpisywał. Po trzech-tygodniowém oczekiwaniu żona jego osądziła, iż milczenie męża znaczy, iż potwierdza to, co ona uczyniła, i mniemała' że może wyjść z swego dobrowolnego zamknięcia.

Przez czas udanéj słabości pani d'Adhemar, bawiłem ciągle w zamku i przez ten czas zostałem przyjacielem młodego hrabiego. O, mój panie, co to za serce, jaka głowa! trochę żywy, ale szlachetny umysł i przymioty, przytem tak piękny! żywa, ciemno brunatna cera, jak wszyscy moi południowi rodacy, ogniste smiałe oczy, wzrost piękny, postawa prawdziwie majestatyczna.

W ciągu długich przechadzek jakieśmy razem odbywali, rozmowa nasza ciągle toczyła się o pani d'Adhemar, którą widział tylko przez chwilę; ale została ona w jego wyobraźni jakby fantastyczne zjawisko, a ja, mojemi rozmowami nie wiedząc o tém, żywiłem romansową namiętność, którą powziął dla niéj. Nie zdolam wystawić panu jego uniesienia radości, szczęścia które błyszczało w jego obliczu, kiedy pewnego poranku, właśnie gdyśmy przy śniadaniu siedzieli, pani d'Adhemar weszła, zarumieniona śmiałym, jak mówiła krokiem, na który się odważyła... Ach jak piękni byli oboje! dla czegóż Bóg tak późno pozwolił im się po raz pierwszy zobaczyć? Ponieważ pani d'Adhemar zupełnie miała się dobrze, znikła potrzeba ciągłego mego pobytu w zamku, i wróciłem do mego

domu, aby się zająć rozmajtemi memi chore-mi.

Nie wiem co się działo przez czas mojéj nieobecności, przypominam sobie tylko iż pewnego dnia, z mojego okna widziałem ich oboje siedzących przy sobie w alei parku, i obrywających listki róży które na przemian do ust przyciskali. W wieczór byliśmy we troje w wielkim salonie, który na ogród wychodzi, była godzina dziesiąta, i zbierało się na burzę; pani d'Adhemar prosiła mię słodkim, drżącym głosem, abym został w zamku! — Widzisz doktorze rzekła, jak czarne jest niebo, a błyskawice zaledwie mogą przecisnąć się przez chmury; burza będzie, a nieśmiéj się, ale ja lękam się burzy; zostań aby mię uspokoić,... Nie wiem dla czego; ale przeczuwam nieszczęście!...

— Niech je Bóg od ciebie odwraca, z cicha rzekł hrabia Juljusz, który śiedział przy otwartém oknie i zakrył twarz rękami gdy jego stryjenka mówiła.

Głębokie westchnienie, było jedyną odpowiedzią pani d'Adhemar. Jéj blada twarz i biała zasłona oświecone słabym tylko blaskiem lampy, okazały się jasno na czarném tle burzliwego

nieba, w które nieprzerwanie patrzyła, nie odwracając oczu wtedy nawet, gdy rażąca błyskawica rozdarła czarne chmury; zdawało się jakby szukała w niebie miejsca, które wkrótce zająć miała, Bóg byłby dla niéj litościwym, nawet gdyby przeciw niemu zgrzeszyła... założyła obie ręce na piersiach, wtém piorun uderzył, i obudził ją z zamyślenia w którém pogrążoną była; jedna z jéj rąk opadła na piersi młodego hrabiego, który uchwycił ją i zatrzymał w swoich dłoniach...

Lekki szelest, który ja tylko usłyszałem, zwrócił moje spojrzenie ku jednym z wielkich drzwi salonu', które były otwarte, i ujrzałem długą postać i ponure oblicze prezydenta... Widział on całą tę scenę którą panu opisałem.

Zwolna postąpił naprzód, i już przebył połowę salonu a jego żona i synowiec niewiedzieli o jego przytomności, ja zaś skamieniały z trwogi nie mogłem się poruszyć.

Za pierwszém słowem, które pan d'Adhemar wymówił, żona jego wydała krzyk trwogi, a Juljusz był jakby piorunem uderzony.

— Co znaczy to trwożne wykrzyknienie, Lauro, kiedy ja przybywam? rzekł prezydent do żony pieszczonym głosem, którego nigdy jeszcze

u niego nie słyszałem, i który okropną tworzył sprzeczność z dzikością jego oczu, które w téj chwili błyszczały jak ślepie tygrysa. Czy tak się przyjmuje męża swojego po półroczném niewidzeniu się?

Pani d'Adhemar zbliżyła się, drżąc cała, i podała mężowi czoło do pocałowania. Twarz młodego hrabiego pokryła się szkarłatem.

— A ty niegodziwy chłopcze, zwrócił do niego mowę żartobliwie, podając mu rękę, podobało ci się wystawiać twoje życie na grę przeciwko cięciu pałasza, dlatego że ci ktoś powiedział, że nie masz zdrowego rozsądku?... Tak, tak, otrzymałem już wiadomość o twoich sprawkach; trzeba takiego zapaleńca cokolwiek ostudzić. Doktorze! mówił daléj, pierwszy raz do mnie zwracając mowę; posiadasz wyborne lekarstwa na zapalenie mózgu. Oddaję ci tego chłopca, będzie to piękna kuracja dla ciebie; dodał głośno się rozśmiawszy. Jeszcze dziś wieczorem weź go z sobą, a ja i moja żona będziemy często dowiadywać się o postępie jego uzdrowienia.

Żadne z nas nie odezwało się, aby odpowiedzieć na ten ubliżający żart, po którym głębokie nastąpiło milczenie, przerywane tylko o-

bojętnemi pytaniami prezydenta, na które żona jego tak cicho odpowiadała, iż jéj prawie słyszéć nie można było.

Gdy zegar wybił północ, pożegnaliśmy się.

— O mój panie! nie zapomnę nigdy spojrzenia, jakie rzucił hrabia Juljusz na swoją stryjenkę; była to mięszanina wściekłości i niewymownéj czułości, nieograniczonéj miłości i nienawiści, razem z okropną zazdrością. Dla obojętnego, sprzeczność pomiędzy tym człowiekiem, którego oblicze było najwyraźniejszém zwierciadłem walki wszystkich najsprzeczniéjszych namiętności, i tą kobietą, z takiém poddaniem się znoszącą te same cierpienia, podałaby obszerne pole do filozoficznych uwag; ale ja, który patrzyłem na to wzrokiem serca, mogłem tylko łzy wylewać i podobnie jak ona przeczuwać nieszczęście!

Gdyśmy wyszli z zamku, nieszczęśliwy młodzieniec uchwycił mię za rękę, i zamiast do mego mieszkania, pociągnął mię nad brzeg rowu, na który wychodziło okno od pokoju pani d'Adhemar; staliśmy tu przynajmniéj z godzinę, nie mówiąc ani słowa, on konwulsyjnie ściskając moją rękę, a ja bez poruszenia jakby skamieniały.

Nagle zajaśniało światło w jéj oknie, młody hrabia groźnie wzniósł rękę.

— Czy widzisz pan dwa cienie? zawołał ponuro. On jest tam, on!...

— Nie, odpowiedziałem, pokój prezydenta znajduje się w przeciwném skrzydle zamku.

— Tak, ale tego wieczora... a to pocałowanie w czoło... Pan go nie czułeś, ale mnie pali ono głowę; jego suche palce uściskały jéj głowę!

W téj chwili okno się otworzyło, i ukazała się w niém postać niewieścia.

To ona, ona! rzekł Juljusz, i płacząc jak dziecię upadł w moje objęcia.

Pani d'Adhemar, gdyż ona to była, pozostała tak oparta na oknie; niekiedy przesuwała rękę po czole, albo chustką ocierała oczy, nie przeczuwając, że uważny wzrok śledził najmniéjsze jéj poruszenia, i że serce młodego człowieka biło tak blisko niéj, mierząc przestrzeń jaka ich dzieliła.

Nakoniec już dzień zaczął świtać, kiedy nieszczęśliwa odstąpiła od okna, i teraz dopiéro mogłem przedstawić hrabiemu, iż czas byłoby udać się do mego mieszkania, jeśli nie chcemy narazić się na niebezpieczeństwo być widziane-

mi, przez co ściągnęlibyśmy największe nieszczęście na nasze i pani d'Adhemar głowę.

— I na cóż mi się teraz przyda życie? zapytał on.

— Panie hrabio, Bóg dał życie ludziom...

— Tak jest, przerwał mi, ale na szczęście, dał im także rozmaite drogi do wyjścia z niego, jeśliby one zdawało się im za długiém! ale przebaczenia doktorze; przebaczenia dla téj, którą obrażam, bo ona jest aniołem dobroci i cnoty.... a on! oh! on jest potworem! on ją zamorduje przyjacielu; a jednak to byłoby lepiéj, niż kiedy jéj powiedział: jesteś moją żoną; ona żoną tego człowieka! Boże! ja jestem szalony!... Ten nędzny, dziś wieczór to już powiedział!

Wpośród tych namiętnych wykrzyknień bez związku, przybyliśmy do mego mieszkania. Z wielkim trudem, namówiłem mego chorego, (bo wtedy był nim istotnie), aby użył cokolwiek spoczynku, w tém łóżku, na którem pan sypiasz teraz.

W ciągu dnia, znalazłem go spokojniéjszym, przechadzał się po polu, a gdy następnego poranku; prezydent z żoną przyszli go odwiedzić, był już zupełnie spokojnym; co do pani d'Ad-

hemar, niepodobną była do siebie, widać było, iż skrytá boleść trawi jéj życie.

Od kilkunastu dni bawił u mnie młody hrabia Juljusz, i zacząłem już miéć nadzieją uspokojenia zupełnie jego serca, gdy pewnéj nocy usłyszałem, że ostrożnie otwierał okno w swoim pokoju; sądziłem, że znużony bezsennością chce się ochłodzić; prócz tego przyznać się panu muszę, wstrzymywało mię lekkie przeczucie, i obawa odkrycia jakiéj tajemnicy; bałem się dochodzić prawdy, i wmawiałem w siebie żem się mylił. Przez całe życie nie przestanę żałować téj słabości. Nazajutrz, miałem bardzo rano odwiedzić jednego chorego, wstałem więc przed świtem, sen wybił mi z pamięci zdarzenie nocy, i poszedłem nie zajrzawszy do hrabiego. Przechodząc koło rowu zamkowego, uczyniłem prostą uwagę, że rów był wypróżniony w nocy, i znów napełniony, woda dosięgła już zwyczajnéj swojéj wysokości; machinalnie spojrzałem do okna pani d'Adhemar, i ujrzałem sznur, spuszczony z niego, którego koniec dotykał prawie powierzchni wody w rowie; wtedy wyjaśniła mi się prawda, prawda okropna; zimny pot oblał mię całego. Zdaje mi się, że powiedziałem już panu, iż rów ten głęboki był na stóp trzydzieści,

i że za pomocą pewnego mechanizmu można go było w ciągu godziny wypróżnić i znowu wodą zapełnić; nieszczęśliwy, probował przepłynąć go, ale téj nocy, odjęto mu sposób powrotu i on umarł aby *jéj* nie shańbić.

Podczas gdy to okropne drama przedstawiało się mojéj wyobraźni, maleńka biała rączka odsunęła firankę, i wciągnęła w górę fatalny sznur; uciekłem ztamtąd, jakby mię widmo ścigało. Wciągu dnia, prezydent kazał mi powiedzieć, iż nagły interes przymusił jego synowca, bez pożegnania zemną wyjechać do Paryża.

Pół roku upłynęło od tego okropnego wypadku, i przez ten czas pani d'Adhemar nie wychodziła z swego pokoju, złożona jak mówiono słabością, która do tego stopnia jéj umysł osłabiła, iż niechciała widzieć nikogo oprócz swego męża; gdy pewnego poranku wszedł do mnie prezydent; długo nie widziałem go, i jego spojrzenie przestraszyło mnie, tak dziki był wyraz jego oczu. « Nichaud, rzekł on do mnie, żona moja ma się złe bardzo, wprawdzie nie chce nikogo widzieć, ale ztobą chce się zobaczyć i przychodzę prosić cię abyś wszelkich środków użył, dla przedłużenia jéj życia. Tylko, dodał przystępując do mnie i ściskając mię za rękę

z nadzwyczajną gwałtownością, tylko poprzysiąż mi pierwéj, na wszystko co jest dla ciebie najświętszém, że zachowasz najgłębsze milczenie cokolwiekbyś usłyszał. Idzie tu o twoje życie. — Przysiągłem jak żądał; dla pani d'Adhemar wszystkobym był uczynił, i chociaż śmierć ich obojga dawno mię już od téj przysięgi uwolniła, dzisiaj jednak pierwszy dopiéro raz o tém mówię.

Zaledwie mogłem na nogach się utrzymać, wszedłszy do pani d'Adhemar; jak okropna była rospacz moja, gdy ujrzałem ją spoczywającą na łożku, podobną raczéj do trupa niż do żyjącéj istoty; jéj wielkie oczy zapadły głęboko, i błyszczały gorączkowym żarem, jéj źrenice straciły życie; widać było iż oddawna już ich łzy nie zwilżyły.

— Zostaniesz się tu przez noc, doktorze? rzekł do mnie prezydent, potrzebujesz czasu, aby rozpoznać słabość.

Nie miałem siły mówić, skinieniem odpowiedziałem tylko... Pan d'Adhemar uściskał żonę i odszedł. Zbliżyłem się do niéj, zemdlała w uściśnieniu swego kata.

Wróciwszy do zmysłów, wyciągnęła do mnie wychudłą rękę, na któréj wszystkie muskuły po-

liczyćby można było, i miała tyle siły iż ścisnęła lekko dłoń moję, ucałowałem tę rękę łzami ją oblewając.

— Nie nademną powinieneś płakać, mój przyjacielu, rzekła zaledwie zrozumiałym głosem, ale nad *tym*, którego dusza, pomimo modłów moich, nie ma jeszcze pokoju; to jest najokropniéjszą moją męczarnią, i umieram racżéj z powodu jego męk wiecznych, aniżeli cierpień, których tutaj doznaję.

— Pani, rzekłem, miłosierdzie Boskie jest nieograniczone.

— A on jednak nieotrzymał dotąd przebaczenia; bo nie wiesz, że co noc ukazuje mi się i powtarza te same wyrazy, które nas oboje zabiły, te obrażające Boga wyrazy!

Sądziłem że gorączka obłąkała tę biédną głowę i starałem się uspokoić ją, gdy wtém wyraźnie doszły do uszu moich te wyrazy: Lauro, aniele mój, przysiąż należéć do mnie jedynie!

Nieszczęśliwa podniosła się na swojem łożu i upadła w okropnych konwulsjach. Sześć razy w ciągu nocy powtórzyła się ta sama scena, z temi samemi skutkami.

— Widzisz pan, że on jest potępiony na wieki, mówiła znowu pani d'Adhemar, od pół roku

wszystkie noce w ten sposób upływają, nie mam już siły modlić się, i czuję że umrę pierwéj nim moje ziemskie cierpienia zagładzą nasz występek.

Teraz wszystko jasno ujrzałem; poznałem dziką zemstę prezydenta, który słabości charakteru swéj żony i jéj przesądów, skutkiem klasztornego wychowania będących, użył, aby ją zabić tak wyszukanym sposobem, godnym zaiste najbardziéj barbarzyńskich czasów.

Nie mogłem nic mówić, prócz tego zgubiłbym siebie, nie mogąc uratować pani d'Adhemar, która bliską już była zgonu. We dwa dni potém, skonała na moich rękach, ale chwilę przed jéj skonem nachyliwszy się do niéj, wyjawiłem jéj prawdę; oczy jéj mówiły, iż zrozumiała mnie... umarła pocieszona.

Pan Nichaud zamilkł; wzruszenie wycieńczyło go; patrzałem z uszanowaniem na tego człowieka, którego dobre i czułe serce, jeszcze po upływie czterdziestu lat, tak głęboki smutek uczuwało na wspomnienie zdarzenia zupełnie obcego jego życiu.

. . . .

Następnego dnia zdjęto pieczęci i mogłem już przejrzéć zamek; nie bez wzruszenia ujrzałem

w grubym murze w głowach łóżka pani d'Adhemar, małą framugę, zdolną pomieścić człowieka; w niéj ukrywał się prezydent, zabijając żonę udanym głosem jéj nieszczęśliwego kochanka!

DZIEŃ ZAKOCHANEGO.

Może już się przebudziła,
Może wyjrzy tu z okienka, . . .
Wyjrzy, ach, ta wróżba miła,
To moja ranna jutrzenka.

Gdy jéj widok cień rozproszy,
Gdy na nią patrzę bez końca,
Budzę się na jaw rozkoszy,
Bo to mój piękny wschód słońca.

. . . .

Jeśli ukrywa westchnienie,
Ale ukrywa obłudnie,

Gdy na mnie rzuci spojrzenie,
Ach, to jest moje południe.

Kiedy się skłoni, — ucieka,
Jak, przed nocą ptak po gniazdka,
Gdy ją dojrzę już zdaleka,
To moja wieczorna gwiazdka.

Gdy w licach nie pała róża,
Z ócz nie jaśnieje swoboda,
Gniew jéj, — ach! to moja burza,
Jéj uśmiech moja pogoda!

Gdy jéj nie widzę, nie czuję,
A myślę o nich bez końca,
Wten czas u mnie noc panuje,
Wten czas dla mnie nie ma słońca!

PRZEPOWIEDNIA

SPEŁNIONA.

Tak wiele mówią, i tak często, o losie i przeznaczeniu. Nie dodając nic do tego co już powiedziano i napisano w tym przedmiocie, nie przywięzując się do mniemań Lawatera i Galla, jakoby z fizjonomji albo czaszki, sądzić można o skłonnościach i przeznaczeniu ludzi, przypominam sobie przypadek jeden, w którym wyrocznia, na pierwsze wejrzenie młodego człowieka wyrzeczona, zupełnie się późniéj spełniła.

Po nieszczęśliwéj bitwie pod Abukir, gdzie byłem świadkiem bohaterskiéj śmierci mego kapitana okrętu, walecznego Dupetit Thonars; wróciłem do Francji z kilkunastu innemi rannemi oficerami których Anglicy na słowo wypuścili. Szczęśliwym przypadkiem, wylądowawszy w Marsylji spotkałem się z najlepszym przyjacielem mojéj młodości. Mercourt z powodu słabości piersiowéj, wyjeżdżał do Prowancji.

Postanowiliśmy udać się do Amiens, wspólnego nam rodzinnego miasta.

Mercourt poświęcił się prawnictwu i był sędzią kryminalnym w Amiens. Jego drażliwy umysł, skutek słabego zdrowia i przyzwyczajenia do sądzenia zbrodni, nadały jego postaci i głosowi jakąś ostrość i niezgiętość, które niebyły dlań korzystnemi. Chociaż z natury dobry i ludzki, nie bardzo jednak względnym był dla swoich podobnych.

Pałałem niecierpliwością znajdowania się jak najprędzéj w gronie miłych mi osób. Wkrótce byliśmy gotowi do drogi; tego samego jeszcze wieczora opuściliśmy miasto, i w powozie pocztowym znajdowaliśmy się na gościńcu do Paryża. Przy drzwiach oberży, w któréj nazajutrz zatrzymaliśmy się na śniadanie, zobaczyłem chłopca, około trzynastu a najwięcéj czternastu lat, siedzącego na kamiennéj ławce. Ubranie jego dość było porządne; ale kurz pokrywający je, ogorzała twarz, wejrzenie znużenia i mały tłomoczek, który przy nim leżał, świadczyły dostatecznie, że dość długą podróż pieszo odbyć musiał.

— Skąd idziesz młody przyjacielu? zapytałem go.

— Z Orange, łaskawy panie.

— I całą drogę odbyłeś pieszo.

— Nie zupełnie, niekiedy pozwalali mi wieśniacy wsiąść na ich wozy.

— Biédne dziécię! cóż cię przymusza w tak młodym wieku taką podróż odbywać?

— Ach, mój panie! wuj, który podjął się wychowywać mię, nagle oddalił mię, i wracam do mojéj biédnéj matki w Amiens.

— Do Amiens? zawołałem na pół z radością na pół z zadziwieniem. Ta okoliczność i zajęcie jakiém mię ten chłopiec natchnął, podały mi myśl uczynienia coś dla niego. Zaprowadziłem go do kuchni, kazałem mu dać dobre śniadanie, przytém odprowadziwszy na bok konduktora dyliżansu, skłoniłem go przez mały datek, żeby zabrał tego biedaka do powozu. Ale Mercourt zobaczywszy mego pupilla, zmierzył go tym badawczym wzrokiem, którym przywykł śledzić zbrodnią w duszy winowajcy, i dość opryskliwie zapytał go:

— Któż ty jesteś chłopcze?

— Jerzy Brumont, panie!

— Z kąd idziesz, dokąd się udajesz?

— Z Orange do Amiens, panie!

— Dlaczegóż nie zostałeś w Orange?

— Mój wuj mię oddalił! rzekł zmięszany chłopiec, zapomniawszy po pierwszy raz dodać: Panie!

— Musiałeś coś zbroić, widzę to z twoich oczu.

— Doprawdy, nie; odpowiedział płaczliwym głosem.

— A cóż będziesz teraz czynił w Amiens, mówił daléj nielitościwy badacz; kto cię będzie pilnował.

— Będę przy mojéj matce, która jest ogrodniczką u jenerała Laplace.

— Więc chcesz żyć kosztem twojéj biédnéj matki.

— O, nie, rzekło dziecko pewnym głosem. Jestem wprawdzie mały, ale silny, i będę pracował dla mojéj matki.

— A w jakiż sposób myślisz pracować?

— Jak bądź, jak się da.

— Hm! istotnie, sądzę, że będziesz coś robił, ale pewno nic dobrego. Zdajesz mi się poczynającym niewartusem; postawiłbym sto przeciw jednemu, że prędzéj czy późniéj zobaczemy się u kratek sądowych. Popełnisz jakibądź występek, a ja cię poślę na galery. Czy-

tam to tak wyraźnie w twojéj twarzy, jakby się to już stało.

Na te słowa, wymówione proroczym głosem, młody chłopiec zaczerwienił się aż po białka oczu; uważałem jak zgrzytnął zębami, ścisnął pięści, i rzucił na mego przyjaciela wzrok głębokiéj pogardy. Na mnie samym ta scena uczyniła bardzo przykre wrażenie, które napróżno starałbym się opisać.

Za kilka dni przybyliśmy do Amiens. Podczas gdyśmy zajęci byli rozpakowywaniem naszych rzeczy, znikł muj mały Jerzy, i przez wiele lat nie słyszałem nawet o nim. Powróciwszy z nowéj morskiéj wyprawy, odwiedziłem jednego z moich przyjaciół, bogatego kupca Durand. Przyjemnie zdziwiłem się, poznawszy w jego kassjerze, tego samego chłopca, którego na gościńcu z Marsylji do Paryża wziąłem do powozu. Durand, który nic o tém nie wiedział, chwalił bardzo pilność i dobre postępowanie tego młodzieńca. To mi było bardzo przyjemnie chociaż udałem żem go nie poznał, bo nie chciałem zasmucić go może przypomnieniem téj okoliczności.

Udałem się z nieszczęśliwą wyprawą do St. Domingo, dostałem się tam do niewoli, bawi-

łem w Jamajce, i nakoniec wróciłem do Francji.

Udałem się do mojej rodziny, jak zwykle z wyobraźnią napełnioną najpiękniéjszemi obrazami. Wkrótce po mojém przybyciu, Mercourt, u którego byłem na śniadaniu, prosił mię, abym mu towarzyszył na sądy, gdzie ważny proces kryminalny miał być rozstrzygniętym. „Będziemy, rzekł mój przyjaciel, sądzić młodego człowieka, oskarżonego o sfaszowanie wexlu. Ta sprawa wiele hałasu w mieście naszém sprawiła.“

Przybywszy, znaleźliśmy salę bardzo już napełnioną; ale Mercourt posadził mię w dobrém bardzo miejscu, blisko ławki przeznaczonéj dla oskarżonych. Zaledwie zająłem miejsce, wprowadzono winnego. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, a ja, skamieniałem prawie, z boleści i zadziwienia, kiedy w nim poznałem tego samego Jerzego Brumont, do którego sam nie wiedząc czemu, szczególną powziąłem skłonność. Jak błyskawica, stanęła mi w myśli przepowiednia mego przyjaciela. O nieba! zawołałem zrywając się, czyliżby on wywróżył prawdę? Na szczęście, mimowolne moje wykrzyknienie nie zwróciło niczyjéj uwagi. Moje oczy nie mogły

się odwrócić od biednego młodzieńca. Zdawał się być spokojnym i pewnym swojéj sprawy; ale był blady i wychudły, a oczy jego głęboko były zapadnięte. Schyloną miał głowę, i podniósł ją tylko, aby odpowiedzieć na pierwsze uczynione mu zapytanie. Nagle postrzegł Mercourta, który jako prezydujący zapytywał go, i nie mógł już ani słowa wymówić. Jego usta drgały, oko jego zagasło, śmiertelna bladość twarz jego pokryła i gwałtowne drżenie wstrząsnęło wszystkie jego członki. W tym stanie pozostał przez całe posiedzenie. Nakoniec po długich rozprawach, dla braku dostatecznych dowodów i przez wzgląd na nienaganne dotychczasowe postępowanie, sąd uznał go niewinnym.

Ten wyrok, który obwiniony przyjął bez najmniéjszego znaku wzruszenia, mnie napełnił najżywszą radością. Powstałem, albo raczéj zerwałem się z krzesła, i pobiegłem uścisnąć rękę Jerzego, którą znalazłem zimniéjszą niż marmur. Młodzieńcze, rzekłem, jesteś uwolniony, sąd uznał cię niewinnym.

— Czyliż i świat uwierzy, że nim jestem?

— Nie chciéj wątpić o tém. Każdy niezawodnie będzie chciał wynagrodzić ci niesłusznie poniesione cierpienia.

Głębokie westchnienie było jedyną odpowiedzią. Jak powiedziałem, stał on się przedmiotem przychylności i zajęcia wszystkich mieszkańców Amiens. Pan Durand, zaklinał go, aby mu przebaczył niesłuszne jego podejrzenie, i wszelkich sił dokładał, aby go zatrzymać u siebie, ale napróżno.

Wkrótce potem, umarł wuj młodego Brumont, i zostawił mu cały swój majątek. Jerzy rzucił się do interessów spekulacyjnych, wysyłał okręty z towarami i zebrał ogromny majątek. Ożenił się z piękną nader kobiétą, i był ojcem trojga dzieci pełnych nadziei. Ale chociaż posiadał wszystko co stanowi szczęście człowieka na tym świecie, nie był jednak nigdy wesołym, i ponura boleść ciężyła jego duszy. Zdawał się być przygniecionym ciężarem rozdzierających wspomnień tego smutnego wypadku.

Podczas pokoju z Anglją, mieszkałem w Amiens; ale w przykrym stanie, w jakim znajdował się Brumont, unikałem starannie spotkania się z nim, i nie bywałem u niego nigdy. Ale pewnego dnia, przysłał on po mnie, prosząc, żebym go spiesznie odwiedził. Poszedłem i znalazłem go walczącego z śmiercią.

— Zbliż się pan! rzekł słabym, zaledwie zrozumiałym głosem: — Nie mam potrzeby mówić

panu, że jestem ten sam, którego pan przed dwudziestu laty, przyjąłeś na drodze do swego powozu. Oddawna pan mię poznałeś. Czuję w téj chwili, że za kilka godzin umrę, i dlatego tylko wezwałem pana, aby memu sercu, nim pęknie, ulżyć nieznośnego ciężaru. Najpierwéj po owém pierwszém spotkaniu, znalazłeś mię pan u pana Durand, który mię z nędzy wydobył, i którego zaufanie względem mnie było nieograniczone. Późniéj widziałeś mię pan obwinionego o szkaradny występek i sądzonego przez pana Mercourt. On mię nie poznał; ale ja nigdy nie zapomniałem jego rysów, i w téj chwili kiedy go ujrzałem, jego okropna przepowiednia uderzyła mię jak piorun, i w ognistych charakterach okazała się wszędzie przed memi oczyma. Kiedy mię ogłoszono niewinnym, napróżno starałeś się pan wyrwać mię z bezsilności w jakiéj dusza moja była pogrążoną. Pan sądziłeś, że boleść tak mię przygnębiła. Ale dowiedz się: byłem występnym, i chociaż sądziowie moi ogłosili mię niewinnym, jednakże byłem zbrodniarzem, i przepowiednia pana Mercourt sprawdziła się. Kiedy po odczytaniu wyroku, odbierałem powinszowania przyjaciół, kiedy moja szanowna matka uścisnęła

mię i dziękowała niebu, że jéj takiego syna dało, najokropniéjsza boleść zawrzała w moich piersiach, która tylko tą myślą mogła być zmniéjszoną, że wróciwszy na drogę cnoty, będę jeszcze mógł żyć spokojnie. Lecz sprawiedliwość Boska, wymierzyła mi zasłużoną karę. Mój dobroczyńca, człowiek, który obchodził się ze mną jak z swoim synem, i tym sposobem żmiję ogrzewał na swém łonie, prosił mię o przebaczenie i przyjaźń. Zgryzoty sumienia, jakich w téj chwili doświadczyłem, przewyższają wszystko co można pomyśléć. Tymczasem niebo, w niepojętych swoich drogach, od owéj chwili zlewało na moją występną głowę wszystkie swoje dobrodziejstwa; ale wszystko, co byłoby innego uszczęśliwiło, coraz głębiéj raniło serce moje. Pieszczoty mojéj żony i moich dzieci, podwajały moją rozpacz, bo tém żywiéj przypominały mi mój występek.

Na każdym bilecie bankowym zdawało mi się że widzę u góry wypisany wyraz „fałszerz“ Liczne, szybko po sobie następujące nieszczęsne wypadki, zniszczyły zupełnie pana Duraud, człowieka którego tak haniebnie oszukałem. Aż do dzisiejszego dnia wspierałem go skrycie, i już od dawna w trójnasób zwróciłem mu tę summę,

którą sobie niegdyś występnie przywłaszczyłem. Zaklinam cię, panie, chciéj mu przesłać te jeszcze papiery, ale niech się nie dowie skąd one pochodzą. Przez miłość dla moich dzieci, pragnę żeby pamięć moja nie była hańbą pokryta.

Przyrzekłem nieszczęśliwemu Brumont, wypełnić jego zlecenie. Umarł w kilka dni potém i pochowany został z wspaniałością, jaka uważażana jest za potrzebną przy pogrzebie bogatego. Długi szereg smutnych przyjaciół, towarzyszył zwłokom jego do miejsca wiecznego spoczynku, bo mnóstwo pięknych przymiotów łączyło się w nim z tą skłonnością która go jeden raz uczyniła występnym. Był czułym, łagodnym, uprzedzającym, usłużnym. Te myśli cisnęły się tłumnie w méj duszy, podczas gdy zasypywano trumnę ziemią, i niemogłem wstrzymać jednéj łzy litości i żalu, chociaż ona spadła na grób występnego.

RÓŻA ZEELANDJI.

Wały Baltyckiego morza biją gwałtownie o brzegi Zeelandji.

Kiedy w poranną godzinę, pierwszy promień słońca zadrży na kołyszących się wałach, błyszczących jak perły i djamenty, jasny szkarłat pokryje modrą powierzchnią, a skaczące wały zdają się tworzyć wieniec liści, z którego tu i owdzie czarowne kwiaty występują.

Rybak stoi na brzegu z założonemi na krzyż rękami, zamyślony spogląda na wspaniałą igraszką natury i z cicha mówi:

— To Róża Zeelandji!

Róża Zeelandji, była to młoda dziewczyna, córka rybaka; dawno już ona umarła, ale zawsze jeszcze wspomnienie jéj żyje w pamięci ludu. Mieszkaniec tej dumnéj wyspy, nie jest nieczułym na powab młodości i wdzięków, ceni je, podziwia; ale ujrzawszy piękną dziewicę, odwraca się i mówi z westchnieniem:

— Ach! to nie jest Róża Zeelandji.

Róża nie miała jeszcze lat szesnastu, w pół dziecię w pół dziewica, lekka i powabna jak nimfa morska, w jéj głowie dwoje niebieskich oczu, błyszczało jak gwiazdy wśród nocy. Oko ojca patrzyło na nią pełne niewymownéj roskoszy, spojrzenia kochanków scigały ją z uniesieniem. Kto chciał mieć dzień wesoły, ten zapukał do jéj chatki, i rzekł: „Piękna Różo, uśmiechnij się do mnie!“ Wtedy ona uśmiechnęła się, a żadne nieszczęście, nie zachmurzyło jego czoła przez cały dzień. Czyje serce bardzo cierpiało, ten spotkawszy się z nią rzekł: „Piękna Różo, spojrzyj na mnie.“ Wtedy ona spoglądała wzrokiem nieopisanéj czułości na nieszczęśliwego, który stał przednią, a natychmiast łzy ulżyły jego boleści.

Róża była opiekuńczym aniołem Zeelandji!

Młodzież pałała niewymowną miłością dla niéj, ale jéj serce zostało niewzruszone tą boleśnie słodką namiętnością; ze wszech stron zbiegali się młodzi i bogaci zalotnicy, którzy jéj obiecywali niebo na ziemi, ale Róża odrzucała ich, a ojciec nic nie mógł uczynić, jak tylko pożegnać ich ściągając ramiona.

Róża czuła się szczęśliwą w swéj niezawisłosci, niechciała ona nawet *złotych* więzów nosić; kwia-

ty które bez przymusu pod gołém niebem kwikwitną, najpiekniéj błyszczą i pachną.

Namiętność silniéjsza jest od człowieka, bo namiętność opanowywa go; nawet Róża musiała się poddać jéj potędze. Od téj chwili stała się milczącą, i pomięszaną, unikała swoich towarzyszek, oczy jéj napełniały się łzami, uśmiech który dawniéj igrał na jéj ustach, znikł; wzdychając spoglądała na gwiaździste niebo, albo ku wzburzonym wałom, tęskne wyciągała ramiona.

W najodległéjszéj części wyspy, okropna burza zniszczyła całą wieś, wały pochłonęły szczupłe własności nieszczęśliwych mieszkańców, którzy z boleścią opuścili miejsce zniszczenia, i wyszli w rozmaite strony szukać nowéj siedziby.

Rolf, silny młodzieniec, szedł brzegiem morza; na plecach niósł resztę chudoby ocalonéj od strasznéj burzy; prawą ręką prowadził sędziwą kobiétę, z czerwonemi od łez oczyma, była to jego matka, lewą wspiérał znużonego życiem starca, był to jego ojciec; ale nie zgięty potrójnym ciężarem, Rolf szedł smutną ścieszką, aż doszedł do wioski w któréj Róża mieszkała. Zapukał do jéj chatki, prosząc o gościnność

dla jego starych rodziców, ale Róża wyszedłszy dla przyjęcia wędrowców, i spojrzawszy w oczy młodzieńca, spuściła wzrok w ziemię i szybko odbiegając, zawołała ojca, aby przyjął obcych.

Nieszczęśliwi, tutaj znaleźli nową siedzibę; dano im chatkę i czółno, i sieci poświęcone przez plebana. Rolf wypływał na morze z młodzieżą wiejską, dzielił jéj prace i trudy, i wkrótce zdawało się, że nigdy nie mieszkał gdzieindziéj.

Rolf i Róża widywali się codziennie, ale spoglądali na siebie z boku, i nigdy z sobą nie mówili; on z pełném sercem szedł ku niéj, ale język nie chciał mu być posłusznym; ona biegła naprzeciw niemu z tęskném oczekiwaniem, ale kiedy już była blisko niego, spuszczała oczy i odchodziła w stronę.

Pewnego dnia, Róża wypłynęła na morze w lekkiém czółnie, ona była zręczną żeglarką i umiała dobrze rozwinąć żagle i kierować sterem. Rolf stał nad brzegiem i patrzał jak pruła wały.

— Może ci dopomódz Różo! zawołał młodzieniec, weź mię za twego sternika!

Ale ona skinęła odmownie, i puściła się szybko po jasném zwierciedle.

Nikt prócz Rolfa nie wiedział o odpłynięciu Róży; on wzdychając patrzył za nią i pogrążył się w zamyśleniu; barka Róży płynęła w odległości podobna do szybko lecącéj rybitwy. Słońce było jasne, a promienie jego igrały z powierzchnią wałów, która wyglądała jak złoty płaszcz wieszczki.

Ale nagle, niebo okryło się czarnemi chmurami, ryby niespokojnie podskakiwały nad wodę, a rybitwy z krzykiem ku brzegowi leciały. Rolf ocucił się z zamyślenia, i bystrém okiem spojrzał w około, ale nie dostrzegł nigdzie statku Róży.

— Wielki Boże! zawołał. Więcéj nie mógł wymówić, ale z szybkością błyskawicy wskoczył w czółno, rozwinął żagle i wypłynął na wzburzone już wały. Nadchodząca burza wywołała z chat towarzyszy Rolfa, ujrzeli oni bliskie niebezpieczeństwo, na które się wystawia, wołali za nim, ale on nie oglądał się, nie słyszał ich ostrzegających głosów, n i e c h c i a ł ich słyszéć.

Na wyścigi z orłem, płynął młodzieniec na pełne morze, coraz gwałtowniéjszą była burza,

coraz wznosiły się wały, coraz gęstszą stawała się ciemność. Wtém postrzegł barkę, na któréj Róża wypłynęła, maszt jéj był strzaskany, zdarte żagle, jéj saméj nie dostrzegł nigdzie. Z krzykiem dopłynął do barki. Na dnie jéj leżała piękna dziewica, bez zmysłów, może bez życia. Z trudnością udało mu się uwolnić ją, z jéj okropnego położenia, i wsiąść na swój statek; i tutaj leżała ona bez poruszenia; z uciśnioném sercem, Rolf zaczął sterować do brzegu.

Na brzegu panowało zamięszanie; młodzież rozmawiała o wyprawie Rolfa, starzy nazwali go lekkomyślnym, nierostropnym; ale wkrótce dostrzeżono nieobecność Róży, jéj barki niebyło w pośród statków stojących w przystani, i teraz łatwo było wszystko odgadnąć; ojciec Róży prosił przyjaciół o pomoc, ale i najdzielniéjsi nie mieli odwagi, rzucić się na tak widoczne niebezpieczeństwo.

Noc zapadła, zniesiono stosy chrustu i podpalono je, aby płomienie wznoszące się w pośrod ciemnéj nocy, mogły wskazywać drogę zbłąkanemu żeglarzowi.

Nagle zabrzmiał głośny krzyk na brzegu; Rolf wylądował, jego odważny czyn, powiódł

się szczęśliwie. Przybiegającym przyjaciołom zostawił staranie o statku, i z drogą zdobyczą swoją wyskoczył na brzeg. Radość jego była nieograniczoną. Róża zwolna przyszła do siebie, i wylała się w żywych wyrazach swojéj wdzięczności, ojciec jéj przyjął ją z rąk jego, i wzywał błogosławieństw nieba dla jéj wybawcy, jego rodzice płakali łzami radości i dziękowali Najwyższemu.

Była północ, ale radość zamieniła ją w najjaśniéjszy dzień, wszyscy wzajemnie sobie winszowali, i dopiero około poranku rozeszli się.

Od téj chwili, wszyscy młodzi ludzie zaniechali ubiegania się o Różę, zostawiając pierwszeństwo jéj wybawcy. On był szczęśliwym; pod sprzyjającą zasłoną milczącéj nocy, Róża przyjęła wyznanie wiecznéj miłości, i oparta o jego piersi odkryła mu swoje uczucia.

Ale dobrzy wyspiarze nie wiedzieli jeszcze co sądzić mają o młodéj parze. Róża bała się poświęcić swoję niezawisłość, i poddać się woli męża, postępowała poufale i przyjaźnie z Rolfem, ale kiedy ją prosił o pozwolenie, oświadczenia się o jéj rękę ojcu, pokręciła główką i śmiejąc się odbiegła. Jeżeli Rolf zmartwiony odwrócił się, wracała natychmiast, ciągnęła go

z sobą ku morzu, wsiadała w lekką barkę, dawała mu znak aby to samo uczynił, i oboje płynęli na pełne morze. Gdy już tak daleko byli od brzegu że głosy ich niemoły być rozumiane od tych którzy tam stali, składała wiosła, i spoglądała błagającym wzrokiem na pięknego młodzieńca.

— Mój wybawco! mój przyjacielu! kocham cię nad wszystko; jestem twoją, i chcę twoją na wieki zostać! Ale miéj litość, i zostaw mi na niejaki czas jeszcze moję niezawisłość. Jeśli każesz, w téj chwili jeszcze pójdę za tobą do ołtarza, bo uznaję cię moim mężem i panem, ale na miłość twoję dla mnie zaklinam cię, nie żądaj tego, bo godzina naszego wiecznego połączenia, byłaby godziną naszéj śmierci, ty nie wiesz tego co ja wiem.

I Rolf nic nie wymagał, oboje w milczeniu wracali do brzegu.

Tak pozostało przez czas niejaki.

Nadeszła Jesień. Młodzi ludzie, chłopcy i dziewczęta, zajmowali się kopaniem wązkich kanałów, które napełniali wodą morską, potém zamykali je od strony morza, woda wsiąkła i wyschła, a ryby które się aż tu zabłąkały, zostały na su-

chém dnie. Śmiejąc się zabierano zdobycz, była to raczéj zabawka niż praca.

Podług zwyczaju, młodzież wtedy dawała sobie wzajemnie pocałowania. Dziewczęta niekiedy wzbraniały się, uciekały, ale nie zbyt prędko, dla tego też chłopcy doganiali je zwykle. Wtedy porywali lubą zdobycz silnemi rękami, nieśli ją na morze coraz głębiéj, unosząc ją nad wodą, póki strwożona dziewczyna nie okupiła się pocałowaniem.

Cały brzeg napełniony był chłopcami i dziewczętami bawiącemi się, a starzy zdaleka patrzyli na ich igrzysko uśmiechając się. Rolf i Róża byli także na brzegu. On zbliżył się do niéj uprzejmie i rzekł:

— Spojrzyj-no w około, one wszystkie pozwalają się całować, porzuć raz twój upór, pocałuj mię jako moja narzeczona.

Ale ona skinęła nań aby odszedł i rzekła:

— Nie chcę, i jeźli nie przestaniesz mię naglić, pójdę i nigdy mię już nie zobaczysz.

— Nie, rzekł Rolf, tak nie odejdę od ciebie; wszyscy żartują ze mnie i wyśmiewają, że nie umiem sobie poradzić z dziewczyną, tak dłużéj być nie może, dla tego pytam się ciebie czy pocałujesz mię teraz?

— Nie, nigdy! zawołała Róża.

Ale zaledwie wymówiła te słowa, Rolf porwał ją na ręce i poniosł na morze.

Wesołe, głośne okrzyki zabrzmiały w około, bo połowa przyklaskiwała stałości Róży, a druga odwadze Rolfa.

Róża drżała w śmiertelnéj trwodze, bo widziała swoję i swego przyjaciela zgubę. Co dotychczas dla wszystkich wyjąwszy jéj jednéj była tajemnicą, to miało bydz teraz odkrytém. Prosiła Rolfa żeby się zatrzymał przez chwilę, i szepnęła do mu ucha:

— Nie mogę cię pocałować, mój przyjacielu, choć moje serce bardzo tego pragnie, kochałam cię jak tylko przyszedłeś do naszéj wioski. Pewnéj nocy, wyszłam na brzeg. Ten okropny potwór, który niekiedy ukazuje się nad wodą, i który nazywamy olbrzymem Sundu, wzniósł swoją ogromną głowę po nad wały, i spojrzał na mnie. Stałam przestraszona, nie uciekałam jednak, bo wiem że ten potwór nie może nam nic złego uczynić dopóki jesteśmy na lądzie.

— Różyczko Zeelandji! zawołał na mnie po dwakroć głuszącym głosem, który mię przejął śmiertelną trwogą: — „Stój i słuchaj mię! Jesteś moją narzeczoną, wezmę cię do mego pałacu,

skoro tylko wszystko gotowe będzie na twoje przyjęcie. Idź i używaj twojéj wolności, póki cię nie zawołam; ale strzeż twego serca, żebyś go innemu nie oddała, bo wtedy dosięgnę was obojga i zniszczę.

— Ha! ha! ha! rozśmiał się głośno Rolf, to zgrabnie wymyślona bajeczka na postrach dla mnie; ale ja nie jestem tak bojaźliwy i nie lękam się twojego morskiego olbrzyma. Raz jeszcze, pocałujesz mię czy nie?

— Nigdy! zawołała Róża.

— A więc ja gwałtem cię pocałuję, na złość wszystkim olbrzymom i potworom, a dla przekonania ich, że się nie lękam, postąpię daléj na morze.

Aż do téj chwili słuchano z brzegów rozmowy Rolfa z Różą przyklaskując im na przemian.

Coraz daléj i głębiéj postępował Rolf na morze, już woda dosięgała jego szyi; wzniesionemi rękami trzymał nad swoją głową drżącą Różą. Z brzegu zaczęto nań wołać aby nie posuwał daléj żartu i zwrócił się, ale oboje nie słyszeli już ostrzegających głosów.

Wtem usłyszano rozdzierający krzyk, Róża ten krzyk wydała. Wszyscy spojrzeli ku niéj i skamienieli z przerażenia. Ogromna głowa wy-

nurzała się nad wodę, była biała jak ściana kredowéj skały, szeroki otwór wskazywał miejsce paszczy, dwa rozrzażone węgle oznaczały oczy, a zamiast włosów, wiły się na niéj niezliczone pstro-barwne morskie węże.

— Piękna Różo! piekna Różo! — zawołał potwór, tak okropnym głosem że aż brzegi zadrżały, — oczekiwałem już ciebie, teraz jesteś moją, moją na zawsze!

Z okropnym szumem zanurzył się napowrót olbrzymi potwór; ale z nim razem znikł Rolf i Róża.

Żadne smiertelne oko nie ujrzalo ich więcéj; ale kiedy szkarłat wschodu, z jasnego nieba na morze wstępuje, wtedy wały wznoszą się i opadają, a na ich pienistych grzbietach,... tańczy Róża Zeelandji.

DWAJ LICHWIARZE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Hermana Meynert.

I.

Pozwolę sobie, ośmielony skwapliwą gotowością czytelnika w towarzyszeniu urojeniom mojéj fantazji, wprowadzić go do brudnéj okropnéj izby, któréj ogołocone ściany, najlepiéj świadczą o zupełnym niedostatku wszelkich ozdób. Na samym zaraz wstępie, wpadnie nam w oczy mały chemiczny piecyk z żelaza, dziwacznego kształtu, który jakby szkaradny Gnomon wewnętrznym ogniem płonie i ziaje, a z blaszannych otworów błękitno żarzący zaduch wyrzuca. Żelazna wystawka przy tym piecu znajdująca się, obciążoną jest tyglami, cęgami i innemi narzędziami. Obok na niezgrabnie u-

rządzonéj ławie, leżą wielkie sprężyny stalowe, śruby, dzwoneczki kruszczowe rozmaitego rozmiaru, słowem cały aparat należący do jakiejś rozebranéj machiny, która zdawała się być albo niedokończoną, albo też wcale popsutą.

Przy jedyném oknie, staroświecko kończato u góry zakończoném, z osadzonemi na ołowiu drobnemi szybkami zakopconemi, przez które światło zmierzchającego się już dnia, jeszcze posępniéj przebijało, siedzi młody i piękny mężczyzna w schludnéj domowéj odzieży, i spogląda to na czerwone smugi na niebie się rozciągające, to znów na naczynia i sprzęty na stole przed nim, w zupełnym, jak na ławie, nieładzie porozrzucane. Zmartwienie i głębokie zamyślenie, wzięły w posiadanie wyłączne, jego rysy twarzy, a nie ujmując bynajmniéj jego młodości, zostawiły na niéj ślady nienaturalnych zmarszczków. Jak palmowe drzewo, któremu każdy rok nowy pierścień dodaje, tak też i na pięknych licach młodzieńca, widać ślad codziennego starzenia się, z którego nakształt tajemnego pisma strapienia, wyczytaćby można było cały bieg jego życia od najwcześniéjszéj młodości, aż do teraźniéjszéj chwili. Kilka kroków za nim, siedzi jakaś ludzka istota, którą bez-

piecznie do wyżéj opisanego piecyka, przyrównać można.

Jego głowa, w utworzeniu któréj zdawało się, że matka natura przez dziwaczny jaki kaprys, nie zważała na prawidła przyrodzenia, osadzoną jest bezpośrednio na grubym karku, a miejsce, w którymbyś napróżno szukał szyi, tak jest niewidoczne i spojone, że najzręczniéjszy nawet anatomista nie mógłby onegoż dokładnie wskazać. Około tego reprezentanta szyi, widzieć się daje, tak jak na owym piecyku, galeryjka, tylko nie żelazna, ale z brudnéj kryzy. I on także poci się i sapi, albowiem płomień lampy, nad którym trzyma rurkę lutowniczą, pociągiem wiatru poruszany, dotyka prawie nachylony twarzy, na któréj widać wyraz cierpienia, niewymownie komiczny.

To są jedyni mieszkańce izby do któréj wchodzimy. Obadwa w głębokiém milczeniu zanurzeni, młody człowiek przy oknie z powodu zamyślenia i kłopotu, brzydki zaś karłowaty służący, dla pilnego zajęcia się pracą. Dopiéro kiedy ostatni dokończył swojego lutowania, i lampę zagasił, zaczął czegóś szukać na stole, a nie znalazłszy, odzywa się głosem nie bardzo

dźwięcznym: Panie Edwin, ja już dziś dłużéj nie mogę pracować; brakuje złota.

— Złota! złota! powtarza tamten wzdychając, tak, masz słuszność, nie dostaje nam złota, a bez niego nie masz życia. Czy już doprawdy nie ma ani kruszyny, i trzebaż koniecznie przerwać robotę?

— Niepodobna, mój dobry panie, rzecze służący, powstając z swego siedzenia, przyczém ukazał w całéj okazałości swoją niezgrabną figurę. Dzwonek H. pożarł ostatni gran złota, a gdybym był nie pozbierał opilków, tobyśmy z naszą robotą pewnie tak daleko nie zaszli. Miéj tylko, dobry panie cierpliwość, kiedy nam niebo dotychczas dopomagało, to nas i dłużéj wspiérać będzie. Przy tych słowach wynurzył żywe i przenikliwe, ale zarazem dobroć malujące oczy.

— I cóż mi pomoże twoja pociecha! niechętnie odpowie młodzieniec; mnie koniecznie potrzeba złota, inaczéj całe dzieło, na które już tyle poświęciłem i zdrowia i kosztów, spełznie na niczém. Złoto! gdzież cię szukać, ty kruszcowy talizmanie, czarcie zakamieniały, który w najskrytszych tajnikach ziemi zagłębiwszy się, rozpierzchnąłeś się w tak drobne substancje, że

z największym trudem uganiamy się za tobą, i tylko niedostrzeżoną cząstkę uchwycić zdołamy, aby nią rozdrażnić bardziéj nasze łakomstwo, nie mogąc nigdy piekielnego pragnienia zaspokoić? któż mi wskaże tę różczkę czarowną, któraby mi odkryła owe odwieczne miny złota, na którém wszelakie życie i cały porządek rzeczy spoczywa! kryjesz cię i uciekasz przed rozpaczającym, którzyby w kruszcowém twojém łonie, mógł znaleźć ocalenie, a bez ciebie ginąć musi! Ha! przeklęte, a jednak najgoręcéj ukochane złoto, zwodnicza czarownico, ukaż mi pałac twojego oblubieńca, lub zginę!

Upośledzony na powierzchowności sługa, spoglądał z głupowatém zamyśleniem, i z wzruszeniem na konwulsyjnie usposobione rysy twarzy swego pana, a skoro ten ostatni umilkł, i boleśnie oczy na dół spuścił, po chwili zapytał go:

— Ależ czy koniecznie ma bydź złoto, mój dobry panie? czy inny jaki kruszec nie mógłby nam być również przydatnym. Wszakże i żelazo ma swój dźwięk, tak jak miedź lub mosiądz, a osobliwie srebro, co do szlachetności równające się prawie ze złotem, i tylko dlatego jemu ustępujące co do wartości, że się w większéj

pełności ludziom odkrywa. Mnie się zdaje, że i pan w rzadkości wartość zakładasz. Bądźmyż i my choć raz, równie pyszni jak złoto, pokażmy mu że się bez niego obejdziemy, a wtedy, wspomnisz pan moje słowa, złoto wróci do swojéj nicości, i wtenczas ono nas będzie szukać, kiedy niém wzgardziemy.

— Milcz stary głupcze, nie znasz się na tem! cóż ty możesz miéć wspólnego z wspaniałemi tajemnicami złota, ty którego natura na pośmiewisko utworzyła. O! w tym kruszczu przebywa niepojęty duch którego mało kto dociec może, i który żeby nie był odkryty, zwykł swojego posiadacza zaślepiać obłędem sknerstwa, ażeby tenże nie bóstwo dobroczynne, ale prosty bałwan w niem czcił. Złoto jest zebraniem najdelikatniéjszych żywiołów, skutkiem najskrytszych warunków życia. Tam gdzie lichwa i oszukaństwo przebywa, znają tylko brudną pokrywę, czyli raczéj pozbawione duszy zwłoki złota, ale wewnętrzna jego wartość prawdziwa, poznaną tam bydź niemoże i inne, inne wcale istoty, mogą dopiero złoto, w samém złocie dostrzedz.

Któż nie pozna w tych napierzystych, ciemnych sofizmach, owych wyrażeń w tylu dziełach z wieku przeszłego o alchemji traktujących, będących,

w których niedorzeczność ubarwiona kwiatkami, a głupstwo okryte maską mądrości! a przecież Edwin nie był alchemikiem. Dawno już czas minął, w którym błędna i napróżno zawracająca głowę nauka robienia złota, była w modzie. Edwin kochał złoto, bo go potrzebował, a raczéj potrzebować się zdawał; uganiał się za niém, bo mu go nie dostawało. Skutkiem wychowania, umysł jego napełniony był wyobrażeniami ciemnemi i uporczywemi, a że z natury swojéj nie był ani zbyt rozrzutnym, ani zbyt skąpym, przeto powziął do złota przywiązanie mistyczne, które mu przedstawiało w tym kruszcu coś nadzwyczajnego, i w końcu wyobrażenia te zamieniały się w nieznaczny obłęd. Szczególna ta słabość do złota, miała swój powód nieodgadniony, który w dalszym ciągu naszéj powieści, może się da wyjaśnić.

Żeby nie nadużyć przywilejów opowiadacza, ani przedwcześnie nie natężyć uwagi i ciekawości, wspomnieć tu należy, że Edwin w młodości swojéj jeszcze okazywał tę dziwną skłonność do złota. Może ta skłonność doprowadziłaby go była do większych uchybień, gdyby nie burzliwe wypadki życia, które go w młodym wieku winne koleje popchnęły. Pozbawiony po-

mocy, od wszystkich opuszczony, musiał się chwycić jakiegoś zatrudnienia, któreby nie tylko odpowiadało jego ognistéj wyobraźni, ale dostarczyło jak najprędzéj tego, na czém mu właśnie zbywało, to jest... chleba.

Obrał sobie zawód muzyczny. Żywa jego wyobraźnia połączona z wrodzoną skłonnością, postawiła go wkrótce na stopniu doskonałości dosyć znakomitym, i nie trudnoby mu było zapewnić sobie w niejakim czasie stałe utrzymanie; ale umysł jego niespokojny, ustawicznie odwodził go od prostéj drogi, i oddalał od zamierzonego celu.

Niebawem przyszło mu na myśl, żeby bliżéj połączyć dar do mechaniki, z nabytemi wiadomościami muzycznemi. W czasie swojego podróżowania przez Niemcy, Francją i Anglją, przyglądał on się z pilnością rozmaitym instrumentom muzycznym, i uczuł w sobie żądzę utworzenia czegoś podobnego. Właśnie w tym czasie akustyka była na szczeblu swego tryumfu; nowo wynaleziony przez Kaufmana „*Harmonichord*“ sprawiał podziwienie. Edwin nie mógł się wstrzymać, żeby nie przedsięwziąść podobnego wynalazku, będąc upewnionym, że jego znajomość mechaniki i muzyki, czynią go do te-

go sposobnym. Przy tém myśl jego zwracała się zawsze do wkorzenionego z młodości uprzedzenia; że w własności złota spoczywać koniecznie musi ów dźwięk uroczy, dotąd jeszcze nieznany. Postanowił zatem wystawić instrument ze złota, któryby w państwie dźwięków był kamieniem filozoficznym. Póty myślał nad planem, póty go przerabiał, poprawiał, że na ostatku mniemał że już będzie dokładnym, i wtedy nic mu już więcéj niebrakowało, jak tylko... złota.

Przywiązanie i miłość dla żony, z którą się niedawno połączył, nie mogły wstrzymać Edwina, od poświęcenia zapracowanego mienia i wszelkich zasobów, raz powziętemu urojeniu. Co tylko miał, wszystko posprzedawał, zarzucił swój sposób do życia, i osiadł w stolicy *** sądząc, że w wielkiém mieście, nie tyle i na siebie uwagi będzie zwracał; i że łatwiéj ukryje i siebie i swoją tajemnicą. Małżonka jego miała swoje powody do zganienia mu pobytu w stolicy, ale Edwin nie pozwolił sobie czynić żadnych przełożeń, gdzie szło o bożyszcze jego urojenia. Bogaty w pomysły, biedny w mienie, bez złota, a na złocie wszystko zakładający, obrał sobie niepozorne prawda, ale dla jego do-

świadczeń dogodne mieszkanie w stolicy. Stary jego sługa Gotthold, który pod niekształtną i brzydką powierzchownością ukrywał skarb wierności i przywiązania, posiadał także niejakie wiadomości w mechanice, znał się bowiem dobrze na topieniu kruszców, i w tém stał się swojemu panu bardzo pomocnym. Chętnie poświęcił swój oszczędzony grosz i szczupłą po rodzicach spuściznę, widokom swojego pana, a przyłożywszy się w cząstce do jego pomysłów, bez żadnych rachub zysku, nawet bez nadziei otrzymania kiedyś zwrotu, znosił cierpliwie zły humor często napadający Edwina, z powodu niedostatku i trosków.

W takiém tedy zatrudnieniu zastajemy obudwóch w pracowni na początku opisanéj. Szczupły zapas złota, utworzony ostatkiem mienia Gottholda i krwawemi zabiegami Edwina, właśnie został już wyrobiony, a budowa machiny ledwo zaczętą była. Posępnie przyglądał się Edwin pięknie wypracowanym dzwoneczkom złotym, upatrywał on w nich możność urzeczywistnienia swoich pomysłów, a jednak skutecznych na to środków wynaleźć już nie mógł. I Gottholda oko, zasępione niechęcią i zawiedzioną nadzieją, spoczywało na przerwanéj robocie.

Prawdziwie, mruczał sobie, to przeklęte i niepodobne do wykonania dzieło, przypomina mi niepoczesną powiastkę, jaką już niepamiętam w któréj książce czytałem o grobie króla Belusa.

— Cóżby to mogło być? zapyta Edwin więcéj roztargniony jak ciekawy?

Posłuchaj pan. — Gdy Xerxes, ów pyszny władca Persów, przybył do miejsca, w którém stary Belus był pochowany, przyszło mu do głowy kary godne urojenie. Rozkazał on grób otworzyć, i znalazł w nim szklanne naczynie pełne czystéj, wonnéj oliwy, w któréj zwłoki Belusa więcej jak od tysiąca lat pływały. Na tablicy marmurowéj wyryte były te słowa: „Ktokolwiek z śmiertelnych, otworzy ten grób, i naczynia nie napełni oliwą, niech wie, że mu Bogowie przeznaczą zgon nieszczęśliwy i haniebny.“ — Wzdrygnął się Xerxes na taką przepowiednię; kazał przeto przynieść tyle oliwy, ile tylko možna było w okolicy a nawet i daléj dostać, i wlać do otwartego naczynia szklannego. Ale napróžno; zdawało się že naczynie ma jakie tajemne upusty, albo też zwłoki z czarodziejską chciwością połykały wszystką oliwę, dość že nie možna było nigdy naczynia napełnić do wierzchu. Strach niewymowny ogarnął Xerxesa, kazał na-

powrót grób zamknąć, nie wypełniwszy polecenia na marmurze wyrytego, i zdał się na losy. — Tak też, ja myślę że przedsięwzięcie pańskie, można porównać z owém szklanném naczyniem. Przyrzucasz pan nieustannie złoto do złota, jednę godzinę życia do drugiéj, i nie możesz zapełnić złotéj przepaści którą sam sobie otworzyłeś, a która pochłonie nietylko jego zbawienie, miłość, ale pana samego, a nawet wtenczas ieszcze nie będzie pełną, choć nawet zwłoki twojéj pomyślności połknie!

Edwin skinął głową milcząc, i mimowolnie potwierdził ponurą przepowiednię. Cóż mi pomoże twoja przestroga, rzecze z głębokiém westchnieniem, mnie tylko złoto pomoże, nie zaś błędne rozumowanie. Zacząłem, i chyba tylko z moim zgonem przestanę. Pomoc musi nadéjść, i przjidzie niezawodnie. Komu żadna ofiara nie jest zbyt wielką, temu i na środkach, zbywać nie będzie. Wiem że w mieście znajdują się lichwiarze, którzy nadzieją przyszłego zysku uludzić się dadzą; ich pomoc jest kosztowna, ale niezawodna, do nich się udam, odstąpię im naprzód cały plon przyszły mojego wynalazku; chętnie zostanę żebrakiem, bylebym dopiął mojego celu,

i choć głodny, napawał się sławą mojego dzieła.

— Ale żona pańska, napomknął Gottold z goryczą.

Edwin zakrył sobie twarz i puścił wodze niemej rozpaczy; gdy wtém, boczne drzwi się otworzyły, i okazała się niewieścia głowa poruszającéj piękności. Włosy jéj, w pięknych splotach otaczające nadobne skronie, miały ów wdzięcznie wątpliwy kolor, między jasnym i brunatnym, jaki na obrazach dawnych mistrzów najczęściéj widzieć się daje, błękitne oczy zdawały się podobne do dwóch nocnych fijołków, a usta nieco otworzone zdawały się same całować! — Edwin spostrzegł ją; wyraz jego twarzy zmienił się nagle, dziko spojrzał na swoje narzędzia i na Gottholda, a potém rzucił się w objęcia żony, wołając „moja Lauro!“

II.

W małym posępnym pokoiku, przy stole zarzuconym rachunkami, blankietami wexlów i innemi przedmiotami, siedział człowiek przykurczony. Okna opatrzone były zewnątrz żelazną kratą, co nadawało pokoikowi postać

więzienia. Na piewszy rzut oka, wziąśćby można z łatwością tę izbę nędznemi sprzętami umeblowaną, za siedlisko nędzy i niedostatku, pomimo tego przebijały się nieznacznie, niepozornie, pod zasłoną ubóstwa, ślady zamożności, a kiedy się lepiéj przypatrzyło, dostrzedz było można bogactwo i zbytek. Na wpół otworzona szuflada biurka, na którą siedzący przy niém jegomość od czasu do czasu spoglądał radośnie i bojaźliwie, obejmowała worki z pieniędzmi, i stos papierów publicznych, bankowych, wexlów i innych.

Człowiek, który był właścicielem tych ogromnych skarbów; siedział w szlafroku starym, wytartym i podziurawionym, i w zażółconéj szlafmycy. Jego oczy zapadłe, podobnež policzki i wązkie usta, nadały mu jeszcze za życia kształt trupiéj głowy. Cerę miał żółtą; długie suche palce, z nawyknienia przykurczyły się jakby miały pieniądze liczyć, i ustawicznie były w poruszeniu. Słowem w całéj jego postaci widać było tylko sknerstwo i zawsze sknerstwo. Niekiedy jednak dostrzedz było można ślad kłopotu i cierpienia duszy, niespodzianie w oczach przebijający się. Boleść więcéj jak wiek, wypiętnowała swoje panowanie na twarzy tego biednego bogacza.

Ktoś do drzwi zastukał. Na ten szmer przeląkł się ów jegomość, i głowa ustawicznem wyliczaniem procentów osłabiona, zachwiała się konwulsyjnie. W jednéj chwili zgarnął papiery do tajemnéj skrytki biórka, szufladę otworzoną zamknął na rygiel, i klucze skwapliwie ukrył w bocznéj kieszeni szlafroka. Dopiéro ostrożnie odemknął zaryglowane od środka drzwi, i wśród głębokich ukłonów, wskazując gościowi stołek, nie zaniedbał badawczym wzrokiem zmierzyć go od stóp do głów.

Tym gościem był Edwin. Po zwykłych i krótkich ceremonjach przywitania, Nerheim (tak się bowiem nazywał lichwiarz), zapytał swego gościa, o przyczynę jego odwiedzin, a Edwin, który w interessach materjalnych, nie posiadał szczególnego daru krasomówstwa, przystąpił wprost do rzeczy. Opowiedział swoje przedsięwzięcie, wyłożył nadzieje, spodziewane korzyści, wyliczył summy, które już wydał, i które jeszcze wydać potrzebuje, i zakończył prośbą, aby dla dokonania zaczętego dzieła, nie odmawiał swojéj pomocy, przyrzekając mu odstąpić za to wszystkie przyszłe korzyści.

Nerheim potrząsał chwilę głową, gdy tymczasem jego palce powróciły do swojego ulubio-

nego nałogu liczenia, wkrótce jednak odezwał się dość łagodnym tonem: Osobliwszy pan jesteś; o cóż to mię prosisz? — o złoto! a wiesz też pan jakim kosztem tego dobra się nabywa? czy domyślasz się ile to za nie trzeba poświęcić spokojności duszy i serca, zdrowia i uciech życia? Mój panie, zbyt jeszcze młody jesteś, inaczéj, nie czyniłbyś mi tak dziecinnych przełożeń. Złoto jest to pijawka, która się tylko krwią swojego posiadacza żywić może, i temu tylko służy, który je pielęgnuje z całą mocą duszy. Żądasz żebym ci użyczył tak drogo nabytéj pomocy, bez narażania się z swojéj strony na żadne ofiary, nie, mój młody panie, nikt nie odda ci tak tanio drogiego złota; bo powinieneś wiedzieć, że złoto jest cierpieniem zmetallizowaném, błyszczącą zgryzotą sumienia. Trzeba go zatém troskliwie pilnować, gdyż złoto jest właściwie człowiekiem.

Zalękniony tak przykrém zagadnieniem Edwin, przerwał lichwiarzowi, oświadczając, że mu gotów dać wszelką pewność.

— Pewność! pewność! hm! to wcale co innego, odpowie Nerheim i czoło jego okryło się zmarszczkami zamyślenia. Ale jakaż pewność może być za złoto. Założyłbym się, że mi wska-

żesz twoje widoki, projekta, twój talent? Masz do przebycia jeszcze bardzo długi proces chemiczny, nim one na złoto przerobisz, a choroba lub nawet i śmierć, może tymczasem w samych początkach zaczęte dzieło wstrzymać. O! wierzaj mi, nie masz na świecie pewności, tylko złoto, dodał wzdychając, jak gdyby z tém wspomnieniem łączyło się bolesne przekonanie o téj prawdzie. I ja także kiedyś posiadałem inne skarby, które w mojém zaślepieniu przekładałem nad szlachetne złoto. Uciechy młodości wyżéj daleko ceniłem, lecz te zatruła mi fałszywość ludzi, chciwość i podłość tych, których kochałem. Znałem jedną dziewczynę, mniemałem że jéj serce posiadam, to serce, przy którém wszystkie kopalnie złota Peru byłyby dla mnie niczém; a jednak to serce było zdradliwe, niewierne, porzuciło mnie, i znów zostałem sam jeden z jedynym i najwierniéjszym przyjacielem.... ze złotem. Miałem także dziecko, nie powiem jednak, żebym go więcéj kochał jak złoto, bo już natenczas nadto ścisły związek łączył mnie z tym metałem, ale przysięgam ci, że to dziecię równie mi było drogie jak moje złoto. Dziecko to opuściło mnie, i napowrót zostałem sam ze złotem, które koiło mo-

je cierpienia duszy. Od tego czasu, jemu tylko całą moją troskliwość poświęcam, i wszystko gotów jestem oddać, ale złota, nigdy. — Jednakże bywają momenta, w których tyle jestem nierozsądny, że ubolewam nad tamtemi stratami. . . . Ale cóżeś mi to mówił o pewności? wymień mi ją. Chciałbym ci dopomódz chętnie, spodobałeś mi się, i lubię dopomagać, bo nie jestem nieprzyjacielem rodzaju ludzkiego. Ale uważaj, żeby mnie to nie kosztowało złota, daj mi rękojmię dostateczną, niech w niéj zysk widzę pewny, a z ochotą ci usłużę.

Edwin głęboko wzruszony tém urywkowém opowiadaniem, musiał zebrać swoje myśli, nim był w stanie udzielenia potrzebnych objaśnień. Właśnie, jestem w możności, rzecze, dania pewnéj rękojmi. Złoto, którego potrzebuję, zostanie złotem, i na żaden inny użytek obrócone nie będzie.

Z mojego własnego mienia, uczyniłem już znaczny początek, a w pojedynczych częściach instrumentu już wykończonych, znajduje się czystéj wartości złota blisko na cztery tysiące talarów. Oto jest wierzytelny rachunek. Potrzeba mi jeszcze we dwójnasób tyle złota, które użyte będzie na młoteczki i dzwonki, a obok te-

go na ten sam użytek obrócę to, co własném staraniem przyczynić będę mógł, tak, że dług twój jeszcze o jednę trzecią część więcéj pokryty bydź może. Rękojmią moją jest ten instrument, czy zgoda?

Nerheim długo liczył i rachował, nim się zdecydował. Przekonam się wprzódy, czyli to wszystko jest tak a nie inaczéj. Jeżeli to co mi mówisz prawdą jest, wtedy mogę ci usłużyć. Przyjdź do mnie jutro, załatwiemy interes jak się należy. Wszystko musi bydź prawnie i na pismie, rozumiesz. Co się zaś tycze moich warunków, ponieważ daję 8,000 talarów, więc te same złoto biorę w zastaw, i przytém odstępujesz mi to które już do instrumentu zostało użyte; to ostatnie uważam za słuszne wynadgrodzenie dla mnie... trzeba żyć i dać żyć... kto ryzykuje, powinien coś zarobić!

— Trzecią część nad całą wartość, Mości panie, to nadto! zawoła Edwina.

— Jak powiedziałem: żyć i dać żyć. Jato nie uważam za procent, broń Boże, to się nawet nie godzi; jest to tylko mały dobrowolny podarunek. Czy zgadzasz się na to?

— Niestety, muszę! odpowie Edwin z rozpaczą; tylko dawaj prędko złoto.

— Złoto? powtórzył Nerheim, albowiem wyraz ten miał u niego jakiś osobliwy, uroczysty dźwięk. Właśnie wpadło mi na myśl że w domu nie mam wcale złota, i długo zapewne go jeszcze mieć nie będę. Ale poradzimy temu. Szczęściem mam w mieście nieco kredytu, więc tak sobie postąpiemy: Dam ci wexel przezemnie przyjęty na 8,000 talarów, który możesz gdziekolwiek na złoto zamieniać. Niebędzie ci to trudno, bo mój podpis ma moje znaczenie, a nic nieznaczące disconto, które ci przy zamianie porachują, zapewne chętnie poniesiesz. W podobnym interesie na takie drobnostki nie zważają.

— A więc i disconto, jeszcze jedna strata, wyjąknął Edwin; ha! cofać się już niemogę!

— Inaczéj nie podobna, i mniemam że za moją usłużność, powinienbyś mi powrócić te kilka procentu, jakie by mi kapitał przyniosł do upływu terminu wexlu. Są tu w mieście ludzie co zawsze gotówkę mają, i z ochotą mój wexel spłacą. Naprzykład poborca Scharrer, jest to mój nieprzyjaciel, i jeszcze jaki nieprzyjaciel!... ale w interesach, żadna osobistość nie ma miejsca. Idź do Scharrera, on ma pieniądze, dużo pieniędzy, więcéj jak ja sam. On nieza-

wodnie przyjmie mój wexel, każdy interes, który mnie, jego wroga, zobowiązuje względem niego, jest mu nader pożądany. Idź, idź, a jutro po południu powracaj do mnie, załatwiemy rzecz na czysto.

Drżący i z osłupiałym wzrokiem, Edwin powrócił do domu.

III.

Interes między Nerhejmem i Edwinem został załatwiony, a pierwszy wystawił przyrzeczony wexel w formie należytéj. Jednakże nie tak łatwo było można takowy spieniężyć. Gdyby wexel na tak wysoką summę, podzielił na mniéjsze, mógłby Edwin prędzéj uzyskać wypłatę, ale środek ten oddałby go w ręce wielu wierzycieli, i wystawił na większe jeszcze ze wszystkich stron straty. Nie pozostało mu więc jak udać się do Scharrera, którego mu Nerhejm wskazał, a że miał powody unikania osobistego z nim widzenia się, przetoż był przymuszony udać się do pośrednictwa.

Pan Scharrer używał sobie słodkiego próżnowania w gabinecie, którego przepych świadczył nietylko o bogactwach właściciela ale nawet

przekonywał o jego miękkości, dumie i próżności. Wszystko połyskiwało od ozdób i złota, miękkie krzesła opatrzone były delikatnemi i kosztownemi wezgłowiami, a na złotéj obręczy kołysała się papuga, która od czasu do czasu szczebiotała słowa: „hultaju! zapłać!“ Kadzielnice wydawały odurzającą prawie wonię, a uginający się prawie pod ciężarem złotych galonów strzelec, stał przy drzwiach gabinetu, w którym rozpieszczony syn Plutusa przebywać raczył.

Pan Scharrer, był to sobie człowiek, który domierzał już owéj epoki, tak nazwanego średniego wieku, i który przepędziwszy całe swoje życie w ustawicznéj i zupełnéj pomyślności, nosił na sobie tego oczywiste dowody, był bowiem dobréj tuszy, i rzec można, że tą pomyślnością tak był nabalsamowany, iż żadna zewnętrzna atmosfera losu, nie mogła na nim swojego wpływu wywiérać, tak właśnie jak szermierz rzymski namaszczony oliwą, którego ręka przeciwnika uchwycić nie zdoła. Na jego obliczu jaśniała żądza roskoszy, egoizm flegmatyczny i zakamieniała obojętność, a rysy twarzy przesyceniem napiętnowane, nigdy nie okazały aby w tym człowieku było kiedy serce. Oko jego zdawało się obumarłe na wszystko, i wtenczas tylko nabie-

rało życia, kiedy ścigało palce sekretarza liczącego dukaty, lecz skoro tylko przekonał się, że rachunek jest zgodny, natychmiast oko powracało do zwykłéj martwości.

Po chwilce, wszedł galonowany strzelec do pokoju i coś szepnął panu do ucha, który niedbale skinął głową i krótko odpowiedział: niech wnijdą! Strzelec oddalił się, i weszła dama skromnie ale przystojnie ubrana, a za nią karłowaty służący. Twarz pana Scharrer, który nigdy nie miał nawet wyobrażenia o nagłych zmianach uczuć i rysów, przybrała powoli wyraz nieprzyjemnéj grzeczności, zakrawający potężnie na zmysłowość. Poruszył się, niby dla powstania z krzesła, aby przybyłą damę powitać, ale zbyteczna objętość ciała przeszkodziła mu w tém, i cały komplement skończył się na lekkiém kiwnieniu głową. Kazał sekretarzowi gabinet opuścić, i znakiem wskazał damie krzesło. Siadła, a za nią służący stojąc, ostro wpatrywał się w Scharrera, który tego bynajmniéj nie uważał.

Zapewne czytelnik już się domyślił, że dama, która dopiéro weszła, nie kto inny jest jak Laura, małżonka Edwina, a upośledzony od natury Gotthold, był jéj przydanym za towarzysza.

— Cóż mi sprawia to szczęście tak przyjemnéj wizyty? zapyta Scharrer z rubaszną poufałością.

Laura, widocznie zmieszana nieznanémi sobie zupełnie położeniem, w jakiém się znajdowała, obejrzała się po tém zapytaniu na Gotthołda, który dobywszy puljaresu z zanadrza, wyjął z niego papier złożony, i podał pani, która go następnie Scharrerowi złożyła.

Scharrer chciwym okiem przebiegł szybko papier. Wexel na ośm tysięcy talarów, wystawiony przez Nerheima, rzecze, i pani życzysz go sobie u mnie na gotówkę zmienić?

— Właśnie oto chciałam pana prosić, odrzeknie Laura.

— Nie mam nic przeciwko temu, zwłaszcza, gdy żądanie wymówione jest tak pięknemi ustami, odpowie Scharrer, a pożądliwe jego oko, upatruje w twarzy Laury podziękowania za ten komplement. Zawsze byłem tego zdania, że Nerheim jest solidarnym, pewnym, to mu trzeba przyznać, równie jest zamożnym jak nieznośnym.

— Muszę pana prosić, przerwie mu nagle Laura, abyś na inny czas zostawił swoje uwagi

nad osobą pana Nerheim, i żywy rumieniec oblał jéj oblicze.

— A! zapewne przyjaciel pani! namienił Scharrer zwolna i nieco zmieszany. W takim razie przepraszam najmocniéj. I w tém pomyślał sobie: oj ten hultaj! ktoby się spodział, że będzie tak łatwo uczynnym, i że umie sobie takie przyjaciołki wynaleźć!

— Proszę mi oświadczyć warunki pod jakiemi pan zechcesz przyjąć wexel, zagadnie go Laura.

Pan Scharrer, który nigdy nie mógł mówić o swoim koledze Nerhei nie bez uszczypliwości, rozgniewał się trochę propozycją Laury, tak oczywiście na jego korzyść przemawiającą. Zamyslił się cokolwiek, obejrzał wexel do światła, czy czasem nie jest gdzie podskrobany, i w końcu, przybierając minę właściwą ludziom jego rzemiosła, odezwał się: Ten wexel jest z sześćmiesięcznym terminem, piękny to bez wątpienia kawał czasu, rozumiem, że pięć tysięcy talarów najwięcéj można za niego wyliczyć.

— Trzy tysiące talarów straty, zawoła Laura ze zgrozą.

— Niesłychanie! odezwał się Gotthold stojący za krzesłem swéj pani, tak, że Scharrer

z niejakiém zalęknieniem zwrócił się w stronę z któréj doszedł do niego niemiły głos, i spotkał bystry wzrok Gotthołda.

— Nie możesz pani żądać, rzecze daléj, abym za darmo moje pieniądze pożyczał.

— Nie, nie, wyjąkała Laura, ale trzy tysiące talarów! prawie połowa, to więcéj jak lichwa!

Na te słowa, Scharrer spojrzał na nią okropnie, lecz nie tracąc bynajmniéj zimnéj krwi, z największą obojętnością, ale tonem nieco gniewnym, odezwał się: O to wcale nie idzie, jakkolwiek spodoba się pani nazwać moją czynność. Być może, że jéj grzeczność pozwoliła Nerheimowi ofiarować jéj łagodniéjsze warunki, a może też otrzymał disconto w innym wcale sposobie.

Laura oniemiała na tę zniewagę, i padła bez zmysłów na krzesło. Ale w téj saméj chwili, pałający od gniewu Gotthold wyskoczył naprzód, a uchwyciwszy lewą rękę Scharrera za ramię, tak, że jego pazury w suknie się zagłębiły, i ukazawszy prawą pięść, krzyknął z wściekłością: Niegodziwcze, jeszcze tylko słówko jedno, a nakręcę ci karku, tak, że własne plecy zobaczysz.

Wołanie pomocy obumarło na wargach Scharrera, przestraszonego tą groźbą, nie śmiał się ruszyć, tylko z niemém przerażeniem spoglądał na niespodzianego przeciwnika, rozumiejąc zapewne, że przed sobą samego czarta widzi. Z niechęcią puścił go karzeł, aby nieść ratunek swojéj pani, lecz ta nie potrzebowała go. Gniew jéj nie dopuścił, aby ją przytomność miała odstąpić. Powstała, i jak anioł obrażony, spojrzała dumnie i z politowaniem, na starego grzesznika, gdy tymczasem ułomny jéj towarzysz stanął przy jéj boku w zupełnéj gotowości powtórzenia oznak swojéj groźby.

Nareszcie Scharrer upamiętał się. Nie zrozumiałaś mię łaskawa Pani, zupełnie nie zrozumiała, i proszę mi wybaczyć, jeżeli mimowolnie, do moich wyrazów przyłączyła się jaka myśl obrażająca.

Z trudnością mogła Laura pokryć wzgardę i skinęła na zagniewanego Gottholda, który przez posłuszeństwo, odsunął się w tył, zawsze jednak zgrzytając zębami ze złości.

— Proszę pani posłuchać mego ostatniego podania. Ponieważ miałem nieszczęście niepodobania się jéj, zatem chciałbym to wynadgrodzić z mojéj strony. Gotów jestem wyliczyć za

wexel sześć tysięcy talarów, ani mniéj ani więcéj jak sześć tysięcy. Jeżeli się pani na to zgodzisz, to proszę o sporządzenie przekazu a pieniądze każdego momentu mogą bydź odebrane.

— A więc jeszcze dwa tysiące talarów straty! to haniebnie! mruczał Gotthold i spoglądał na panią sposobem pytającym, czy ma na nowo wystąpić przeciwko lichwiarzowi.

Laura uśmiechnęła się gorzko i boleśnie, z ostatniém wysileniem, wymówiła: Być może że mój mąż przystanie na ten warunek, otrzymasz pan dziś jeszcze odpowiedź. Wtém skłoniła się i wyszła, a za nią karzeł, nie bez pożegnania lichwiarza wzgardliwém spojrzeniem.

IV.

Gwałtowna potrzeba, przymusiła załatwić i ten drugi nader uciążliwy interes, a Edwin został żebrakiem.... więcéj jak żebrakiem, bo zobowiązał się na daleko więcéj niżeli posiadał. Instrument zastawiony, pierwéj nim jeszcze w połowie był wykończony. Myśl ta dręczyła go ustawicznie, i wyniszczyła ostatek sił żywotnych. Pracował ciągle nad swojém dziełem, i kiedy

rozumiał że się już do końca zbliżał, przekonywał się z przerażeniem, że jeszcze bardzo był oddalonym od celu, dla domierzenia którego, czuł że ani siły ani środki już nie starczą. Jak ów rycerz ciężko raniony, bawi się jeszcze swoim mieczem, którym już władać nie może, tak też i on spoglądał smutnie na swoje dzieło nie dokończone. Ułożył dzwonki wykończone; do ponuréj pogrzebowéj pieśni, ażeby pierwsze dzwięki jego instrumentu, zabrzmiały śpiewem śmierci. Ale i ta nawet smutna pociecha ominęła go. Dla niedostatku potrzebnych materjałów, niektóre ważne części instrumentu nie mogły być sporządzone, i gdy go teraz złożył, pojedyncze części nie składały się z harmonijną zgodnością, dla tego sprężyny nie dały się jak należało użyć. Spostrzenie to napełniło serce Edwina nieopisaną boleścią, i z obłąkanym wzrokiem siedział po całych godzinach przed złotemi dzwonkami, wzdychając na próżno za iskrą Prometeusza, któraby im mogła nadać tchnienie życia.

Poświęciwszy całe swoje mienię i los przyszły, urojeniu, które teraz poznał że nie może bydź urzeczywistnione, stracił spokojność i zniszczył swoje szczęście. Po wyczerpaniu wszelkich środ-

ków, kiedy już nie widział możności wydobycia się z przykrego położenia, musiał suchém okiem patrzéć na zbliżającą się śmierć nędzną.

W takiéj obawie, i udręczeniu upłynął termin zakreślony przez Nerheima. Edwin nic już nie miał, ażeby mógł wyłudzić na swoim wierzycielu nową zwłokę, i z przerażającą obojętnością oczekiwał dnia, w którym Nerheim miał zabrać jego instrument, dla zbicia na massę złota.

Za nadejściem dnia tego, Edwin czuł się więcéj chorym, i położenie jego wróżyło bliską śmierć. Upadająca pod ciężarem udręczenia Laura, pobiegła od łoża boleści, szukać lekarza, któremu nic już więcéj ofiarować nie mogła jak... uściśnienie ręki konającego.

Ledwie wyszła, nadszedł Nerheim. Najpierwsze spojrzenie jego padło na zastawiony mu złoty instrument, a obecność onego uspokoiła go i stał się prawie przyjacielskim i czułym.

— Chóry jesteś? zapyta, przystępując do łoża Edwina. Żałuję bardzo. Cóż ci brakuje? czy mogę ci w czém dopomódz? może potrzebujesz mojéj rady, mojego .... no, wszakże wiesz dobrze, że nie mam złota, na uczciwość nie mam nic. Ale może ci co innego potrzeba.

— Po co tak wiele słów? przerwie mu Edwin z niechęcią właściwą chorym. Przyszedłeś odebrać twój zastaw. Tam stoi, weź go, stop na bałwan, dodaj do tego przekleństwa moje może więcéj zyska na wadze, i pomnoży moje procenta.

— Niespodziewałem się, żeby to miały być przymówki, odpowie Nerheim nieco zmieszany. Postępowałem uczciwie, a kto złota potrzebuje i pożycza, powinien na stratę być przygotowanym, kto je zaś posiada, stara się przyczynić, bo przecie złoto, jest nakształt stojącéj sadzawki, która wewnętrznego przypływu nie ma, i wysycha, jeżeli nie będzie ustawicznie napełnianą.

— Daj temu pokój, odrzeknie Edwin. Jesteś człowiekiem poczciwym, ale niech Bóg zachowa od podobnych tobie. Jesteś uczciwym człowiekiem, a jednak trudno o takiego zbrodniarza, ktoryby ci w téj mierze wyrównał. Jesteś tylko sprzymierzeńcem potrzeby, i tulisz w krwawe twoje ręce, tę ofiarę, którą ci ona przysposobiła. Bierz twój zastaw, poczciwy człowieku, i daj mi spokojnie umierać.

Na twarzy Nerheima widać było coś, co bardzo było podobne do wyrzutu sumienia. Stał

chwilkę w niepewności, zwłaszcza gdy spostrzegł, że wysilony namiętném mówieniem Edwin, raptownie zbladł. Ale jeden rzut oka na złoty instrument, przypomniał mu jego postanowienie. Przystąpił do maszyny, jakby ją jednym zamachem chciał uchwycić. Wstrzęsła się ona od tego poruszenia, i o cudzie! sprężyny w ruch wprawione, obudziły uspione tony, a instrument zaczął grać nastawioną poprzednio pieśń pogrzebową. Wszyscy osłupieli. Nerheim odskoczył przelękniony; Gotthold bliżéj zaczął się przypatrywać z otwartą gębą, a Edwin podniosłszy się na swojém łożu, wlepił w instrument wzrok na wpół obumarły. Dźwięk był szczególny, nadziemski, nie była to muzyka, zdawało się raczéj, że to jest duch zgasłéj harmońji, widma zamordowanych tonów, cóś grobowego. W głębokiém milczeniu, i z przestrachem, słuchali wszyscy téj niesłychanéj melodji. Jeden tylko Nerheim przerwał grobową cichość zapytaniem: czy to w saméj rzeczy jest złoto? Gotthold skinął głową potwierdzając. Okropny dźwięk! mruczał Nerheim: nigdybym nie uwierzył, ażeby złoto miało tak przykre i straszne brzmienie.

Ale instrument coraz głośniéj, coraz przeraźliwiéj grał swoją pieśń pogrzebową. Nareszcie Nerheim uderzony tą dziką melodją, zawołał: Zmiłuj się, proszę cię, każ temu przeklętemu instrumentowi milczéć, bo skonam. Ponieważ jednak instrument nieprzestawał grać, rzucił się do drzwi. Tu jakby ujrzał przepaść przed sobą, odskoczył od drzwi, któremi weszła Laura, również niespodziewanym widokiem zatrzymana.

— To mój ojciec!

— Laura! wyjąknął lichwiarz wyciągając ręce, ale tony, które ciągle z instrumentu wychodziły, zdawały się zamieniać to spotkanie, w pewne gorączkowe odurzenie zmysłów, i Nerheim mniemał, że widzi przed sobą widmo swojéj wyobraźni.

Gdy jednakże Laura bliżéj przystąpiła, i przemówiła głosem przypominającym mu czarowny urok upłynionéj pogodnéj przeszłości, mówiąc: Ojcze! czy się już nie gniewasz na mnie? natenczas nagle serce lichwiarza ogarnęło miłe uczucie, rozpłakał się i przyciągnął córkę do łoża jéj małżonka, którego oczy osłupiałe, bliskie skonanie przepowiadały. Nic już nie rozumiał, nic nie czuł, i tylko ciągle wskazywał na

instrument, którego sprężyny słabiejąc, coraz wolniejsze tony wydobywały, póki zupełnie wszystko nie ucichło. Z ostatnim dźwiękiem instrumentu, życie Edwina zgasło.

— Całe swoje życie na to łożył, aby sobie pieśń grobową złożyć, rzecze Laura głęboko wzruszona. Złoto, jego wróg, unikało go ciągle, i dopiero wtenczas się ukazało, aby go zabić.

Nie, nie złoto, ja jestem jego mordercą, zawoła Nerheim, rzucając się z rozpaczą na zwłoki zmarłego. Ja to wplątałem go w sidła kłopotu, ażeby ciężar strapienia przywalił go i znękał...

Wtém gwałtownie drzwi się otworzyły, i z wielkim hałasem wszedł.... Pan Scharrer. No! jeszcze we drzwiach zawoła, co to z tego będzie? Należy mi się jeszcze 50 talarów za stępel do wexlu, czy sam po nie mam przychodzić, ja, co jegomości tak uczynnie pomocy udzieliłem i to pod nadto łagodnemi warunkami. A sądząc, że Edwin udaje śpiącego, aby uniknąć odpowiedzi, umyślnie zrobił hałas przybliżając się do łóżka. Teraz jednak gdy zobaczył trupa, któremu Laura właśnie oczy zamykała, cofnął się z drżeniem, i zdjął dopiéro z głowy kapelusz.

— Jakto, czy doprawdy umarł? taką rzeczą to wcale co innego. Wtém spostrzegłszy Nerheima, czoło jego zmarszczyło się. — I pan tutaj, rzecze uszczypliwie, nie dziwi mnie to bynajmniéj. Jesteś czułym człowiekiem, panie Nerheim, wiem o tém już dawno, i rzadko kiedy zaniedbałeś oddać ostatnią usługę temu, który z powodu twoich procentowych rachunków, z nędzy musiał umierać! Jako lichwiarz mógłbym się z tobą równać, ale do kobiecéj płaczliwości masz nieskończenie więcéj odemnie daru.

Nerheim, obojętny na tak złośliwe urąganie, podniosł na Scharrera zapłakane oczy, i z jękiem zawołał: Nieszczęśliwy! gdybyś wiedział, co ja wiem, nie takbyś mówił. Prawda, wielka prawda, moje skąpstwo i uciski, przyczyniły się do zamordowania małżonka mojéj córki! Ale i ty uderz się w piersi, zapytaj własnego serca, czy nie przyczyniłeś chytrze ciężaru, który go i tak już gnębił, czy nie wyssałeś chciwie szpiku jego życia. Biada tobie, jeżeli ci wymienię nazwisko, jakiego nieboszczyk miał prawo domagać się od ciebie.

— Panie Nerheim, jesteś stary gaduła, któremu robak sumienia rozum odebrał, a któremu pod lodowatym pancerzem, nie wspaniałomyśl

ność, ale raczéj chciwość, serce niekiedy poruszy. Precz mi z oczu, niezgrabny świętoszku! nie jesteś lepszym odemnie; a jeżeli mam odwagę nie ukrywać się z tém, powinienbyś mi to za zasługę przypisać, nie zaś zakamieniałością mianować.

— Słuchaj Scharrer, jesteś już oddawna moim nieprzyjacielem, i nienawidzę cię, odrzeknie Ner heim z mocą. Wtenczas, kiedy będąc bogatszym odemnie wydarłeś mi oblubienicę, którą ubóstwiałem, wtenczas zacząłem cię nienawidzić. Ludwika nie mogła być na długo złotem omamioną, nieszczęśliwe i pełne przykrości jéj pożycie przypominało jéj z goryczą, popełnioną względem mnie niewiarę, i to było przyczyną, żeś mnie cierpiéć nie mógł. Złość twoja na mnie, jeszcze bardziéj się wzmogła, gdy twoja żona, którą znieważałeś, uciekła od ciebie, wziąwszy z sobą syna, i nie zostawiwszy odtąd po sobie żadnego śladu. Nie dla tego niecierpiałeś mię, żebym miał się przyczynić do tego wypadku, bo przysięgam na wszystko, że nie oglądałem Ludwiki od chwili kiedy ją do ołtarza poprowadziłeś, ale dla tego, że ci się zdawało, iż mnie twoje nieszczęście ucieszyło.

Miałeś wtém słuszność, to mię napełniało radością, lecz niebawnie, odniosłem zasłużoną karę: wkrótce po ucieczce twojéj żony, moja umarła, a moja córka, którą kochałem jak moje złoto, jedyna istota, która mnie jeszcze do życia przywięzywała, oddała swoje serce awanturnikowi, zbiegła z nim, bo po mojém skąpstwie przeczuwała, że na podobne związki nigdybym niezezwolił; a tym awanturnikiem był... zgaduj, i drżyj! był...

Scharrer czuł że się nogi pod nim zachwiały. Dokończ zawoła, przeklęty czarcie, był więc moim synem! i padł na ziemię. Zwolna podniósł się, spojrzał na zwłoki suchém, pałającém okiem. — Tak, tak, z jękiem powtórzył; ty jesteś moim synem. Poznaję, ciche, cierpiące oblicze twojéj matki, którą dręczyłem, dopóki nie przeniosła nademnie nędzy i ubóstwa; jesteś do niéj zupełnie podobnym, a śmierć jeszcze wierniéj to podobieństwo wyryła. Odemnie przejąłeś tylko chciwość złota. Mnie ona zrobiła lichwiarzem, a ciebie marzycielem, awanturnikiem.

Wzdrygnął się Scharrer, a obracając się do Laury: Weź, rzecze, moje złoto, córko. Weź wszystko co tylko posiadam. Obróć na klasztory, na dobroczynne zakłady, uwolnij mnie od

tego przeklętego kruszcu, a odstąp mi za to twoje ubóstwo. Ta zamiana niech będzie ostatniém oszukaństwem, daję ci tylko złoto, a żądam spokojności duszy.

Wtém na bliskiéj wieży, dał się słyszéć głos dzwonu, na wieczorne pacierze zwołujący, i jakby na skinienie, obadwaj lichwiarze padli na kolana. Gdy podnieśli spuszczone ku ziemi oblicze, słońce zachodzące rzucało czerwonawe światło po izbie, i odbijało na licach nieboszczyka, zwodniczy pozór życia. Wszystkie przedmioty, czarowném odbiciem światła, zdawały się złotem połyskiwać, i przypominały dwóm grzesznikom jeszcze raz ich metalowe bożyszcze. Lecz tym razem przestraszył ich ten blask, który tak długo był ich światłem i życiem. Zamknęli oczy, i nie prędzéj zaczęli swobodniéj oddychać, aż póki się zupełnie nie sciemniło.

Trzydzieści lat od téj epoki upłynęło. Wszyscy którzy do niniejszéj powieści wchodzą, już nie żyją. Ale nazwiska: Nerheim i Scharrer, niegdyś zguba i przekleństwo wielu rodzin, żyją dotąd w dobroczynnych zakładach, które im miasto winno, i pozostaną w wiecznie błogosławionéj pamięci.

BAŃKA
MISTRZA CAGLIOSTRO.

Hrabina de Briars, najstarsza z dam dworu Antoniny, oddaliła się z wielkiego świata, i mieszkała w Paryżu, w domu będącym jéj własnością. Miała lat pięćdziesiąt.

Pomimo wszelkich sposobów, zniszczenia śladów wszystko zmieniającego czasu, można jéj było tylko, i to bardzo zwyczajny a nawet prawie obrażający komplement powiedzieć, to jest, że w młodości musiała być bardzo piękną.

Od rana pokryte najlepszym różem lica, poważne, sztywne falbany, *Roqueluchon* zastępujący mantylkę, i małe żółte rękawiczki, przedstawiały razem obraz pięknéj damy honorowéj, ale za zbliżeniem się, widać było prace pędzla, i trudności, jakie co rano przezwyciężyć musieli toaletowi artyści, aby to dzieło wykończyć, a kawaler Richettini jéj siostrzeniec, mawiał zwy-

kle, że nie widział żadnego malowidła, któreby równać można z jego ciotką.

Hrabina de Briars, lubiła jak młoda panienka, taniec, przechadzki i bale. Richettini był u niéj wszystkiém; „Richettini przysuń mi krzesło, Richettini podaj naszyjnik, Richettini przynieś mój **vertugadin** (a) Chociaż Włoch i siostrzeniec, a zatém urodzony do usług, Richettini uważał swój urząd bardzo nużącym. Nie mógł przecie być razem lektorem, fryzerem i kamerdynerem swojéj ciotki, a nadto jeszcze, siostrzeńcem. Byłoby to dla niego zupełnie niepodobném do zniesienia, gdyby nie towarzyszyła temu nadzieja stu tysięcy rocznego dochodu. Tyle hrabina miała zostawić swemu młodemu siostrzeńcowi Richettini, nie licząc w to pysznego pałacu w Genui.

Za taką cenę warto znosić nudy, i Richettini znosił je cierpliwie, bo był mistrzem w udawaniu, najlepszym z wszystkich trzpiotów stolicy. Hrabina de Briars, która widziała w nim pięknego i dowcipnego młodzieńca, usiłowała zatrzy-

(a) Pewna część ubioru, używana na początku ośmnastego wieku.

mać go przy sobie ile możności, ale on często wymykał się, aby pospieszyć do stołu Faraona, przy którym zgromadzali się najznakomitsi panowie. Richettini posiadał wszystkie przymioty i wady swego wieku, był odważnym, wykwintnym, rozwiązłym, lubił grać, popisywać się z uszczypliwym dowcipem, był sofistą i alchemikiem. Podobał się, przestraszał, zachwycał i łatwo dał się schwytać w sidła.

Imie Cagliostro, było wtedy sławném w całéj Europie. Signor Alessandro Cagliostro, podejmował się przywrócić wszystko, co kto kiedykolwiek utracił: zdrowie, cnotę, pieniądze i t. d. Tylko za pomocą czarodziéjskiéj laseczki tego włoskiego mistrza, można było w Paryżu wielkim człowiekiem zostać. Kobiety, a szczególniéj stare, wierzyły nieograniczenie w wszechmocność jego środków. Hrabina de Briars, była jedną z najwierniéjszych jego stronniczek, i to z wielu ważnych powodów. Cagliostro umiał złoto robić, leczył słabości i mógł nawet w potrzebie przywrócić młodość; hrabina zaś, była chciwą, zalotną, kulawą nieco i nie młodą.

Richettini nie pragnął nic prócz złota, zajmował się chemją, zawsze ilekroć nie był zajęty kartami; często odwiedzał mistrza Cagliostro,

jako swego rodaka, i wielkie miał uszanowanie dla jego umiejętności, albo raczéj, prawdziwe włoskie zabobonne uprzedzenie. Towarzystwo z ciotką umacniało go jeszcze w tym względzie, bo hrabina ciągle mówiła o włoskim mistrzu. Retorty, piece, banie i bańki, stanowiły koniecznie potrzebne w owym czasie sprzęty w budoarze znakomitéj damy, a zatém, nie brakowało ich i u hrabiny de Briars. Tam były alembiki, tygle, srebrne trojnogi, owdzie jakiś płyn gotował się w szklannéj misie, tu znów leżały hebrajskie księgi z żelaznemi klamrami.

Podczas jednego z ceremonjalnych, a zatém nader nudnych wieczorów u hrabiny de Briars, kamerdyner zameldował kawalera Richettini.

Wszystkie pomarszczone, stare twarze, zwróciły się ku wchodzącemu. Tym razem, był on blady i posępny, przegrał na słowo trzy tysiące dukatów.

Ciotka jego, nigdy go jeszcze takim nie widziała; Richettini zbliżył się do niéj, i witając ją, szepnął jéj aby odprawiła gości, ponieważ ma z nią coś pomówić sam na sam. Hrabina myślała, że jéj kuzyn nie zupełnie jest przy zdrowych zmysłach.

Jego obejście mogło pod każdym względem potwierdzić to mniemanie, przez cały wieczór nie wymówił ani słowa, siedział na sofie na przeciw hrabiny, i patrzył na nią nadzwyczajnym wzrokiem. Gdy przeszła pierwsza bladość, powróciły jego naturalne rumieńce, i znowu Richettini był najpiękniéjszym młodzieńcem w całym salonie. Hrabina de Briars, nie ostatnia uważała wdzięki swego siostrzeńca. Kiedy całe towarzystwo oddaliło się, oboje siedzieli jeszcze naprzeciwko siebie.

— Nic nie mówisz, Richettini? zaczęła hrabina.

— Kochana ciociu, odpowiedział Richettini ocucając się nagle z swoich marzeń, masz dzisiaj muszki tak powabne....

— A ty masz mankietki, po których możnaby mniemać że król pikowy farbuje.

— Więc pani masz mię za gracza...?

— Mam cię za mego siostrzeńca, to jest trzpiota, w którym ja jednak same tylko dobre przymioty widzę. Jesteś lekkomyślny, ale dobry i szlachetny, wiem o tém...

Richettini zmarszcył czoło.

— Założę się że masz mi coś wyznać; czy znowu przegrałeś w faraona?

Richettini długo nic nie mówił, nakoniec nie mógł się dłużéj wstrzymać, powstał i rzekł: — Przegrałem trzy tysiące dukatów! Chociaż to wyznanie, nie zupełnie było przyjemném hrabinie, jednak nie dała dostrzedz swego nieukontentowania. Przysunęła swoje krzesło do krzesła swego siostrzeńca, i po różnych żartach, rzekła nakoniec wyraźnie i stanowczo:

— Nie ma innego środka, Richettini!

Młodzieniec wstał i wziął kapelusz.

Środek jaki hrabina podawała, był nader prosty: siostrzeniec miał się z nią ożenić.

— Richettini, dodała, lubisz grę, graj więc, ozdób ten pałac, spraszaj gości. Wszystko oddaję tobie, moje klejnoty, złoto, wexle, mój pałac w Genui, — jeśli mię zaślubisz. Jestem stara, ułomna, bardzo zalotna i cokolwiek zła; gdybyś został moim mężem przed trzydziestu laty, sprzeciwiałabym się we wszystkiém twemu życzeniu. Teraz uprzedzać będę wszystkie twoje chęci i upodobania, będę dobrą, przychylną i uległą żoną. Ożeń się ze mną mój mały siostrzanku.

Inny głos mówił w duszy kawalera: — Będziesz najnieszczęśliwszym z ludzi, jeżeli się ożenisz z twoją ciotką. Ona żyć jeszcze będzie

nieskończone wieki, nim zostaniesz jéj dziedzicem. Iest zrzędną, złośliwą, sprzeciwiać ci się będzie we wszystkiém. Niepowinieneś także zapomnieć że ma wprawiane zęby i bieli się codziennie. W młodości dość była żywą i miała wielu kochanków; będzie ci aż do znudzenia rozpowiadać i o ich zasługach i przymiotach; będzie rządzić całym domem, który stanie się piekłem dla ciebie; teraz postanów.

Biedny młodzieniec nie wiedział co ma czynić. A jednak słowa jego ciotki były jéj ostateczném postanowieniem, i w kilka dni napisała do niego:

„Mój siostrzeniec Richettini ożeni się zemną dnia 30 przyszłego miesiąca.

Byłam dziś u mistrza Cagliostro, przyrzekł mi że mię odmłodni i pokazywał mi swoją pracownię, która jest nadzwyczajnie powabną. Żądałam aby mię uczynił szesnastoletnią.

Pomyśl Richettini, mogę być młodą, Cagliostro jest potężnym czarownikiem.

Bądź zdrów, całuję cię po tysiąc razy, mój kochany mężulku.

Twoja ciotka i wkrótce żona.

Julia de Briars.“

Richettini był w złém bardzo położeniu. Szkatułka jego była pustą, a przyjaciele skąpi, albo równie jak on niebogaci. Przegrał do jakiegoś Włocha, który poprzysiągł, że go pozwie, jeśli mu we dwa tygodnie nie zapłaci trzech tysięcy dukatów. Widział on, iż ciotka nie mogąc zmusić go do poddania się szturmem, postanowiła dopiąć celu swego przez odjęcie mu swego wsparcia. Najczarniéjsze myśli opanowały go. Napróżno szukał w swoich retortach trucizny. Jakimże innym sposobem wydźwignąć się z przykrego położenia? Był wprawdzie jeden jeszcze środek, ale ten, wstręt w nim obudzał. Przyszedł do Cagliostro, u którego co dzień bywał.

Mistrza już nie było w domu, znajdował się w domu gry, w Palais-royal. Richettini znalazł w pracowni czarownika, tylko niskiego człowieka z czerwoną twarzą i ceglastemi kędzierzawemi włosami. Pieczętował on rozmaite flaszeczki z białemi i zielonemi etykietami. Wielki był nieporządek w pracowni, Richettini zaledwie przecisnął się między krokodylami, psami morskiemi, skieletami i mumjami. Wiele pięknych kobiet z wosku, siedziało na wysokich krzesłach, tworząc najzupełniéjsze naśladowanie natury.

Ogromna szynka i flasza wina xeres, dowodziły, że i mistrz Cagliostro ma niektóre fizyczne potrzeby.

Richettini zapytał niskiego czerwonego człowieka, jaki to proszek suszy się na srebrnéj blasze.

— Jest to proszek p r z e m i a n y, cudowny preparat, który sprzeciwia się wszelkim działaniom czasu, odpowiedział uczeń czarownika.

— Nie tego mi potrzeba; chciałbym. . . nie śmiał wymówić reszty.

— Czy potrzebujecie *aqua Tofana*, Signor, czy pigułek dla waszéj małpy, albo *Laudanum*? Czy żądacie *aria mellifera*, albo *aria sympatehtica*? Powiedzcie tylko słowo, a wszystko do góry nogami poprzewracam, bo kocham was, a od niejakiego czasu zdajecie się być smutnemi.

Niski człeczek, pomocnik najzręczniéjszego z oszustów, miał jak już wspomnieliśmy w najwyższym stopniu brzydką twarz. Richettini zapytał go, coby w tym przypadku uczynił. Idzie tu, rzekł, o małżeństwo z najszkaradniéjszą w świecie istotą. Pomyśl sobie Alkandorze. . . .; ale nie masz po co myśléć, spojrzyj tylko w zwierciadło. Cóżbyś uczynił, gdybyś miał ożenić się z kobietą, podobną z twarzy do ciebie, połączyć się przeciw swoim skłon-

nościom, z kobietą zalotną, bez-zębną, złośliwą i starą...?

Aloxandor zamiast odpowiedzi, ściągnął ramiona, i wziął z jednéj półki żółtą bańkę. W téj saméj chwili, usłyszał szelest zewnątrz. Ktoś nadchodzi, rzekł, wyjdź pan temi drzwiami i nie zapomnij co panu powiem, i coś mu szepnął do ucha.

Dobrze; odpowiedział Richettini, pięć lub sześć kropli, będę uważał. Rzucił mu trzy lujdory, było to wszystko co posiadał.

W trzy dni potém, zebrało się wielkie mnóstwo ciekawych w kościele Petits-pères, Richettini zaślubił swoją ciotkę. Po skończonéj uroczystości, w tryumfie postępując do powozu, rzekła jego małżonka. Richettini, radość sił mię pozbawia, eteru! eteru!

Richettini dobył żółtą flaszeczkę i podał ją pannie młodéj.

Hrabina pociągnęła spory łyk, i za kilka chwil wpadła w sen głęboki. Richettini kazał ją zanieść do jéj pokoju, odesłał domowników, napełnił swoje kieszenie klejnotami i złotem, i tego samego wieczora, odjechał do Genui. W Genui chciał zająć swój pałac, ale stary

rządca hrabiny, wziął go za oszusta, i przed nosem mu drzwi zamknął.

Richettini wszedł na jakiś bal, gdzie znajdowali się ludzie rozmaitego rodzaju. Udał się prosto do stolika faraona, i przegrał pięćdziesiąt luidorów. Był raczéj jak kuczer, a niżeli jak rycerz ubrany, i powszechnie pytano się, kto to być może. Rozmaite domysły, które Richettini dosłyszał, obraziły go nakoniec, i porwał się do oręża. Genueńczykowie zamilkli.

Nakoniec Richettini wrócił do swego pałacu. Okazał swój kontrakt ślubny i uznany został właścicielem; nagrodził starego rządcę i rzucił się w ubraniu i ostrogach na sofę.

Następnego dnia napisał do mistrza Cagliostro, donosząc mu o śmierci ciotki, któréj przyczyny, nie znał jak mówił. Cagliostro poradził mu aby pozostał w Genui, donosząc mu zarazem, iż okoliczności jego tak stoją w Paryżu, że może będzie przymuszonym prosić go o schronienie.

Wieczorem, kiedy się chciał spać położyć, znalazł na swojém łóżku, młodą powabną kobietę. Dama zerwała się żywo, ale nie mogła ukryć lekkiego chromania.

— No, kawalerze, rzekła słodkim głosem.

Richettini znalazł się w wielkim kłopocie.

— To ja jestem, Richettini. Czyliż mię nie znasz, twoją żonę?

Richettini przetarł oczy i zapytał się o jéj imie.

— Julja de Briars, a teraz Richettini, odpowiedziała młoda piękna dama.

— Moja ciotka? zawołał kawaler. Piękna maseczko, przybrałaś tylko jéj imie.

— Nie przybieram niczyjego imienia, jestem Julja, ciotka kawalera Richettini, i żona jego.

Richettini cofnął się, sądząc, że to jest marzenie. Istotnie, podobną było zupełnie do jego ciotki, jaką widział na obrazie, malowanym w jéj młodości.

Już okazywał się i jéj charakter; bo kiedy Richettini chciał spać, żądała aby z nią siadł w gondolę i przy świetle księżyca pływał po kanale. Wyrzuciła jego szlafmycę za okno, i sprzeciwiała mu się jak dziecko. Nie mógł pojąć téj cudownéj przemiany. Moja ciotka odmłodniała i jeszcze przez opium? mruknął między zębami.

Nazajutrz z rana przyniesiono mu list, rozpieczętował go i przeczytał:

„Omyłka szanowny kawalerze, okropna omyłka, jeśli czas jeszcze, naprawcie złe skutki tego błędu. Zamiast opium, dałem wam w rostargnieniu bańkę odmłodnienia. Teraz ciotka wasza, może mieć około lat siedmnastu. Cagliostro, kazał mi oświadczyć wam, i jego żal z tego powodu, ale nie jest wstanie nic temu poradzić. Błagam was, przebaczcie mi kochany kawalerze.

Alcandor.“

Ta wiadomość była dla kawalera Richettini gromem piorunu, ale starał się ukryć przerażenie, aby Julja nie dowiedziała się że ją chciał na inny świat wyprawić.

Julja była znów zupełnie taką jak w młodości; złośliwą, zalotną, kapryśną, dokuczającą i t. d. Jéj pałac stał się miejscem zebrania się wszystkich dowcipnisiów i wyperfumowanéj młodzieży. Napróżno Richettini, któremu tego rodzaju rozrywki nie podobały się, mówił jéj ciągle o szczęściu życia samotnego.

Gdy doszła lat dwudziestu pięciu podług nowéj rachuby, Richettini miał już blisko pięćdziesiąt. Hrabina dokuczała mu okropnie, zwolna zbliżając go w ten sposób do grobu. Musiał się

pojedynkować kilka-krotnie o swoję żonę, i za każdym razem otrzymał jakąś ranę, co obrażało jego miłość własną. Grał, ale zawsze mu zbywało na pieniędzach, bo żona jego traciła majątek rozmaitemi sposobami. Tysiąc razy przeklinał swój stan i wzywał pomocy Cagliostra. Ale Cagliostro zniknął, a Alcandor został powieszony.

Wkrótce potém, pokłóciwszy się z jakimś Włochem podczas gry, wychodząc, pchnięty został przez niego trzykrotnie sztyletem i padł bez życia.

Ze śmiercią jego, znikła moc czarów i Julja Richettini wróciła nagle do poprzedniéj zgrzybiałości.

POJEDYNEK.

Kiedyśmy stali na kotwicy pod Maltą, oficerowie Angielskiego okrętu „Genua“ zaprosili naszych na ucztę. Przy stole, siedziałem między dwoma wyższemi oficerami, po prawéj stronie sąsiad mój, był przystojny, kształtnéj postaci, czarnowłosy, trzydziestoletni mężczyzna. Szczególna sympatja pociągała mię do tego człowieka, bo przed ucztą nie znaliśmy się wcale, a przy puddingu, już byliśmy bardzo poufali, słowem, kiedy zdjęto obrus i dano na deser suche owoce i francuzkie wino, nie mieliśmy sobie wzajemnie, o naszéj przeszłości teraźniéjszości i mógłbym prawie powiedzieć przyszłości, nic więcéj do powiedzenia.

Podług zwyczaju zachowanego u Anglików przy ucztach, zaczęto tłuc podstawki kieliszków, tak iż niepodobna było postawić kieliszka nie wypróżniwszy go, jeśli już jaki z niezliczonych toastów przyjęto. Po winie roznoszono poncz,

którego wypiliśmy wielką ilość, i nakoniec staliśmy się wszyscy bardzo rozmownemi i nieograniczenie do otwartości skłonnemi.

Mój nowy przyjaciel, który jak mówił ,zwykle nie pije wcale wina, dla mnie uczynił tym razem wyjątek, pomimo ojcowskich napomnień jakiegoś starego.oficera, siedzącego po lewéj stronie który mu ciągle powtarzał: — Nie pij pan nie jesteś przyzwyczajonym, to ci zaszkodzi!

Ale Wolf, mój nowy przyjaciel, mało zważał na te napomnienia; nawet zdawało się że poncz dobrze mu czyni; blada twarz jego ożywiła się, usta dostały kolor, oczy błyszczały, rozmowa jego była coraz żywsza, coraz poufalsza.

Kilkunastu wesołych marynarzy zaczęło rozprawę o miłości i jéj ofiarach; widać było w rozmowie, że ci ludzie mało obeznani są z teorją tego uczucia. Odpowiadano sobie wzajemnie i niekiedy sprzeczano się.

— Bah! zawołał Wolf, stawiając tak silnie swoją szklankę, że w kawałki się rozprysła; głupcy, mówią jak niewidomi o kolorach! Nie chciałbyś pan przejść się ze mną na pokładzie.

— Chętnie, odpowiedziałem, bo tutaj nieznośne gorąco.

Wyszliśmy. Powietrze było ciepłe, cisnące, flagi zwieszone były na masztach.

— Aż dotąd, rzekł mój przyjaciel, wziąwszy mię za rękę i ognistemi mierząc mię oczyma, pan jesteś pierwszym człowiekiem, z którym ja się dobrze rozumiem, muszę panu pewne zdarzenie opisać; ale niech to pozostanie ścisłą tajemnicą między nami; dodał dzikim głosem. Niech mię d..... jeśli wiem dlaczego ją panu powierzam! Czy to poncz czy przeznaczenie do tego mię skłania, ale muszę panu to opowiedziéć, choć wysłuchawszy, uznasz mię najnikczemniéjszym człowiekiem. Może być, bardzo łatwo, iż jutro przypomniawszy sobie, jakie głupstwo popełniłem, będąc winem zagrzanym, poproszę pana lub zmuszę, żebyś się ze mną na chustce strzelał, aby moja tajemnica przez pańską śmierć znikła, albo przez moją straciła ważność.

Chciałem uczynić niejakie przełożenia, ale nie z obawy, jedynie przez wzgląd na mego nowego przyjaciela, lecz on nie dał mi mówić, i poprowadziwszy mię ku sterowi, ścisnął czule za rękę i tak zaczął:

— Przed dwoma laty, byłem podczas wojny dowódcą galjoty na morzu śródziemném. Moje

obowiązki ograniczały się na czuwaniu nad okrętami kupieckiemi. Staliśmy w Portovenere, małym porcie włoskim między Genuą i Especją w bliskości wyspy Korsyki. Miałem nieograniczone zaufanie w moim poruczniku, i często udawałem się na ląd, chociaż w Portovenere bardzo było smutno. Właściwym powodem moich częstych wycieczek to było, iż zabrałem tam znajomość z córką kapitana portowego. Nie wiem jakim sposobem przybyła do Włoch, bo była rodem z Peru, i nazywała się Peppa.

Wystaw sobie przyjacielu, lat ośmnaście, twarz brunatną, usta koralowe, zęby jak kość słoniowa, kibić, którą objąć można było w dłoniach oczy przymrużone, piękne czarne włosy i takież oczy.

Ach, przyjacielu, gdybyś ją widział w lekkim, w pasie tylko przewiązanym batystowym płaszczyku, ach, na Boga, trzeba było oszaleć! i tak się też ze mną stało. Matka jéj nie żyła, ojciec, był dzielny, prosty człowiek. Miałem z nim bliskie stosunki z obowiązków służby, i starałem się być mu użytecznym, wdzięcznym mi był za to, i prosił mię, abym u niego bywał. Więcéj niczego nie żądałem. Z Peppą starałem się dojść do poufałości, i nie trudno

mi to było, bo szło tylko o podzielenie jéj zasad pod względem pobożności. Peppo, rzekłem raz do niéj, samolubstwem jest modlić się za samego siebie, jeśli chcesz, módl się za mnie, a ja za ciebie modlić się będę.

Biédna dziewczyna, przystała na tę zamianę, a gdy pewnego dnia pytała się mnie, jak ja się modlę, odpowiedziałem jéj, iż zawsze powtarzam. O mój Boże, pozwól żeby Peppa tak mię kochała, jak ja ją kocham.

Zarumieniła się, i rzekła, iż przeciwnie, o nic serdeczniéj nieba nie prosi, jak żeby mię nie kochała.

Możesz pan odgadnąć, iż to wyznanie bardziéj mię uczyniło zakochanym jak kiedykolwiek. Nakoniec zdołałem ją przekonać o mojéj najgwałtowniéjszéj miłości, i zapewnić się, że ona równém mi odpłaca uczuciem. Kochałem po raz pierwszy! kochałem do szaleństwa, bo poznałem wzniosłość jéj serca. Pewnego dnia rzekła do mnie. Cieszę się bardzo, że jesteś zaślubionym, bo jestem biédna, ale ty niemożesz pomyśléć, iż kocham cię dla tego, żebyś się ze mną ożenił, albo żebym została bogatą.

— Jesteś pan więc zaślubionym? rzekłem do Wolfa.

— Bynajmniéj, odpowiedział, ale użyłem tego podstępu, aby dokładnie poznać rodzaj jéj miłości, obawiałem się bowiem, aby mię nie kochała jak przyszłego męża. — Pewnego dnia, ojciec Peppy osobiście zwiedzając podejrzany okręt, znalazł w nim wielu chorych, i przymuszony był pod strażą zdrowia, przetrzymać wraz z niemi ośmiodniową kwarantannę.

Wystaw sobie mój przyjacielu! Peppa została sama z starą guwernantką. Dowiedziawszy się o tém, pospieszyłem do niéj, pełen nadziei. Ale sześć dni upłynęło, a moje nadzieje nie spełniły się. Siódmego dnia, niezachwianie postanowiłem zastrzelić się, ale zarazem przysiągłem sobie, że przed śmiercią dopnę mego celu. Jéj serce do mnie należało, wyznała mi, że mię kocha, reszta zatém, była jedynie formalnością. Nieprawdaż?

Odpowiedziałem memu przyjacielowi powątpiewającém „hm!“ i prosiłem go, aby daléj mówił.

— Właśnie gdy miałem udać się na ląd, nadeszła depesza od Admirała, który, nie wymieniając powodu, rozkazywał mi nazajutrz z rana, rozwinąć żagle i połączyć się z Eskardą. Zaledwie nie padłem na ziemię, przeczytawszy roz-

kaz; niepomyślałem dotąd ani na chwilę, o oddaleniu się z tych miejsc. Wydałem jednak rozkaz podniesienia kotwicy nazajutrz z rana i udałem się na ląd, aby mojéj kochance udzielić tę wiadomość. Nie mając żadnego pewnego postanowienia, wziąłem jednak z sobą pistolety.

— Opuszczam cię jutro Peppo! i może cię już nigdy nie zobaczę, rzekłem do niéj.

— Jakto! oddalasz się? i już jutro? zawołała z radością, któréj nieumiałem sobie wytłumaczyć. Potem upadła na kolana wołając: Wielki Boże dziękuję ci!

— Peppo?! zapytałem.

Ale ona w uuiesieniu rzuciła mi się na szyję i okrywała mię pocałowaniami. Oddalasz się, ale nie prędzéj jak jutro, od téj ohwili aż do jutra do nas należy. Wspomnienie tego czasu i twojéj Peppy, zostanie w twojéj duszy na wieki.

Porzucisz twoją Peppę, dodała z uniesieniem namiętnéj kobiety, porzucisz ją, ale będziesz za nią tęsknił, będziesz jéj więcéj niż kiedykolwiek żałował; ach! ty nie wiesz, ty nie możesz wiedzieć jak ja cię kocham, ile mię kosztowało opierać się twoim uczuciom. Ale tak zawsze

marzyłam o miłości. Jedyny tylko dzień, skosztować niewysłowionego szczęścia; ale tylko jeden dzień, żeby był na zawsze jedynym w mojém życiu! Bo kiedy po takim dniu nastąpi drugi poranek, ten i wszystkie następne będą blade i odejmować będą blask tamtemu. — Pomyśl tylko, że ja w tym jednym dniu całe moje życie mam przeżyć; bo, jeśli mię przeczucie nie zwodzi, nigdy cię już nie zobaczę; a gdyby nawet inaczéj było, nigdy już dla nas taki dzień jak ten nie wróci.

— Peppa była dziwną istotą, rzekłem do mego przyjaciela Wolfa. — Godzien byłeś zazdrości. Musiałeś być bardzo szczęśliwym.

— Tak, żeby można oszaléć. Powróciłem prędko na pokład mego statku, aby wydać ostateczne na dzień następny rozkazy; o trzeciéj po południu wsiadłem sam w małe czółenko, aby niebędąc postrzeżonym dostać się do lądu. Przepłynąłem obok okrętu na którym znajdował się ojciec Peppy, aby przekonać się czy czas kwarantanny nie kończy się przed następnym porankiem. Widziałem zacnego kapitana, który mię prosił abym o jego zdrowiu upewnił jego córkę; a potém, skierowałem czółno ku téj stronie w któréj nad brzegiem znajdował się ogród Peppy.

— Ale nie wspominasz mi przyjacielu o wyrzutach, jakie ci głos wewnętrzny na widok ojca twojéj kochanki czynić musiał.

— Do pioruna! odpowiedział z gwałtownością, którą chętnie przypisywałem skutkom ponczu, nie gadaj mi o uczuciach, które gdybyś był na mojém miejscu, pewnoby ci na myśl nie przyszły. Jakiż głos może tego wstrzymać, który spieszy w objęcie kochanki. Pomyśl że czekała na mnie, że była sama, pożerana tym samym płomieniem, który mnie trawił. Pojmiesz jak pięknie marzyłem, kiedy już niedaleko od brzegu, ujrzałem człowieka płynącego ku mnie.

Wątpliwość moja stała się wkrótce pewnością; ogorzały pływak dał mi znak abym nań zaczekał. Zatrzymałem czółno; zbliżył się i zapytał czy nie jestem oficerem z galjoty.

— Jestem jéj dowódcą, odpowiedziałem,

— A więc, panie kapitanie, mogę sobie oszczędzić trudu płynięcia aż do galjoty. Mam tu coś do was samych. Mówiąc to zdjął z szyi małą ołowianą puszkę, i podał mi ją jedną ręką, i drugą tymczasem, trzymając się steru méj łodki, i tym sposobem utrzymując się na wodzie bez potrzeby pływania.

Otworzyłem puszkę i przeczytałem, uważaj co! Drugi rozkaz Admirała, wypłynienia pod żagle nie nazajutrz, lecz natychmiast po otrzymaniu rozkazu. Szybkość mojéj galjoty była znaną, i Admirał rozkazywał mi bezpośrednio do niego udać się, dla wypełnienia nader ważnego zlecenia. Pisał on, iż jeszcze mam czas wypłynąć z portu, a późniéj mogłoby to być niepodobném, bo Francuzi mają zamiar krążyć przed Portovenere, i za godzinę może już tam będą. Dla tego Admirał, chcąc ustrzedz statek mój od niebezpieczeństwa, posyła mi zaufanego człowieka, sternika jego korwety, z poleceniem zostawienia statku w niejakiéj odległości od portu i udania się w pław do mnie, aby nie był postrzeżonym od nieprzyjaciół jeśliby już w tamtéj stronie krążyli.

Na nieszczęście udało się przeklętemu sternikowi, wykonać rozkaz Admirała, i teraz oparty o ster mojéj łodzi, i utkwiwszy we mnie swe siwe oczy, rzekł:

— Ponieważ, kapitanie, udajecie się na pokład, bądźcie tak dobrzy, weźcie mię do czółna. Admirał polecił mi, jeśli ujdę Francuzów i rekinów, abym wstąpił na wasz statek i powtórzył wam jeszcze raz rozkaz jego; rozwinięcia żagli natychmiast.

Francuzów uniknąłem nie bez trudu, bo widziałem pod wiatrem fregatę i bryg, i jeśli nie rozwiniemy wszystkich żagli, za pół godziny może będzie za późno.

— Do czarta! a Peppa? zapytałem Wolfa.

— Cierpliwości, odpowiedział Wolf. Ponieważ postanowiłem uczynić zupełnie wyznanie, muszę więc wszystko opowiedzić, co mi przez głowę przeszło w tej smutnéj chwili, i nie wiem dla czego to się dzieje, ale przypominam sobie moje ówczesne myśli, tak jakby to było wczoraj. Może dlatego, że tak często o tém myślę, dodał po chwili ponurego milczenia. Pierwsza moja myśl, podstawa wszystkich innych, była, nie wrócić na okręt. Nieochybnie będę rozstrzelany, ale to mi było zupełnie obojętném, bo już z rana byłem przygotowany sam się zastrzelić, kiedy nie będę miał nic do wymagania od Peppy. Z téj strony nie miałem już zatém żadnéj wątpliwości, szło tylko o to, jakbym się pozbył tego sternika. Przekupić go; o tém nie można było pomyśléć; gdybym wzbraniał się wypełnić rozkaz, on wspomniałby o tém na mojéj galjocie, a gdyby się o tém dowiedzieli moi oficerowie, może zostałbym zmuszonym do rozwinięcia żagli. Co ten wyraz

dla mnie znaczył, zrozumiesz pan, ponieważ z opisu mego znasz Peppę.

— To rozumiem, rzekłem do mego przyjaciela, iż mówiąc między nami, serdecznie żałuję, że przeklęty sternik nie został w drodze połkniętym przez jakiego rekina.

— Istotnie, zawołał Wolf, ja tę samą myśl miałem. Co za szkoda, myślałem, zupełnie jak ty, bo gdyby był rekin połknął przeklętego sternika, nie mógłby on mi przynieść rozkazu, a ja niepotrzebowałbym odpływać, aż już jutro z rana; wprawdzie z niebezpieczeństwem spotkania francuzów, ale zyskałbym tyle godzin szczęścia, potém pocałunek pożegnania, a potém krwawą pełną sławy bitwę z przemagającą siłą.

— W istocie to było wspaniale! rzekłem i gdyby nie ten niegodziwy sternik.

— Tak, ten sternik, odpowiedział Wolf. Ale zapomniałem ci powiedzieć, iż w chwili, kiedy te tysiączne myśli nad rozkazem Admirała, krzyżowały się w mojéj głowie, czółno, na którém płynąłem, porwane zostało wiatrem i uniesione w jeden z częstych bardzo na morzu śródziemném wirów, który był bardzo niebezpieczném miejscem w porcie, i z zamyślenia wyrwał mię krzyk sternika, który ciągle trzymał się me-

go czółna, ale nagle uczuł się porwanym wirem, puścił ster i kręcąc się mimowolnie, wołał: „Rzućcie mi wiosło kapitanie, albo utonę."

Nie mogłem ani słowa wymówić, i patrzyłem błędnie na Wolfa; był on niewzruszonym i zimnym.

Mówił dalej:

— Muszę przyznać, iż gdybym usłuchał pierwszéj myśli, byłbym mu rzucił hak, i ocalił życie.

— Ale druga, przyjacielu, rzekłem, jakaż była druga myśl twoja?

— *Nic nie czynić i patrzéć wesoło na śmierć jego!*

Sternik zanurzył się wołając: — Morderco!

— Morderca! miał słuszność, bo życie jego było w mojéj mocy, i tak łatwo mi było ocalić je, jak zcisnąć pas mojéj sukni.

Zerwałem się z gwałtownością, ale Wolf zatrzymał mię, i rzekł gorzko uśmiechając się:

— Wszakże powiedziałem, że jestem nędznikiem; ale ty człowieku z czułém sumieniem, wstąp w głębią twojéj duszy, przejrzéj najskrytsze jéj tajnie, które człowiek z zimną krwią zaledwie zbadać zdoła; pomyśl o mojém położe-

nim, o upojeniu szalonéj miłości, któréj już chciałem poświęcić moje życie; przekonaj się, że przez to byłem zupełnie wolnym od kary, że najgłębsza tajemnica, głęboka jak bezdenna przepaść, która pochłonęła sternika, mój postępek pokryła; dodaj, że to było dziełem przypadku, że ten człowiek był dla mnie obcym, powiedz sobie nakoniec te słowa: *Nikt o tém nie mógł się dowiedziéć*! słowem, powiedz sobie wszystko, co ja w mojém przykrém położeniu, mogłem sobie pocieszającego powiedziéć; pomyśl przedewszystkiém, że kochałem, że za chwilę miałem utracić to co kocham, i co mi śmierć tego człowieka powracała; i wtedy, odważ się, na głowę twojéj matki poprzysiądz, że byłbyś inaczéj postąpił; zawołał Wolf z ostrém niezachwianém spojrzeniem, które mię lodem przejęło.

Wolf mówił daléj:

— Pomijam słodkie chwile spędzone z Peppą. Dwa lata od owego czasu upłynęły; ona umarła; ale patrz, jak na samo to wspomnienie krew zstępuje z lic moich.

Nazajutrz z rana stało się jak Admirał wróżył, Francuzi wylądowali przy Portovenere.

Ze świtem przybyłem do mojéj galjoty, i muszę wyznać że byłem w najwyższym stopniu nieczułym dla tych biednych ludzi, którzy przez moje nieposłuszeństwo mieli teraz wystąpić do walki;bo gdybym był usłuchał rozkazu Admirała, uniknęlibyśmy krwawego spotkania.

Osada mojego statku była pełną zapału, zagrzałem bardziéj jeszcze jéj odwagę i opuściliśmy port z mocném przekonaniem walczenia do ostatniego, to szczególniéj moim było zamiarem. — Moja galjota płynęła jak ryba, miałem ośmnasto - funtowe długie działa; ujrzeliśmy fregatę i bryg, pierwszą przed, drugi pod wiatrem.

Bryg puścił się za nami, i zbliżył do nas; po krwawéj walce, w któréj dwa razy byłem raniony, Francuzi cofnęli się, bo statek ich okropnie był uszkodzony. Fregata zaczęła teraz działanie. Naprzód sypnęła grad kul, i może byłoby po nas, ale szczęśliwym trafem działa nasze zwaliły jéj maszt wielki. Nasz statek był nieuszkodzony, puściliśmy się w najwiekszym pędzie, fregata nie zdołała nas ścigać, i wieczorem połączyłem się z Admirałem.

Wypływając z Portovenere miałem ośmdziesiąt ludzi i czterech oficerów; przybywszy do

Admirała, liczyłem tylko jednego kadeta i dwudziestu dwóch majtków; reszta zginęła.

Admirał chwalił moje męztwo, przyrzekł mi wyższy stopień, ale nie mógł przytém zapomnieć śmierci swego sternika, który jak mniemał, stał się łupem rekina, albo nie miał siły dopłynąć do mego okrętu.

— Jaka szkoda, mówił, że ten nieszczęśliwy nie mógł panu zanieść mego rozkazu, nie bylibyśmy opłakiwali straty tylu walecznych. Ale, dodał, nie mielibyśmy także sposbności, winszować panu tak pełnéj sławy potyczki, kapitanie Wolf. W dwa miesiące późniéj, stopień kapitana fregaty, był nagrodą mego pięknego czynu, jak się wyrażono w rozkazie dziennym.

To jest cała moja powieść, przyjacielu; przyznam że mogę rozmawiać o miłości, z zupełném zaparciem się samego siebie, rzekł Wolf z smutnie uśmiechającą się twarzą. Potém dodał: — Ale patrz, goście się zbliżają; ciekawym jak daleko zaszli w swoich rozprawach.

Wróciliśmy na ląd. Chcąc rozpędzić cokolwiek smutne myśli któremi mię opowiadanie mego przyjaciela Wolfa przejęło, udałem się natychmiast na spoczynek. Ale bogowi snu podobało się, przedstawić mi raz jeszcze całą dziw-

ną historję, którą słyszałem opowiadaną, i widziałem we śnie tonącego sternika i słyszałem śmiertelny krzyk jego: „Morderco!".

Nazajutrz z rana, jakiś służący oddał mi bilet następującéj treści:

„Czekàm cię na wale naprzeciw pałacu Mistrza; muszę z tobą mówić.

Wolf."

Udałem się na wał. Mój przyjaciel Wolf już się tam znajdował. Był cokolwiek blady, uśmiechał się, i twarz jego miała wyraz słodyczy, ktoréj wczoraj nie dostrzegłem.

Zbliżył się do mnie i rzekł, podając mi rękę:

— Pewny byłem że w krótce przyjdziesz, tak bardzo liczyłem na twoją przychylność i na działanie sympatji, jakiéj jeszcze do nikogo nie czułem.

Wstrząsnąłem serdecznie jego rękę i zapytałem czego żąda?

— Kochany przyjacielu, odpowiedział, przed wszystkiém, powinienem prosić się o przebaczenie, że wczoraj zająłem ci czas opowiadaniem nędznéj powieści.

— Niech mię kule biją, odpowiedziałem, jeśli myślę o tém, co bez wątpienia madera kazała ci wczoraj mówić kochany Wolf. Raz jeszcze: nie mówmy wcale o tém; ja już zupełnie zapomniałem.

— Oh, nie! odpowiedział z melancholicznym uśmiechem, nie wino mówiło przezemnie, ale czysta prawda, i ty jesteś jedynym człowiekiem' dodał podnosząc na mnie swe błękitne oczy, który dowiedziałeś się o tém fatalném zdarzeniu.

— A więc ufaj mojéj wstrzemięźliwości; czy ta powieść jest prawdziwą czy zmyśloną, zostanie ona zagrzebaną w zapomnieniu.

— Tak być nie może, odpowiedział Wolf ciągle bardzo łagodnym głosem. Wczoraj już ci powiedziałem. Jeden tylko z nas posiadać może tę tajemnicę.

— Kochany Wolf, czy mówisz bez żartów?

— Zupełnie bez żartów.

— Ale to jest szaleństwo, przyjacielu!

— Nie. Posiadasz tajemnicę, która gdyby była wyjawioną, wystawiłaby mię takim, jakim jestem w istocie; mordercą! dodał boleśnie, a ponieważ ja, którego to głównie dotycze, nie mogłem jéj zamilczéć; jak że ty to uczynisz? Podobna wątpliwość byłaby dla mnie nadto okro-

pną, nie, nie może tak zostać! ujął mię za obie ręce, i rzekł z nadzwyczajną czułością: Nie odmawiaj mi, nie pozwól abym musiał zniewolić cię do tego, o co się teraz proszę.

— A więc mamy strzelać się dla tego, że mi twoją przeklętą historją opowiedziałeś? zgoda, ale przyznaj, że to nie bardzo przyjemnie, dodałem cokolwiek kwaśno.

— Pojmuję to, ale już się stało. Przebacz mi to przyjacielu.

— Nie, do czarta, na to dość jeszcze czasu, bo jeszcześ mi nie strzaskał czaszki. Lecz aby żart ten był zupełnym, będziemy się strzelać na chustce?

— Nie inaczéj! odrzekł Wolf łagodnie.

— Masz broń?

— Tak jest, przyniosę moje pistolety, dlatego nie potrzebujesz przynosić twoich, chyba że nie ufasz....

— Kapitanie, rzekłem surowo, tym razem....

— Przebacz przyjacielu. Ale powiedz twemu sekundantowi, że to jest sprawa na śmierć, nieodmiennie!

— A kiedyż mamy spełnić ten krok szalony? zapytałem.

— Miły Boże! za godzinę! zejdziemy się w starym porcie; uśmiechnął się boleśnie, skłonił się głową i odszedł.

Wróciłem na pokład mego okrętu, aby napisać niektóre listy, i załatwić inne okoliczności. Jeden z moich przyjaciół, stary kapitan fregaty, niechętnie prawie, skłonił się być moim sekundantem, kiedy mu wyjawiłem warunki tego morderczego pojedynku. Na chustce, **jeden** pistolet nabity kulą, **drugi** bez kuli.

Najbardziéj martwiły mię uwagi mego zacnego sekundanta nad lekkomyślnością moją, jak ją nazywał.

— Niezawodnie szukałeś tego pojedynku, mówił on, jak niedawno w Martinice, jeszcze raz na złe ci to wyjdzie! Byłaby jednak szkoda, tak młody oficer, tak pełen nadziei.

Tyle zaledwie mogłem mu powiedzić, że nie byłem obrażającym, ale na to odpowiedział mi:

— Kapitan Wolf, tak mówiono przynajmniéj, pije tylko zwykle wodę, i znanym jest z swojéj łagodności i skłonności do życia samotnego, Jakimże sposobem mógłby się upić i obrazić cię pierwszy?

— Ale do czarta! krzyknąłem gwałtownie.

— Dobrze, zacznij i ze mną kłótnię, aby mię przekonać, że nie lubisz sprzeczek, odpowiedział nieugięty starzec.

Byłem rozgniewany. Popieczętowałem listy, wydałem służącemu niejakie rozkazy, kazałem spuścić czólno i popłynąłem z moim sekundantem na naznaczone miejsce.

Wolf już tam czekał. Postąpił ku mnie, lica jego nie były bardzo błade, owszem pokrywał je lekki rumieniec, włosy miał starannie ułożone, oczy zachwycające, nie widziałem jeszcze mężczyzny tak zadziwiającéj piękności. W drodze, wszelkiemi sposobami starałem się rozdraźnić mój gniew, niepodobna, na próżno! Bez gniewu, bez nienawiści, miałem strzelać się na śmierć, bo gdybym był odrzucił ten pojedynek, Wolf byłby mię obelgami przymusił do niego. Wolałem zatém pojedynkować się, nie wiedząc dlaczego, i nie gniewając się na niego. Bo pomimo jego występku, nie mogłem go nienawidzieć.

Tak jest, wyznam, miał on szczególny wpływ nademną. Jego smutny, łagodny głos, jego spokojność, niepojęta sympatja myśli naszych podczas jego powieści, a bardziéj niż to wszystko, wrodzone zamiłowanie tego wszystkiego co jest

nadzwyczajném, sprawiło, iż w téj chwili nie pomyślałem o śmierci, która może za kilką chwil moim udziałem być miała.

— Moi panowie, rzekł mój sekundant, wiecie, że jeden z was dwóch ma popełnić morderstwo.

— Wiemy, odpowiedział spokojnie Wolf.

— A więc do rzeczy, i niech wam Bóg odpuści, dodał kapitan poważnym głosem. Wziął pistolety z rąk sekundanta Wolfa, i chciał je obejrzéć.

— Na to niepozwolę, mój panie! zawołałem, biorąc mu z rąk pistolety.

Wolf wziął mię za rękę, ś cisnął ją silnie rzekł:

— Bravo! ale mam jeszcze jedną prośbę. Zaufaj mojéj uczciwości, pozwól mi brać pierwéj, chociaż to są moje pistolety.

Podałem mu je; wziął jeden a ja drugi, serce mi gwałtownie biło; stanąłem naprzeciw niego.

Nigdy nie zapomnę jego spokojności i niezachwianéj odwagi. Poprawił palcami piękne czarne swoje włosy, oparł chwilowo czoło swoje o dłoń, jakby dla zebrania przytomności, po tém

wzniosł oczy ku niebu, z niewysłowionym wyrazem wdzięczności.

Spojrzał na mnie, podniósł pistolet i wymierzył. Ja także wziąłem na cel.

— Jesteście panowie gotowi? zapytali sekundanci.

— Tak jest.

— Dobry Boże, przebacz im rzekł milczący starzec i klasnął w ręce.

Oba nasze strzały zagrzmiały w jednéj chwili. Przez chwilę byłem oślepiony i ogłuszony wystrzałami, i przyszedłszy do siebie za chwilę ujrzałem obu sekundantów pochylonych nad Wolfem, który wsparty na łokciach w krwi swojéj pływał.

— Wielki Boże! — sam tego chciałeś! zawołałem w rozpaczy! Wiesz sam, że to nie moja była wina! Przebacz, najmilszy przyjacielu przebacz.

— Ja obraziłem się, i ponoszę słuszną karę. Przebaczam ci moję śmierć, rzekł słabym głosem; a zbliżając się do mego ucha, dodał: Wszystko tak przygotowałem, żeby zginąć z twojéj ręki. Dziękuję ci! o Peppo!

W téj chwili wyzionął ducha.

Kula moja przeszyła mu piersi.

Teraz pojąłem, dla czego chciał wybierać między pistoletami.

KALINA

(*Ballada.*)

W gaiku,
Przy strumyku,
Dziewczyna kwiatki zbierała,
Zbierała i tak śpiewała:
Rośnij, rośnij kalino,
Rośnij, rośnij krzewino,
Jak powróci kochanek,
Ja cię zerwę na wianek.

Kalina.

Twój kochanek nie żyje,
Dawno ziemia go kryje,

Za boreczkiem ptak śpiewa,
W borku krzyż i kurhanek,
W tym kurhanku spoczywa,
Twój Jaś, ach! twój kochanek.

Dziewczyna.

Mój Jaś żyje, ach żyje!
Ziemia jego nie kryje,
Kiedy wczoraj zawcześnie,
Sen me oczy okrywał,
Ja widziałam go we śnie,
Jak mnie ściskał i śpiewał.

Kalina.

Ten sen, tylko złudzenie,
Ten sen, tylko marzenie.
Dziewcze, niech cię nie zwodzi,
Promyk szczęścia dziecinny,
W wiosce chłopcy są młodzi,
Będzie kochał cię inny.

Dziewczyna.

Za boreczkiem ptak śpiewa,
W borku krzyż i kurhanek,

Gdy mój umarł kochanek,
Ja nie będę szczęśliwa.
Chociażby pan bogaty,
Przysłał do mnie swe swaty,
Choć pan świata całego,
Chociażby miał dom złoty,
Wysadzany klejnoty,
Ia nie pójdę za niego.

Kalina.

Za boreczkiem ptak śpiewa,
W borku krzyż i kurhanek;
Choć twój umarł kochanek,
Będziesz jednak szczęśliwa,
Inny chłopiec przyjedzie,
Przed ołtarz cię zawiedzie,
Kapłan związki poświęci,
Żal cię dręczyć przestanie,
I wyjdzie ci z pamięci,
Dawna miłość, kochanie.

Dziewczyna.

Przysięgam na mą duszę,
Na piekielne katusze,
Że choćby pan bogaty,
Przysłał do mnie swe swaty,

Choć pan świata całego,
Ia nie pójdę za niego.
Dróżka, za dróżką borek,
W borku są dwa kurhanki,
Przy kurhankach klasztorek,
A w klasztorku kapłanki.
Jak nie wróci kochanek,
Ja pójdę do kapłanek,
I w klasztorze osiędę,
I zakonnicą będę.

Wtém się Niebo zachmurza,
Straszna nadchodzi burza,
Słychać zdala huk gromu,
I zmierzchać się zaczyna;
Zatrwożona dziewczyna,
Powróciła do domu.

II.

W gaiku,
Przy strumyku,
Rośnie piękna kalina,
Tam śpiéwała dziewczyna.
„Rośnij, rośnij, kalino!
Rośnij, rośnij, drzewino,
Jeden zginął kochanek,
Drugi przysłał swe swaty,

Pan zamożny bogaty,
Ja cię zerwę na wianek.

Kalina.

Dróżka, za dróżką borek,
W borku są dwa kurhanki,
Przy kurhankach klasztorek,
A w klasztorku kapłanki.
Twój nie wrócił kochanek,
Miałaś iść do kapłanek,
Po cóż ci ślubny wianek?

Dziewczyna.

Rośnij, rośnij, kalino,
Rośnij, rośnij, drzewino,
Już jest inny kochanek,
Ja cię zerwę na wianek.
Kochanek, pan bogaty,
Od złota błyszczą szaty,
Zamek, pałac ma złoty,
Wysadzajny klejnoty.
Któż mi związek ten zgani?
Będę żyła jak pani.
Ludzie na me usługi,
Do pojazdu dwa cugi.

Kalina.

Za boreczkiem ptak śpiewa,
W borku krzyż i kurhanek,
W kurhanku tym spoczywa,
Twój prawdziwy kochanek.

Dziewczyna.

Tamten dawno nie żyje,
Ziemia dawno go kryje,
I pocóż mam ślub zwlekać,
Po cóż na niego czekać?
Wreszcie on nie bogaty,
Nie błyszczą złotem szaty,
W wiosce chatka jest mała,
Ogród, i w nim drzewina,
A przy ogrodzie niwa,
Oto jego dziedzina,
I ja bym z nim żyć miała?
Lepiéj niech nie przybywa,
Nie będę z nim szczęśliwa.

Ja.

Gdy twe szczere zapały,
Miłość w sercu, w westchnieniu,

Wtenczas dziewczę! świat cały,
Jest w kochanka spojrzeniu.
Czyliż mały dostatek,
Bóg nam stworzył w podziele?
Dla nas kwitnie ten kwiatek,
Dla nas rośnie to ziele,
Nam gwiazd błyszczy gromada,
Dla nas łąk tych kobierze,
Małoż człowiek posiada,
Kiedy jeszcze ma serce?

Kalina.

Héj dziewczyno, dziewczyno,
Nie chciéj tego zamęścia,
Gdyż twojego nieszczęścia,
Sama będziesz przyczyną.

III.

W gaiku,
Przy strumyku,
Dziewczyna kwiatki zbiérała,
Zbiérała i tak śpiewała,
„Jak ja będę szczęśliwa,
Mój mąż bardzo bogaty,
Złote będę mieć szaty.
Będę sobie szczęśliwa,

Mąż we wszystko opływa,
Kochanek mój ma sługi,
I koników ma cugi,
Będę sobie w karecie,
Pyszniła się po świecie,
Będą mi się kłaniali,
I będą mnie się bali!"

Wtém się Niebo zachmurza,
Straszna nadchodzi burza,
Słychać zdala huk gromu,
I pojazdu słychać huk.
Ktoś zajechał do domu,
Puka, puk, puk,
Z pojazdu pan wysiada,
Do dziewczyny przypada,
I mówi jéj do ucha,
A dziewczyna go słucha,
Słucha. . . mówi do niego:
„My żyć mamy dla siebie,
Dobrze, ja więc innego,
Już mieć nie chcę prócz ciebie."

Pan.

Dziewcze! jeden warunek,
Jeźliś miała kochanka,
Przez miłość, czy trafunek,

Jeśliś mu przyrzekała,
Że go będziesz kochała,
Że mu będziesz wzajemną,...
Tak, gdyś miała kochanka,
W tenczas ślubnego ze mną,
Nie możesz dzielić wianka.
Dziewczyna się spłonęła,
I nic na to nie rzekła,
Białe ząbki ścisnęła,
Bladość twarz jéj powlekła.

Pan.

I cóż miałaś kochanka?

Dziewczyna.

Nie, nie miałem kochanka,
Nikogom nie kochała,
I miłości nie znała.

Pan.

I ty mówisz to szczerze,
Przysięgnij... a uwierzę.

Wnet klęka dziewczyna,
Drobne rączki składa,
Przysięgam, powiada,
W Imie Ojca Syna.

Pan.

Stój nie mów Imienia,
Dosyć przyrzeczenia.
Jam jest twój kochanek,
Nim nadejdzie ranek,
Będziesz moją żoną,
Moją ulubioną.

I dziesiąta wybiła,
I ciemność świat okryła.
Kur pierwszy pieje,
Wiatr wieje,
Chmurzy się błyska,
I znów się chmurzy.
Niebo grom ciska,
Wiatr wieje,
Burza, po burzy,
Znów się błyska,
Dziewczyna truchleje,
A młodzian się śmieje.

Pan.

Dziewczę szczęście nam służy,
Lubię jechać wśród burzy.
Daléj siadaj do kocza,
Moja żonko urocza,
Daléj do podróży,

Dziewczyna.

Jazdy nie chcę odwlekać,
Ale lepiéj mój miły,
Burzę groźną przeczekać.
Pójdziemy do kościoła.
I księdza się zawoła,
Ksiądz nas złączy, mój miły,
I uwieczni kochanie,
Burza groźna ustanie,
W tenczas w podróż co siły,
Wszakże lepiéj poczekać?

Pan.

Ja nie mogę odwlekać,
Goście już się zjechali,
Będą na mnie czekali,
Księdza i tam dostatnie,
Dalej! moje kochanie,
Moja żonko urocza,
Daléj! siadaj do kocza.

IV.

W gaiku,
Przy stumyku.
Rośnie kalina,
Tamtędy jechała,

I tak wołała
Dziewczyna.
»Wstrzymaj konie;
W téj tu stronie,
Iest kurchanek,
Gdzie ta krzewina,
Rośnie kalina,
Ia jéj urwę na wianek.«

Pan.

Nie będziesz rwać kaliny,
Wianka i tam dostanie,
Przytém moje mieszkanie,
Ujrzysz za pół godziny.
Jedźmy prędko kochanie,
Wianka i tam dostanie,

Dziewczyna.

Konie pędzą co siły,
Każ je wstrzymać mój miły,
Strach mię jakiś przéjmuje,
Dreszcz mię jakiś przechodzi,
Spocząć tu już nie zaszkodzi;
Bo znużenie już czuję.

Pan.

Próżne twoje żądanie,
Czasu tracić nie mogę,
Długą mamy dość drogę,
Daleko me mieszkanie,
A czasu pół godziny.
Nim kur trzeci zapieje,
Wiatr jutrzejszy zawieje,
Miniem bory, drożyny,
I będziem ztąd daleko;
Tam pod moją opieką,
Ujrzysz moje mieszkanie,
Spełni się twe żądanie.
Rośnij, rośnij kalino,
My jedziem w kraj daleki,
Będziesz moją dziewczyno,
Będziesz moją na wieki.
»Jam miłości nie znała,
Nikogo nie kochała.«
Takeś do mnie mówiła,
Samaś siebie zdradziła,
I przysięgę złamała.
Rośnij, rośnij kalino,
My jedziem w kraj daleki,
Będziesz moją dziewczyno,
Będziesz w piekle na wieki.

V.

W gaiku,
Przy strumyku,
Rośnie kalina,
Lecz gdzież jest dziewczyna?

Kalina.

W cichéj nocy przed rankiem,
Skoro księżyc zachodzi,
Ona tutaj przychodzi
Razem z swoim kochankiem;
I kiedy noc jest głucha,
Tutaj błądzi pod borem,
Z ust piekielny żar bucha,
Bo ona jest upiorem.
Tak kiedy noc zmierzchliwa,
Tu przychodzi i śpiewa:
»Rośnij, rośnij kalino,
Rośnij, rośnij krzewino,
Oto mój mąż, kochanek,
Daj mi listków na wianek.»

Józef Łopaciński.

MAUROWIE
W ASTURJI.

(*Powieść z średnich wieków.*)

— A co Kerimie, czy dumna Ormesinda jeszcze się wącha? Czy istotnie sądzi, że zdoła się mojéj sile oprzéć? czy nie obawia się mojéj zemsty? zapytał Munuza swego powiernika.

— Ani prośby, ani pogróżki żadnego na niéj wpływu nie wywiérają. Ta siostra przeklętego Pelagjusza, jest równie jak jéj brat dumną i niezachwianą. Z pogardą odrzuca ofiarę waszéj ręki; o Allah! co za hańba dla Maurów! Podbiliśmy ten kraj, nasza wola jest tu jedyném prawem, w proch zgniecieni nieprzyjaciele nasi drżą, skoro gniew zabłyśnie w naszych oczach; a nędzna niewolnica śmie wzgardliwie odrzucać rękę potężnego Munuza, władcy północnéj Hiszpańji. Dziwiłem się, że wielki namiestnik Kali-

fy, zamyśla jednéj chrześćjance tak wielką cześć wyrządzić, ale bardziéj jeszcze teraz się dziwię, że cierpliwie znosi jéj opór, kiedy może jedno słowo wyrzec, aby tę dziewczynę do swego pałacu kazać sprowadzić, i zmusić do wypełnienia jego woli.

— Na proroka! twoja rada jest dobrą. Tak, za długo byłem łagodnym względem téj dumnéj Ormesindy! Moja cierpliwość już wyczerpana, i czas już nareszcie, osiągnąć siłą to, czego miłość, dobroć, i łagodność nie zdołały otrzymać. Twojéj gorliwości i wierności polecam sprowadzenie dumnéj piękności do mego pałacu. Ale czekaj nocy; nie lękam się wprawdzie, aby niewierni oparli się temu przedsięwzięciu, wolę jednak uniknąć sposobności narażania moich wojowników, bo potrzebni mi będą do wielu jeszcze podbojów. A zatém przezorny Kerimie, za nadejściem nocy, z stosowną siłą udasz się do mieszkania Ormesindy, i bez hałasu przyprowadzisz ją do mego mieszkania.

— Stanie się podług słów waszych potężny namiestniku proroka, odpowiedział Kerim, i poszedł czynić przygotowanie do wypełnienia woli pana.

Gotowie w owym czasie znajdowali się w bardzo złém położeniu. Po wielu szybko po sobie następujących krwawych zwycięztwach, Maurowie podbili całą Hiszpańję, i tylko w górzystych częściach Asturji i Biskai znaleźli trwały opór. Jednakże Munuza został mianowany namiestnikiem Asturji i zamieszkał w mieście Gijon. Chrześćjanie stracili najczynniejszego dowódcę Pelagjusza. Znikł on, i nikt nie wiedział gdzie i jakim sposobem. Rozmaite sprzeczne biegały o nim pogłoski. Po największéj części, zgadzano się na to, że jadąc do Akwitańji dla zyskania posiłków, w drodze zabity został. Smutek i chęć poniszczenia się napełniała serca Gotów. Ze zniknięciem mężnego Pelagjusza, najznakomitsi Gotowie ukryli się w niedostępnych wąwozach, a inni powzięli śmiały zamiar wypędzenia Maurów i obwołania siostry Pelagjusza Ormesindy, królową Asturji.

Chytry Munuza odgadł, jak wielki wpływ na umyśle mieszkańców wywierać mogła Ormesinda, i użył wszelkich śródków aby ją zjednać dla siebie i jéj pozorem wzmocnić swoję władzę nad Gotami. Ale wszystkie jego przełożenie były stale odrzucane, i teraz postanowił siłą dopiąć swego zamiaru.

Ormesinda mieszkała w samotnym domku, żyjąc w odosobnieniu z Elgirą swoją mamką, która teraz była jéj najzaufańszą przyjaciołką. Właśnie rozmawiały o swoim przykrym losie, i postanowiły jak najspiesznićj ucieczką ocalić się od przemocy Maurów. — Tak, moja droga Elgiro, ten Maur w dumie swojéj, gotów jest na wszystko, i stale postanowiłam oddalić się z miasta w którém on swoję władzę rozszerza.

— Ale, droga Księżniczko dokądże uciec, gdzieby nas ręka niewiernych dosiądz nie mogła?

— Jako, matko Elgiro, czyliż zupełnie zapomniałaś o dolinie i jaskini Covadonga? Czyliż nie pamiętasz tego samotnego, dzikiego, prawie nie dostępnego miejsca, gdzie się schronił mój brat po nieszczęśliwém spotkaniu z niewiernemi. Ach! odtąd słyszę już tylko wieści o jego zgonie i wróżby cięższego coraz losu! Za powrotem brata miałam zostać połączoną z pięknym Alonzem. Niebezpieczeństwo mego położenia powinno mię usprawiedliwić, że wybrałam jego i kilku wiernych mi Gotów, na towarzyszy mojéj ucieczki. Dziś jeszcze ma przybyć, abyśmy dokładnie rozmówili się, i jutro za nadejściem nocy uciec mogli. Ale sluchaj czy mi się zdaje, że

słyszę stąpanie. — Tak, to on, kochana matko, spiesz się mu otworzyć.

Wierna Elgira, była posłuszną natychmiast. Jakiż był jéj przestrach, kiedy zamiast drogiego Alonza, tłum nienawistnych dzikich Maurów wszedł do domu, a na ich czele, ulubieniec Munuzy, obrzydły Kerim. Lica Ormesindy zarumieniły się wstydem, gniew pałał w jéj oczach, podobną była do Amazonki, kiedy z wspaniałą powagą podniosła się z krzesła, i postąpiła na przeciw nikczemnika, który ważył się wejść do niéj o téj godzinie.

— Czego tu chcesz? Kto ci pozwala w podobnéj porze próg mój przestąpić?

— Piękna chrześćjanko, powinność rozkazuje być posłusznym namiestnikowi wielkiego Kalify. Jego słowo poleciło mi pospieszyć tutaj i przywieść cię do jego pałacu; a więc przygotuj się, udać się ze mną natychmiast.

— Ja, pójść za tobą? Nigdy! wróć do twego pana, i oświadcz mu, że siostra Pelagjusza, nie może mieć z nim żadnych stosunków; i proś go, aby wzbudził w sobie ostatnią iskrę ludzkości, i oszczędzał istoty, która tylko lękać się go, nienawidzieć, i gardzić nim może.

— Oh! co do tego, nie czuję w sobie żadnéj skłonności! Podobne wyrazy lepiéj się będą w waszych pięknych ustach wydawać, i bez wątpienia wzruszą szlachetnego Munuzę. A więc piękna księżniczko, nie opieraj się, udaj się za mną dobrowolnie, i nie zmuszaj mię, do użycia siły, na któréj jak możesz się przekonać wcale mi nie zbywa.

Ormesinda oniemiała, przekonawszy się o rzeczywistości słów jego. Oko jéj pełne rospaczy spojrzało do koła. Nigdzie ocalenia, żadnego podobieństwa ucieczki, próżny wszelki opór! Łzy najgorętszéj boleści strumieniem rzuciły się z jéj oczu, upokorzona, błagała o litość, o miłosierdzie i najsłodszemi dzwiękami kobiecego głosu starała się wzruszyć dzikiego Maura. Naprożno! Kerim uśmiechnął się, jakby porównywając teraźniéjsze upokorzenie z poprzednią dumą Ormesindy. Niewzruszony jéj boleścią i jękami staréj Elgiry, rozkazał ostrzéj jak pierwéj, aby prędko namyśliła się udać się za nim dobrowolnie, jeśli nie chce uledz sile jego towarzyszy.

Ormesinda w rospaczy spojrzała na okno, chcąc wyskoczyć na ulicę i przez śmierć prędką uniknąć hańby, ale bystre oko Kerima śle-

dziło każde jéj poruszenie; przyskoczył do niéj, kiedy się zbliżała do okna, uchwycił za rękę, i zimno zawołał na swych towarzyszy: „Związcie ją!“ Ten okropny wyraz jak błyskawica przebiegł w duszy Ormesindy i natchnął jéj siłę rospaczy. Rzuciła się na Kerima i powaliła go na ziemię, ale towarzysze jego, schwytali ją i nielitościwie związali jéj ręce i nogi. Elgira leżała bez sił na ziemi, dwaj Maurowie naradzali się czy mają pchnięciem sztyletu zapewnić sobie, że ich postępek zostanie tajemnicą, a tymczasem inni wzięli na barki Ormesindę, a Kerim drzwi otworzył, nakazując najgłębszą cichość. Lecz nagle cofnął się, bo w téjże chwili wszedł zbrojny Alonzo i krzyknął piorunującym głosem: — Zbójcy! puśćcie waszę zdobycz, mój oręż przetnie jéj więzy! Ormesinda na widok jego, wykrzyknęła radośnie, nawet Elgira otworzyła oczy, i wróciła do zmysłów. Maurowie rozśmieli się z tak zuchwałego żądania a Kerim wściekły zawołał: Niewierny, w imieniu potężnego Munuzy, oddaj się!

Alonzo, niezdolny już wstrzymać się, nie zważając na liczbę, rzucił się na nieprzyjaciół i dwóch trupem położył pierwéj nim pozostali, zdołali zebrać myśli i stawić się obronnie. Tyl-

ko Kerim w pierwszéj zaraz chwili w tył się cofnął i podbudzał teraz towarzyszy do szybkiéj ogólnéj napaści. Alonzo jak lew walczył, odwaga i siła jego cudów dokazywały, ale nie zdołały zwyciężyć dwadzieścia razy przemagającéj siły. Kilkakrotnie ranny, upadł nakoniec, i z rospaczą widzieć musiał jak unoszono Ormesindę. Maurowie związali go także i wrzucili do więzienia, gdzie miał oczekiwać postanowienia Munuzy.

Munuza więcéj prawie ucieszył się z uwięzienia Alonza, jak z posiadania pięknéj Ormesindy. Już od dawna wyszukiwał on pozoru do pozbycia się tego walecznego rycerza i nienawistnego rywala, tak jednak, żeby nie oburzyć innych chrześćjan. Teraz miał go w swéj mocy, pod pozorem sprawiedliwości, i dla tego uśmiechając się, rzekł do Kerima. — „Cierpliwości, wierny mój sługo, ten młody bohater nie użyje już swego oręża! „i pełen nadziei i radości„ pobiegł do swojéj branki.

Uwolniona od więzów spoczywała ona na sofie, i zerwała się za wnijściem Munuzy, zarumieniona. Munuza trwonił najsłodsze i najtkliwsze wyrażenia, nie odnosząc żadnéj innéj korzyści, prócz ciągłych oświadczeń nienawiści,

pogardy, i złorzeczeń. Z oczu Ormesindy, błyszczał zamiar uniknienia hańby, i połączenia się z oblubieńcem którego, sądziła umarłym. Maur był tyle rozsądnym, iż nie spodziewał się zwycięztwa za pierwszém natarciem. Niech się nasyci łzami i boleścią, myślał on sobie, czas wszystko złagodzi, i słońce zabłyśnie, aby dojrzał piękny owoc moich usiłowań.

Nie długo był jéj natrętnym z swoją obecnością; oddalił się, rozkazawszy przeprowadzić ją do wspaniale ozdobionych pokoi, gdzie mnóstwo maurytańskich niewolnic otoczyło ją, czekając jéj skinienia, aby jak najspieszniéj wykonać jéj najmniéjszy rozkaz. Ormesinda nie miała nawet téj pociechy, żeby widziéć przy sobie swoją wierną Elgirę; naprożno posyłano po nią, znikła bez śladu. Ormesinda zbladła, oczy jéj od łez poczerwieniały, ale nienawiść dla Munuzy nie zmniéjszyła się bynajmniéj w jéj sercu. Miłość dla Alonza i nienawiść dla jego rywala nie mogły w niém nigdy wygasnąć.

Nakoniec dziki Munuza, znudził się długiém oczekiwaniem i postanowił niezwłocznie, jakim bądź sposobem dopiąć celu. Uwięziony Alonzo, miał być główną w tém przedsięwzięciu sprężyną. Czyliż Ormesinda będzie się dłużéj wahać,

kiedy jéj zezwolenie tylko, zdoła ocalić życie Alonza?

— Ormesindo! zaczął pewnego dnia Munuza, pomyślność tego państwa i moja miłość dla ciebie, wymagają zarówno, abyś oddała mi twoję rękę. Po raz ostatni przychodzę tu ofiarować ci mój tron i serce. Moje życzenia muszą się spełnić, i od ciebie tylko teraz zależy, czy chcesz być moją niewolnicą czy żoną.

Ormesinda nic nie odpowiadała. Z większym zapałem zaczął Munuza naprzemian próśb najtkliwszych i najstraszniéjszych pogróżek używać, ale napróżno! tylko słowa pogardy nienawiści i obrzydzenia były nagrodą jego usiłowań.

— Drżyj! zawołał nakoniec w wściekłym gniewie, drżyj, dumna chrześćjanko, żeby teraz grom długo tłumionego gniewu mego, nie spadł na ciebie.

— Niewierny! odpowiedziała Ormesinda z stałością, dawno już doświadczenie powinno było nauczyć cię, że twoje groźby nie mogą mię ustraszyć. Sądziszże, że lękam się śmierci?

— Śmierci? zapytał z najgrawaniem Munuza, o twojéj śmierci nie ma wcale mowy. Ty żyjesz i żyć będziesz dla mnie! Ale rozważ, inne jeszcze życie jest w moich rękach, jedno ski-

nienie, a to życie się skończy! — I na to żadnéj odpowiedzi? A więc chcesz aby Alonzo umarł, aby dziś jeszcze, w téj chwili umarł? Sama chcesz wydać rozkaz zamordowania go?

Ormesinda uczuła nagle całą okropność swego położenia. Smutny obraz umierającego kochanka objawił się jéj duszy, jéj duma i pogarda znikły wproch przed okrutnym Maurem, łzy rospaczy skropiły nogi jego, najtkliwsze wyrazy błagały go o drogie życie kochanka.

Nie wzruszony taką boleścią, odpowiedział z szyderskim uśmiechem: — Aj, moja piękna, tak prędko ugięłaś się? Do ciebie teraz należy błagać, a do mnie zezwolić lub odmówić. Ale moja miłość, i teraz powinna się okazać wielkomyślną; zostawiam ci czas do namysłu względem mego postanowienia, sama stanowić będziesz o twoim i Alonza losie. Gdy powrócę, wydasz wyrok, czy Alonzo ma zginąć, a ty pozostać moją niewolnicą, czy też Alonzo zostanie przy życiu i odzyszcze swoję wolność, a ty przyjmiesz tytuł mojéj małżonki. Pomnij że postanowiłem dziś jeszcze ostatecznie sprawę tę zakończyć.

Następnego dnia radość panowała w pałacu rządcy, wszędzie rozwijał się prawdziwie wscho-

dni zbytek, w rozmaitych przygotowaniach do wspaniałéj uroczystości. Wszyscy Maurowie wykrzykiwali: Siostra królewska, Ormesinda, najpiękniéjsza z chrześćjanek, będzie naszą Królową! Chrześćjanie wzdychali boleśnie.

Munuza dotrzymał słowa. Zaledwie Ormesinda oświadczyła iż skłania się do życzeń jego, otworzyły się drzwi więzienia Alonza.

Został uwolniony, ale pod jakimże warunkiem! Za jakąż cenę! Uciśniony bolesnemi uczuciami upadłszy z najwyższego szczytu swoich nadziei i marzeń, pełen rozpaczy, zakopał się młody bohater w swoim samotnym domku, unikając wzroku wszystkich chrześćjan. On jeden nie mógł przebaczyć siostrze wielkiego Pelagjusza, jéj postępku z Munuzą, on jeden tylko, uważał, iż lepiéj byłaby uczyniła poświęcając jego życie i sama ginąc, jako męczeniczka wiary i honoru.

Nadszedł dzień zaślubin. Chrześćjanie dowiedzieli się pomału historyi Ormesindy, i czuli już mniéj boleści i wstydu. W pojedynczych gromadkach schodzili się na placach i ulicach; zgromadzali się w kościołach i nie jeden śmiały głos wzniósł się z przełożeniem przeszkodzenia obrządkowi ślubnemu. Ale rozsądni czuli iż są

bezsilnemi, i przewidywali że krok ten jest niepodobnym. Tłumy jezdców Maurytańskich przebiegały wszystkie ulice miasta.

Piesze uzbrojone dzidami wojsko, stało dwoma szeregami, stanowiąc rodzaj alei, od pałacu rządcy aż do meczetu. Maurowie byli bezpieczni, cóż ich obchodziły szmery nieukontentowania bezsilnych Gotów, kiedy orszak weselny przechodził obszerne ulice!

Na wzgórku, z którego można było widzieć meczet, zdala od całego tłumu, w głębokich, posępnych myślach pogrążony, stał samotnie wysoki mężczyzna. Bladość jego i zapadłe oczy, świadczyły o słabości jego ciała. Posępne chmury na jego czole, błędne spojrzenia, niema drganie ust i konwulsyjne ściśnięcie pięści, dostatecznie wyrażały stan jego duszy, w któréj uczucia z uczuciami, i zamiary z zamiarami rozpacznie walczyły.

Był to Don Alonzo, zaledwie wyleczony z mnóstwa ran, a teraz boleśniéj jeszcze zraniony, najnieszczęśliwszy z ludzi.

Kiedy w milczeniu, jedną tylko myślą ożywiony, ku nienawistnemu meczetowi spoglądał, przystąpił do niego jakiś obcy człowiek, ciemnym płaszczem mocno zakryty.

— Don Alonzo! zabrzmiał przytłumiony głos do ucha jego, i okropnie powtórzył się w jego duszy, Don Alonzo, nie spodziewałem się, znaleźć cię tu nieczynnym: Szlachetny Alonzo, wstydź się! dziś jest czas do działania, nie do dumań, dziś krew płynąć powinna, a nie łzy!

— Kto jesteś człowieku, twój zapał zdradza w tobie Gota.

— Tak, jestem Gotem; który nie stał się niegodnym tego imienia. Spojrzyj na mnie; czyliż niedługa nie obecność tak mię zmieniła, eż już mię nie poznajesz?

Szybko odkrył płaszcz i spojrzał na Alonza śmiałém okiem, a podziwienie i radość zachwiały duszę młodzieńca: Pelagjusz! Pelagjusz! mój przyjaciel, mój brat, żyje! krzyknął w uniesieniu radości, i rzucił się w jego objęcia.

Długo w milczeniu ściskali się dwaj mężowie; głośno biły ich serca, a łzy ich razem płynęły. To nie sen, zawołał znowu Alonzo; Pelagjusz żyje, niebo zesłało mi tę największą pociechę w okropném mojém nieszczęściu!

— Tak, to Pelagjusz, twój nieszczęśliwy przyjaciel, towarzysz boleści twoich; o mój Alonzo! jakże okropnie niebo karze nas za grzechy Don Rodriga.

— Czyliż wiesz już wszystko przyjaciela?

— Tak jest; wiem, że mam siostrę niegodną tego imienia.

— O Pelagjuszu, nie sądź tak surowo! Ta nieszczęśliwa, zasługuje raczéj na litość niż na wyrzuty.

— Sprawiedliwe nieba, jakaż to mowa! Jestże to głos mego przyjaciela, szlachetnego rycerza? Czyliż Don Alonzo zdolnym jest uniewinniać hańbę, bronić występek, który skruszył serce Pelagjusza? Oh! ty już nie jesteś ten sam Alonzo, namiętność osłabiła twoją duszę. Niech przeklętą będzie miłość, która zdołała poniżyć tak szlachetne serce.

— Bracie, te słowa są okropne, ale wiem, że nie pochodzą z twego serca.

— Przebacz mi Alonzo, zapał uniósł mię. Posłuchaj: Nikt nie wie, że ja się znajduję w tych murach, prócz dwóch wiernych mi Gotów i ciebie. Wczoraj wieczorem udało mi się wemknąć do miasta, nie będąc spostrzeżonym. Moja podróż do Akwitańji nie była daremną; liczne hufce dzielnych wojowników zebrały się w wąwozach Covadonga, i czekają na moje rozkazy. Przybyłem tu aby ciebie, moją siostrę i wszystkich wiernych mi przyjaciół zabrać z so-

bą w bezpieczne moje ukrycie, i szukać pory, w któréj zacząć będzie można działanie. Ale jedna chwila zniszczyła moje układy i teraz co innego czynić trzeba, aby przede wszystkiém ocalić honor mego imienia.

— Chcesz uwolnić Ormesindę!

— To niepodobna; już za późno, kilka dni piérwéj, może byłoby się to dało uczynić, ale teraz, krew tylko może ocalić czystość imienia Pelagjusza, krew z serca mojéj siostry!

— Wielki Boże! co mówisz Pelagjuszu! co zamyślasz?

— Ormesinda musi umrzéć, umrzéć z rąk swego brata! Oh! jest to okropna myśl, ale konieczna, ten tylko środek pozostaje ocalenia jéj honoru. Smierć powinna ją wziąść w swoje objęcia, piérwéj nim ją ślub odda w objęcia obrzydłego Munuzy. Pójdźmy, póki czas jeszcze.

Szybkim krokiem pospieszył ku meczetowi, Alonzo szedł za nim z rozdartém sercem, ale z męskiém postanowieniem.

Orszak weselny wszedł do meczetu. Pelagjusz i Alonzo przecisnęli się aż do ołtarza ślubnego. To co ujrzeli, nie mogło ich uspokoić. Obrzydły Munuza z namiętną tkliwością mówił

do Ormesindy, która tak ponuro i nieruchomie słuchała go, jak gdyby nie wiedziała co się w około niéj dzieje. Lica jéj były błade jak marmur, ale oczy jej błyszczały prawie nadnaturalnym ogniem. Munuza słodkiemi wyrazami starał się przywołać wesołość na jéj oblicze, ale Ormesinda z pogardą odpychała go.

— Niebu niech będą dzięki! rzekł Pelagjusz, do ucha swemu przyjacielowi; wiem przynajmniéj, że ona go nienawidzi. To przekonanie, zruciło okropny ciężar z mego serca.

Wtém Ormesinda wydała krzyk okropny, zadrżały wszystkie jéj członki, bliską była zemdlenia. Jéj oczy spotkały wzrok kochanka. Munuza i jego przyjaciele, spojrzeli w około szukając przyczyny tego wypadku.

— Na proroka! zawołał rządca, jeżeli mię wzrok nie myli, Alonzo znajduje się tutaj. Kerim, oddal go stąd natychmiast.

— O, Munuzo! zawołała Ormesinda w najżywszéj boleści, czyliż zapomniałeś o twojém przyrzeczeniu.

— Wstydź się Ormesindo, zabrzmiał silny głos z pośród tłumu widzów, możeszże poniżać się, aż do błagania twojego nieprzyjaciela?

Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę,

z któréj te śmiałe słowa wychodziły. Stłumiony szmer podziwienia przebiegł liczne tłumy, a potém tysiąc ust zawołało razem: Pelagjusz! Pelagjusz! Munuza spojrzał do koła nie puszczając ręki Ormesindy.

— Tak jest, Pelagjusz jest tu! rzekł brat Ormesindy smutno; Pelagjusz przybył aby być świadkiem najokropnéjszego nieszczęścia jakie na głową jego spaść mogło. Ormesindo, mógłżem się tego spodziéwać? Jakiż szatan skłonił cię do zezwolenia na twoję hańbę?

— Wstrzymaj się Pelagjuszu! Podziękuj twojéj siostrze, że te twoje słowa nie są ostatniemi w twojém życiu.

— Uspokuj się rządco! Są to moje ostatnie słowa w tém miejscu! Pozwól mi pożegnać moję siostrę, pozwól raz jeszcze przycisnąć ją do mego serca. Sam Machomet każe szanować prawa miłości braterskiéj.

Nie czekając odpowiedzi Munuzy, przecisnął się Pelagjusz aż do swojéj siostry. Ormesinda nachyliła się do ucha jego i rzekła: Nie powiększaj bracie niesłusznemi wyrzutami mojéj niedoli. To co uczyniłam, stało się dla ocalenia życia szlachetnego Alonzo. Moje życie jest ofiarą dla niego. Jak mogłeś sądzić o twojéj siostrze że zdolną będzie shańbić cię?

— O, jak się cieszę słysząc cię tak mówiącą, odpowiedział Pelagjusz spokojniéj. Twoje wyrazy ulżywają okropnego ciężaru moich boleści.

Munuza z trudnością mógł powściągnąć swoje uniesienie. Ale on kochał Ormesindę z całym ogniem Afrykanina, niechciał szczęścia posiadania jéj, zakłócać otwartém zerwaniem z jéj bratem, którego przychylność miał nadzieję zjednać sobie. Milczał i cierpliwie znosił to co się obok niego działo.

Pelagjusz teraz dopiéro zdawał się dostrzegać godny litości stan jego siostry. Łagodnym głosem zapytał jéj: — Co znaczy ta bladość twoich liców, te sine usta, to drzenie twoich członków?

— O bracie, czyliż tak mało znasz twoję siostrę? czyliż mogłeś pomyśléć, że Ormesinda jedną godziną przezyje swoję hańbę? Nie bracie, żyłam i umierać umiem, godną ciebie.

— Bogu niech będą dzięki! zawołał Pelagjusz w radosném uniesieniu, że ci dał tak szlachetną duszę.

— Siły opuszczają mię — trucizna była silna. — śmierć zbliża się do mego serca, — Bądź zdrów Pelagjuszu — Pamiętaj o mnie, Alonzo. — O Boże

mój! dziękuję ci, przebacz mi — to — co uczyniłam.

Padła nie żywa.

— Ormesindo! zawołali prawie z równą boleścią Pelagjusz, Alonzo, i Muńuza, „Umarła!" powtarzał wszystek tłum i rozruch zaczął się szerzyć w meczecie. Korzystając z zamięszania, Pelagjusz porwał na ręce zwłoki siostry, i niezatrzymany przez nikogo, w towarzystwie Alonza opuścił meczet i najsamotniéjszemi ulicami wymknął się z miasta, niosąc ciągle drogi swój ciężar na rękach. Za murami Gijon, wsiedli obadwaj na konie, z któremi czekali wierni giermkowie Pelagjusza, i pospieszyli ku wąwozowi Covadonga. Tam złożyli zwłoki nieszczęśliwéj Ormesindy, i dziś jeszcze widać szczątki kaplicy wzniesionéj niegdyś nad jéj mogiłą.

Następne czyny Pelagjusza należą do historji; wygnał on Maurów, i był pierwszym Królem nowéj Asturji.

TURKAWKI.

(*z Koernera.*)

Gęsty deszcz padał, mocny wiatr przebiegał doliny, mgła przesyciła powietrze, wszystko zapowiadało zbliżającą się zimę.

W cichym, lecz wspaniałym pokoju swego pałacu, siedziała baronowa v. Elau, z córką swoją Liddy; obie były zatrudnione robotą, kończyły haft na krzesło, które dziś jeszcze miało być obite, a to, na przyjęcie syna Baronowéj.

Baronowa cieszyła się na samo wspomnienie radości, jaką sprawi synowi, bo on zawsze życzył sobie przyozdobić swój pokój, haftowaném krzesłem. Liddy wcale nie podzielała radości matki, i każdym razem, kiedy Baronowa spojrzała na bladą i smutną twarz córki, radość ustępowała smutkowi ogarniającemu jéj biédne serce.

Liddy i Alfred byli bliźniętami, byli pierwszemi, ale i jedynemi dziećmi Baronowéj, jednakowe skłonności łączyły ich od samego urodzenia, radość czy smutek wspólnie podzielali, ta sympatja nie raz radością przejęła serce rodziców, ale też często była powodem ich obawy, bo ta jednostajność w ich postępowaniu, pojęciach i uczuciach, stanowiła prawie jedną istotę, tak, że Liddy zdawała się być połową Alfreda, Alfred połową Liddy; bez powodu ta myśl zatrważała rodziców, że jeden cios może ich pozbawić obojga i błagali stwórcy aby odwrócił od nich nieszczęście.

Tak oboje przy zupełném zdrowiu, doszli do lat ośmnastu. Zabawy ich i rozrywki były jedne i też same, jednakowo postępowali w naukach właściwych dla siebie.

Lecz teraz, zaczęło się inne życie dla biednéj siostry, bo Alfred nieraz odstępował jéj, aby biegać po górach i skałach, lub też na polowaniu dnie przepędzał; lecz najboleśniéj dotknęły ją przygotowania, które czyniono do jego odjazdu, do uniwersytetu, na próżno wmawiała w siebie że inaczéj być nie może. O! ileż to łez spadło na różne drobnostki, które

ona szyła dla brata, gdy coraz bliżéj nadchodził dzień pożegnania.

Chociaż Alfred był żywy i wesoły, lecz zarówno nie bez trwogi myślał o pożegnaniu, serce mu się ścisnęło, tylko jeszcze jedną noc miał przepędzić z rodziną pod jednym dachem. Opuścić rodziców, najdroższą siostrę, którą nadewszystko kochał, z uczuciem pełném czułości, przyszedł do niéj i prosił ją aby z nim poszła do jego pokoju. Poszła z nim lecz stanęła w progu, bo na stole, przy którym zawsze razem siedzieli, stała duża klatka, a w niéj parę pięknych turkawek, które Alfred prawie z narażeniem życia na skałach złapał, i które zdawały się cieszyć na widok Alfreda. Alfred je wyjął i oddał Liddy z temi słowy:

— Ten, to jest Alfred, a ta, to Liddy, dla ciebie je złapałem, i w godzinach wolnych oswoiłem, teraz są twoje, niech ci się zdaje, że ja w postaci turkawki, ciągle przy tobie jestem.

Liddy, rzuciła mu się na szyję. i gdyby nie nadzwyczajna boleść z jego odjazdu, która jéj odjęła wszelką myśl wesołą, i pogrążyła ją w smutku, byłaby mu okazała swoją radość za otrzymanie daru. Alfred wziął klatkę i powiesił ją za oknem między kwiatkami.

Na drugi dzień odjechał. Wszyscy w domu mocno uczuli jego oddalenie. Liddy zdawała się nie ta sama, jéj dusza, a przynajmniéj połowa jéj duszy, uleciała za Alfredem, ona nie chorując znikła na ciele i na umyśle. Blada, smutna, znękana, chodziła między swojemi, którzy nadaremnie starali się ją różnemi sposobami rozweselić. Miesiąc za miesiącem upływał, i nic nie zmniejszyło jéj rozpaczy.

Tak się zbliżyła jesień, i dzień, w którym miał powrócić Alfred. Wszyscy w domu cieszyli się myślą, iż go zobaczą, lecz ta właśnie na któréj ta wiadomość powinna była największe sprawić wrażenie, biédna Liddy, pod ciężarem cierpień swoich, nie mogła się już oddać szczęściu, już w jéj sercu stęschnioném, nie było miejsca dla radości, nie przypuszczała nawet, nie wierzyła, aby go kiedy jeszcze zobaczyć miała.

Dni deszczowe znów się zaczęły, niebo było jakby jedna tylko chmura deszczu, góry i doliny zalane były wodą, a Alfred był w drodze. Z listu ostatniego dowiedziano się, że nazajutrz miał przybyć; deszcz nie przestawał. Obawa Liddy pomnażała się co chwila, i pocieszające wyrazy rodziców, nie zdołały ją uspokoić. Nareszcie na drugi dzień z rana, deszcz przestał

padać, dziś właśnie Alfred miał przybyć. Wszyscy upragnionego z radością oczekiwali, Liddy tylko będąc bliską swoich jedynych życzeń, była smutniéjszą jak kiedykolwiek. Prawie do siebie już niepodobna, biédne dziecię, chodziło jak cień, mocne kurcze porywały ją, skarżyła się na serce, i musieli ją zaprowadzić na spoczynek. Przywołany lekarz, nie wiele pocieszył stroskanych rodziców. Nieszczęśliwa matka nie odstępowała już choréj ani na chwilę i uważała jak każda chwila pogorszała słabość Liddy; wieczór nadszedł, a Alfred jeszcze nie przybył.

W tém wszedł gajowy i opowiedział, że rzeka mocno wezbrana zerwała most i rozlała się po całéj dolinie, wszystko w wodzie, dziś młody nasz Pan żadnym sposobem przybyć nie może, boby narazil życie i zapewne w miasteczku bliskiém przenocuje. — „Oh! o Nieba! krzyknęła Liddy wtéj chwili i rzuciła się konwulsyinie na poduszki. — On w wodzie! on tonie! Ratujcie! Ratujcie!"

Co czuła siostra widziała w marzeniach, ziściło się na jawie. Już wczoraj Alfred był wstrzymany przez deszcz i niepogody. Dziś rano niebo było jasne, pospieszył więc w drogę, aby jak najprędzéj zobaczyć drogą rodzinę. Już widział

zdaleka wieże pałacu, już był blisko swoich, ale jeszcze przez most miał przejechać, wtém spostrzega że woda zerwała go. Trzeba było milę całą objechać, aby stanąć na drodze do zamku. Oh, to dla niego za daleko, za długo, wiedział że Liddy czeka, że ona wzdycha z tęsknoty; musi więc dziś ją powitać, odważa się dalej jechać, ale widzi że okropna woda wszystko zniszczyła i niepodobna daléj puścić się w drogę. Pocztyljon się wzdraga i na krok nie chcę już daléj ruszyć. Liddy!.. Liddy!.. ty drżysz, obawa może już zdrowiu twemu zagraża, muszę przejść, muszę; wszak umiem pływać. Zrzucił płaszcz i kapelusz ze siebie i wskoczył w wodę.

Z początku płynął odważnie, ale nareszcie bałwany, i natężenie sił, tak go osłabiły, że zaczął drżéć, i wtéj chwili zdawało mu się że go coś czule i gorąco objęło za szyję i przycisnęło do serca, lecz nagle stracił przytomnosć, zmysły go odstąpiły. Jak otworzył oczy, już się nie widzał w wodzie, lecz w łóżku, u Pastora przyległéj wsi, która także do jego ojca należała dowiedział się dopiero, że jego służący, widząc to szalone przedsiewzięcie, poleciał na wieś, i wołał o ratunek, a ludzie dowiedziawszy się że syn ukochanego ich pana jest w niebezpieczeństwie

na sam czas z czółnem przybyli, aby go uratować.

Już dziś nie podobna było puścić się w drogę, musiał usłuchać poczciwego Pastora i pozostał u niego. Pastor przyrzekł mu, że pośle do zamku z uwiadomieniem o jego przybyciu.

Alfred poddał się swemu losowi; to go przynajmniéj uspokoiło że za kilka godzin, rodziców i Liddy oglądać będzie; i usnął spokojnie. Ledwie słońce weszło, już Alfred był bliskim rodzicielskiego domu, już nawet widział za skałami dym wychodzący z kominów zamku, już coraz był bliższym, aż nareszcie stare wieże przywitały go. W każde okno spoglądał, lecz nikogo nie widział. Nikt bramy mu nie otworzył, nikt na jego powitanie nie wyszedł, a jednak wiedział iż z azmku, zdaleka już każdy powóz był widziany. Uczucie okropne ściskało jego serce, przed chwilą jeszcze wesołe, przeczuwało że je coś okropnego spotka. Powóz wjechał na dziedziniec, i tu nikt nie przyszedł aby go przyjąć, już to było za wiele; spieszy na wschody, lecz na drodze spotyka domowego kapłana; dawnego nauczyciela jego i Liddy. Twarz starca i wyryty na niéj smutek; dały poznać Alfredowi że go okropna czeka wiadomość.

Alfred błagał, zaklinał szanownego starca aby mu powiedział co się stało, a ten, zaprowadził go do pierwszego pokoju i tam z największą ostrożnością opowiedział mu, że wczoraj wieczorem, siostra jego będąc słabą oddawna z tęsknoty po nim — umarła. Alfred słucha... zbladł i drżący padł na krzesło, ani słowa nie wyrzekł, żadna łza nie wyszła z jego oka. Tak go zastali rodzice, którzy w ten czas weszli, kiedy już wiedzieli że on wie o wszystkiém i powitali z rozczuloném sercem upragnionego syna.

Rozpacz i łzy matki, wróciły przytomność Alfredowi, rzucił się w jéj objęcia, mięszał łzy z łzami matki, od któréj dopiero się dowiedział o chwili, kiedy Liddy umarła, była to ta sama chwila, kiedy on pasował się z bałwanami i uczuł niepojęte uściśnienie niewidzialnéj istoty, i wtenczas zmysły go odstąpiły. Od téj chwili był cichym, ponurym, już nie chciał wrócić do uniwersytetu, a obawa matki, aby nie stracić i jego, nakłoniła ojca, że pozwolił, aby pozostał przez zimę w zamku. Mieszkał w pokoiku swojéj ukochanéj siostry, turkawki były jego jedyną pociechą i zdawało się, że te stworzenia tylko do życia go zachęcają. Lecz przy

tém wszystkiém nie zaniedbywał rodziców swoich, pomagał w zatrudnieniach ojcu, matce czytywał wieczorami, starał się przypodobać, lecz czynił to jak człowiek, który mechanicznie tylko działa, kiedy tymczasem dusza jego czém inném jest zajęta; i tak zima przeszła.

Natura się na nowo odradzała, wszystko się zaczęło zielenieć, miejsca ulubione Alfreda, które i Liddy lubiła, każdy kwiatek odnawiał rany w jego sercu. Ojciec Alfreda szczerze myślał o przyszłości syna, chciał mu obrać zawód, aby mógł zapomnieć o smutnéj przeszłości.

Dla tego pojechał z nim i z matką do brata swego, który o kilka mil mieszkał. Wracając, spotkała ich burza, piorun uderzył, i nie bez trwogi uważali, że niebo jest czerwone w téj właśnie stronie, gdzie było ich mieszkanie. Co raz bardziéj przekonywali się, że ich obawa nie była daremną.

Baron Elau i syn jego pospieszyli na ratunek i z roskoszą widział ojciec, jak Alfred w nieszczęściu jest na swojém miejscu. Już się zdawało, że niebezpieczeństwa nie ma co do pałacu, kiedy nagle, na drugiém skrzydle, tam właśnie gdzie Alfreda był pokój, wybuchła łona. „O moje

turkawki!“ i jednym skokiem już był na wschodach. Ojciec nie słyszał tych słów, ani nie spostrzegł oddalenia się syna, aż służący doniósł mu co słyszał. Ojciec miotany okropnemi przeczuciami, z ludźmi pospieszył w pomoc synowi, lecz w téj chwili zapada się całe to skrzydło z okrutnym łoskotem i okropną łonę tylko widać! a z drugiéj strony wylatuje para gołębi prosto w górę i nikną.

Alfreda nieszczęśliwego znaleziono nieżywego, belka spadająca zabiła go.

JASKINIA MOTIER.

— Będziesz nam przecie towarzyszył! zawołał w oberży w Adelsberg Baron Ferenthal i jego towarzysze podróży, na malarza Horn; nie zechcesz przejeżdżać tędy i nie obejrzéć naj-

sławniéjszéj ze wszystkich jaskiń! To byłoby gorzéj niż być w Rzymie i papieża nie widzieć.

— Idźcie moi panowie, idźcie! odpowiedział Horn; ja tu zostanę bo nie lubię jaskiń; w jednéj tylko byłem, dodał posępnym głosem, i już więcéj w żadnéj być nie chcę.

— Któraż cię tak zniechęciła?

— Jaskinia Motier, i przysiągłem sobie, że to pierwsza i ostatnia będzie, w któréj noga moja postała.

— Ach! opowiedz no nam tę przygodę!

— Idźcie pierwéj moi panowie! Jestto historja okropniéjsza niżbyście pomyśleli. Nie chcę wam psuć smaku do jaskiń. Tymczasem wypiję sobie tę butelkę, na wasz pomyślny *powrót*! życzę dobréj zabawy!

W zachwyceniu wrócili za parę godzin wędrowcy. — „Ha! żaluj żeś nie był z nami, dużo straciłeś!

— Tak, bardzo wiele! potwierdził Horn tajemniczo.

— A teraz do twojéj powieści! zawołano jednogłośnie. Wszyscy zasiedli, a Horn tak zaczął:

— Będzie temu trzy lata, bawiłem przez niejaki czas, u jednego z moich przyjaciół w Fleurier, przyjemném miasteczku niedaleko Neunburg. Przyznać się muszę, że jego siostra powabna Amelja, najdziksza z brunetek, jakie kiedykolwiek widziałem, z ognistém czarném okiem, a jednak pełna słodyczy, przy całéj francuzkiéj żywości, podbiła moje serce. I w zapale uniesienia, w pierwszym zachwyceniu niewinnéj wzajemnéj skłonności, często, w mniéjszém lub większém towarzystwie, zwiedzaliśmy wspaniały szczyt Jury. Razu pewnego, postanowiliśmy zwiedzić jaskinię Mortier, która tylko o trzy godzin drogi ztamtąd odległą była. W ciepły dzień Sierpnia, po południu, stanęliśmy przed samotnemi skałami dziko sterczącemi w około wnijścia do jaskini. Prócz mnie, towarzystwo składało się z nieznajomego mi, jakiegoś pana Brinet de Cerneux-Pequignot, mego przyjaciela Henryka, Amelji, i jéj siostry Łucji, dwunastoletniéj delikatnéj blondynki, właśnie kiedyśmy się obejrzeli, obiedwie dziewczęta zniknęły za zakrętem lasu. Zaczekaliśmy na nie, spoglądając raz jeszcze na wspaniały szczyt Jury, przerzynający jasny błękit pogodnego nieba. Cała, oblana złotem natura zdawała się wo-

łać na mnie: — zostań ze mną, ty dziecię dnia, zostaw sowom i niedźwiedziom cienie jaskiń! Ciężkie, smutne przeczucie zdawało się uciskać duszę moją. Już z natury mało miałem upodobania w jaskiniach i sklepieniach, i najprzykszejszym snem było dla mnie, kiedy marzyłem że jestem w ciemném i ciasném przejściu. Ale ciekawość, próżność, i towarzystwo powabnéj dziewicy, zwycięzko odpędzały te smutne myśli. Bah! rzekłem sam do siebie, za godzinę będziem znów na wolném powietrzu, wtedy z moją czarno-oką wdrapię się na przyjemny pagórek, i przy złotym promieniu słońca, obejmę ręką moją piękną jéj kibić.

En avant! en avant! odezwał się głos przybiegającéj Amelji, naprzeciw któréj wydzierało się moje serce. Przeszedłszy zgięci w pół ciała przez ciasne wejście, stanęliśmy gromadką w pośród zupełnéj ciemności. Ktoś uszczypnął mię w ram, ietak że ledwie nie krzyknąłem. Henryk skrzesał ogień i dał każdemu z nas zapaloną pochodnię w rękę. Amelja dwa razy swoję musiała zapalać. Teraz, udaliśmy się naprzód pod górę, przez dziko, w nieładzie leżące bryły, które od sklepienia oderwały się już dawno, i czekały na inne, które co chwila groziły u-

padkiem. Naidoskonalszy model scieszki do złamania karku. Po lewéj stronie, wyszczerzały na nas zęby sąsiednie jaskinie, których blask naszych pochodni nie zdołał oświecić. Obie dziewczyny, zaczęły drażnić się z echem. Raz przechodziliśmy przez niskie i wązkie rozpadliny, to znowu przez wysokie sklepione galerje. Stalaktyty i inne figle przyrodzenia, które się oczom naszym przedstawiały, doprawdy że nie zasługiwały na uwagę i z opisu znałem inne daleko powabniéjszemi, i cała przyjemność na tém polegała że można będzie kiedyś powtórzyć, byłem tak i tak głęboko w wnetrznościach góry. Miałem na końcu języka projekt powrócenia, ale nie mogłem go doprawdy wymówić. Neutralny pan Brinet, uprzedził mię z przełożeniem, ale Henryk chciał dojść aż do jeziorka. Tak aż do jeziora! zawołały obie dziewczęta. Musieliśmy pojść za niemi. Ale aby tam dojść musieliśmy się schylać a nawet czołgać się przez różne przejścia. Byłem niespokojny, i spoglądałem tu i owdzie.

— Cóżbyście wy na to powiedzieli? zapytałem, gdyby która z tych skał oberwała się i zamknęła nam sposób do wyjścia.

— Mon Dieu! zawołała Łucja. Ale wolen trwogi Henryk rozśmiał się i rzekł:

— Wtedy ciągnęlibyśmy losy, kto pierwszy pójdzie na potrawę dla innych. Łucja szepnęła prędko. Jabym nie losowała! Zrozumiałem słowa miłego dziecięcia.

— Mój Boże! dajcie tylko pokój czułości! zawołała Amelja, en avant! do jeziora; do którego doszliśmy nakoniec, i teraz znaleźliśmy się głęboko w cieniach nowego świata. Na pochodniach naszych spostrzegliśmy wpływ przeciągu powietrza; po prawéj stronie jeziora można było wprawdzie w sposób dość niebezpieczny jeszcze bardziéj wgłąb jaskini zapuścić się. Smętny odbłysk naszych pochodni, od spokojnéj, jak się zdawało zupełnie martwéj wody, w któréj nigdy jeszcze nie przéjrzało się słońce ani księżyc, mokre, kroplejące wapienne ściany, śliski grunt, nie mogły długo nas zajmować. Zaczęliśmy przeto pochód wsteczny, i zbliżaliśmy się właśnie do ciasnego przejścia, kiedy Brinet, zatrzymał się, podniósł palec i szepnął. — Pst! — Zatrzymaliśmy się także, i słuchaliśmy. Zimny dreszcz przebiegł wszystkie nasze członki, kiedy w odległości rozróżniliśmy mruczenie które co raz bliżéj i bliżéj słyszéć się dało, i wkrótce nie po-

zostawiło nam już żadnéj wątpliwości. Boże! to niedźwiedź! zawołaliśmy razem. Niedawno nam wspominano, że od niejakiego czasu pokazuje się niedzwiedź, i wielkie szkody zrządza w trzodach owiec; mówiono także że strzelcy wypędzili go w doliny. Ratujmy się! zawołały dziewczęta, i chciały wracać znowu do jaskini. Henryk porwał konwulsyjnie swój kij sękaty, Brinet jakby ogłuszony nie wiedział czy stać czy uciekać. Mnie chociaż zbladłem i zmięszałem się, jakieś dobre bóstwo przywróciło zmysły, dla chwycenia się jedynego środka, jaki nas bezbronnych, chwilowo przynajmniéj mógł ocalić.

Porwałem słomiany kapelusz Łucji i zapaliwszy go, postąpiłem ku otworowi jaskini. Za chwilę byłoby już za późno. Z okropném mruczeniem cofnął się niedźwiedź, który był już od nas o jakie dziesięć kroków. Papieru, chustek! wołałem, wszystkiego co się może palić! Henryk zerwał kapelusz swojéj siostry, mappa Szwajcarji poszła także w płomień, który jasno zabłysnął. Mruczenie stawało się coraz odleglejszém ale gniewliwszém. Henryk i ja, staliśmy przy wejściu, reszta nieco daléj w ściśnionéj gromadce. W pierwszéj chwili ogień

nas ocalił, ale trzeba było pomyśléć o czém więcéj. My we dwóch, przytoczyliśmy trzy duże bryły, i powaliliśmy je przed samym otworem. Teraz byliśmy bezpieczni i mogliśmy naradzać się nad dalszemi środkami ratunku. Ogień wygasł. Mruczenie znów się zbliżało. Łucja zaczęła krzyczéć i uwiesiła się siostrze na szyi. Przysunęliśmy jeszcze jedną bryłę; ale kiedy Brinet wskazał palcem jaskinię po lewéj stronie, mówiąc, że potwór może tą drogą nadejdzie i nagle nas swoją obecnością ucieszy, spojrzeliśmy wszyscy z trwogą w wskazany przesmyk, i prawie pociechą nam było słyszéć mruk niedźwiedzia, ale ciągle w tém samém miejscu. Iak pełne rospaczy minuty trawiliśmy tam nieszczęśliwi, tego żadne wyrazy nie zdołają wystawić.

Ale tam nie mogliśmy zostać na zawsze; trzeba było co bądź postanowić. Kazałem pogasić wszystkie pochodnie wyjąwszy dwóch, a to dlatego, żeby nam nie zabrakło tego materjału, od którego życię nasze zależało. Zaczęliśmy się naradzać. Jedyna rada była: Z płomieniem na drągu przed sobą niesionym, przebyć ciasne przejście jaskini, przymuszając niedźwiedzia aby się cofnął, i wydostać się na wolne powietrze. Ale cóż weźmiemy takiego, coby mogło przez tak

długi czas palić? zagadła Amelja. Nasze suknie, odpowiedziałem, jak się jedna spali, druga musi ją zastąpić. Mój surdut idzie naprzód. Ale rzekł Brinet, jeśli niedźwiedź boczną jaką drogą zajdzie nam z tyłu. Jezus! zawołała Amelja. A chociażbyśmy wydobyli się na wolne powietrze, to nas i tak potwór rozszarpie, rzekł Henryk; — oto słuchajcie, mówią w okolicy, że jest jakieś podziemne wyjście z tamtéj strony stawu; jeden pasterz z Chasseron przechodził tamtędy przed wielu laty, ale wyszedłszy prędko w ciemności, nie mógł drugi raz znaleźć tego wyjścia. Czy nie uważaliście przeciągu powietrza, kiedyśmy byli nad stawem? Ja potwierdziłem to mniemanie. Dobrze więc, naprzód, dopóki jeszcze mamy światło, rzekł Henryk.

— Tak, precz z tego okropnego miejsca, zawołała Amelja.

— Lepiéj pójdziemy za radą pana Horn, rzekła Łucja, ja pójdę na samym końcu. Siostra przycisnęła ją do serca łkając. Moje powieki jedną łzą się zroniły.

— Ale, rzekłem do Henryka, możemyż na prostéj powieści pasterza polegać? Gdyby też, nim znajdziemy drugie wyjście, wypaliły się

nasze pochodnie, wtedy bylibyśmy zgubionemi zupełnie!

— Masz słuszność Gustawie, odpowiedział Henryk, nie możemy tak się narażać. Jeden z nas trzech tu pozostanie. Jeśli wyjdziemy szczęśliwie, wrócimy do niego z pomocą, gdyby zaś on prędzéj zdołał stąd się wydostać, wróci się po nas. Ciągnijmy losy. Nie można było wahać się. Los, padł na mnie.... Zbladłem, Brinet odetchnął z trwogi, Amelja krzyknęła, a Łucja boleśnie wzniosła oczy ku niebu. O jakże wymowne były oczy Amelji! Przycisnąłem jéj dłoń do serca, ona z lekka odpowiedziała na ten znak miłości, i spuściła w dół oczy łzami zalane. Nieszczęście zniszczyło przedział, jaki jeszcze między nami istniał; wszystko już wolno było naszym sercom. Co za okropne rozłączenie!

— Niech Bóg będzie z tobą! rzekł Henryk, i silnie przycisnął mię do serca. Łucja głośno łkała; ucałowałem biédne dziecię w liljowe czoło, i starałem się pocieszyć ją ile możności. A Amelja — czuliśmy, iż w naszych pocałowaniach cóś więcéj widać jak chwilowe pożegnanie, miłość w pierwszych chwilach uniesienia nie pyta o pagórek albo dół, słońce lub

ciemność, śmierć lub życie. Bądź zdrowa! bądź zdrowa, Ameljo! rzekłem z cicha; z spojrzeniem bolesném, prawie bez przytomności padła w moje objęcia. Antonino! jesteś moją? Twoją za życia i po śmierci! wymówiła z najżywszym zapałem. — A ja, twój na wieki! odpowiedziałem. Reszta już odeszła kilka kroków. Odeszła za niemi: słyszałem jeszcze w odległości odgłos jéj kroków; potém, zostałem zupełnie sam wpośród pieczary, któréj okropności nie czuła dusza moja, olśniona zachwyceniem miłości. Uwielbiałem moje usta, ponieważ dotknęły się jéj ust anielskich. Twoja za życia i po śmierci! zawołałem. Po śmierci! odpowiedziało mi echo. Wtém zdawało mi się, że rozeznaję jakiś przenikliwy krzyk, od strony stawu. W téj saméj chwili niedźwiedź wydał głos okropny i podstąpił pod same naniesione kamienie. Słyszałem jego mruczenie, ale na pociechę moją wniosłem, że nie musi być innego wnijścia do jaskini. Niedźwiedź był wściekle rozgniewany. Godzina już minęła. Padłem na kolana, i błagałem Boga, aby poszczęścił ucieczce moich towarzyszy. Nadzieja i rozpacz! trwoga i pociecha naprzemian przemijały się w mojém biédném sercu.

Mój zegarek wskazywał w pół do jedynastéj w nocy. Długo ucho moje nie słyszało nic prócz jednostajnego wiecznie kapania wody, a niekiedy echo upadającego kamienia, który od sklepienia oderwał się. Powziąłem nadzieję wyjścia, pociągnąłem potężny łyk z flaszy podróżnéj, przytwierdziłem resztę mojéj pochodni do sterczącéj skały, i odtoczyłem jeden z kamieni, któremi zawaliliśmy otwór. Wstrzymałem się aby posłuchać, milczenie śmierci panowało. Odsunąłem drugi kamień i trzeci, wtém ułyszałem okropne zwierze z straszliwém wyciem zbliżające się ku mnie. Z rozpaczą i olbrzymią siłą, na powrót zatoczyłem kamienie przed otwór. Niedźwiedź wydał głos wściekłości, wyciągnął mordę i wsunął ją pomiędzy kamienie, tak, iż się poranił; jego czerwone oczy patrzyły na mnie z chciwością krwi, a łapami silił się odsunąć kamienie. Przekonawszy się, że tędy w żaden sposób przejść nie zdoła, cofnął się napowrót z wściekłością. W téj chwili wpadła mi z szybkością błyskawicy ta myśl, iż zwierze, bezwątpienia okazuje taką wściekłość bardziéj może z powodu, że mu zwyczajne przejście na drugą stronę góry zamknięto, niż z prostéj żądzy mordu, i że obawa ścigających łowców, zatrzymuje go w podziemiach. Ale zale-

dwie ta myśl, zabłysła dla mnie promieniem nadziei, kiedy nowy szelest w odległości zwrócił uwagę moją i słuch w stronę, gdzie za chwilę rozeznałem odgłos upadającego z góry mnóstwa kamieni mniéjszych i większych. Niedźwiedź wynalazł inny otwór do jaskini wiodący, i za pomocą łap odsunąwszy zawalające go kamienie, nagle zamruczał w otchłani przed memi nogami. Włosy powstały mi na głowie, byłem pewnym zguby. Biedz w stronę wody, to mię potwór dogoni, odrzucić bryły zawalające główne wyjście, na to nie ma czasu. Pełen rozpaczy, spojrzałem w otchłań i przy świetle pochodni ujrzałem okropnego niedźwiedzia, który z wściekłością usiłował się wydostać w górę. Rzuciłem nań spory odłam kamienia, który blisko pod ręką znalazłem, a niedźwiedź z przerażającymi rykiem, spadł znowu na dno głębi.

Zerwałem z siebie surdut, i rozdarlszy przez pół rzuciłem jednę z nich zapaloną w przepaść, przy świetle tém ujrzałem niedzwiedzia na dnie głębi, jak cofnął się wstronę zupełnie ciemną i na wielką moją pociechę dostrzegłem iż ściany przepaści tak są strome że niepodobna byłoby niedzwiedziowi w inném miejscu wdrapać się do mnie, jak w tém z którego go zruciłem. Z nadludzkiém wysileniem w jednéj minucie zebrałem

mnostwo sporych brył skały, na sam brzeg przepaści, co chwila zrucając jednę w głąb, na przypadek gdyby niedźwiedź już usiłował wdrapać się w górę. Okropny ryk, oznajmił mi że zrucona bryła musiała znowu zepchnąć pnący się w górę potwór. W téj chwili odległe szczekanie psów i odgłosy strzelców, uderzyły moje zachwycone ucho. Wprawdzie rozpaczna wściekłość potworu okropniéjszém czyniła moje położenie. Ale postanowiłem miejsca mego bronić na śmierć, kamieniami i ogniem. Czyliż mogłem być pewnym że moi towarzysze wyszli już z podziemia? Mógłżebym puścić wściekłe zwierzę aby ich dognało i poszarpało? Nigdy! raczéj umrzeć, usiłując przynajmniéj ich ocalić.

Nie wiedziałem że moje zwycięstwo już było spełnione; niedzwiedź strzaskał sobie tylną łapę. Psy także wynalazły wejście w przepaść i uderzyły teraz wściekle, na spieniony potwór. Rzuciłem zapaloną kamizelkę w przepaść, i ujrzałem śmiertelną jego walkę. Strzelcy z pochodniami nadeszli, i z krzykiem wstrzymali się na widok człowieka który w białém ubraniu z bladą twarzą, obłąkaném okiem i najeżonemi włosami stał w górze jak widmo. Ta scena godną była odmalowania. Niech będzie Bogu chwała! za-

wołałem, jestem ocalony! zadrżały sklepienia od kilku razem wystrzałów, po których nastąpił głośny okrzyk: Zwycięztwo! Wszyscy za chwilę otoczyli mię, z najżywszém zajęciem, bo moja historja łatwą była do odgadnienia. Opowiedziałem ją jednak całą. Wykrzykniki przerażenia i podziwu przerywały mi nieraz. Daléj-za Henrykiem! zawołało kilku znajomych mego przyjaciela. Dwaj strzelcy oświadczyli iż znają przejście którego moi towarzysze mieli szukać, i ofiarowali się prowadzić nas wszystkich. Ja czułem w sobie dziką odwagę i siłę. Jeden strzelec dał mi swoję suknią. Opatrzylismy się w drągi i zapas pochodni. Tymczasem wyciągnięto niedźwiedzia, z paszczy zaledwie mu można było wydrzéć rozszarpanego psa.

W pięciu udaliśmy się ku owemu wyjściu, minęliśmy pierwszy stawek i zbliżyliśmy się do drugiego, około którego z lewéj strony tylko była ścieszka podobna do przebycia, a i to śliska i spadzista.

— To dla kobiet musiała być ciężka przeprawa!

— Mon Dieu! jedna widać pośliznęła się i wpadła w wodę! zawołał drugi, znać jeszcze ślad trzewika

Mnie krew ścięła się w żyłach.

— Zmierzno drągiem, zawołał starszy strzelec. Nie było więcéj jak trzy stopy głęboko. Życie mi znów wróciło.

— A tu, patrz, mówił jeden z strzelców, o pięć kroków stamtąd wydobyli ją, patrz jak mokra suknia obtarła skałę! Gęste ślady stóp i głęboko wciśnięte, kazały się domyślać że tu przez niejaki czas musieli się zatrzymać. Weszliśmy właśnie pod obszerne sklepienie z dwoma wyjściami. Prawa ścieszka nie wskazywała śladów nóg ludzkich, w lewo zas znać było stopy męzkie, kobiece a nawet dziecinne; a więc, naprzód w lewą! Zaledwie o sto kroków stamtąd, musieliśmy przechodzić czołgając się na czworakach. Biedna Amelja! biedna Łucja! zawołałem. Przeciąg wiatru jest silniéjszy, rzekł jeden z strzelców. — Boże! to niedźwiedź! zawołał dość daleko jeszcze, głos kobiecy. — Ameljo! Henryku! zawołałem z szaloném uniesieniem. Okrzyk radości na mój głos odpowiedział.

Siedzieli pod gołém niebem na gładkiéj skale, mając zamiar czekać dnia, bo pochodnie ich wypaliły się. Z uniesieniem rzuciliśmy się w wzajemne objęcia, nawet ja i Brinet. Suknia Amelji zdradzała jéj przypadek. Strzelcy wzięli obje kobiety na ręce, bo ścieszka z góry była

przykra; my podpieraliśmy się drągami. W pół godziny, zapukaliśmy do jednéj alpejskiéj chatki. Drżąca od zimna Amelja, ile możności została okrytą. Smutny i ponury czuwałem przy jéj łożu, i czułem się jednak szczęśliwszym, kiedy jéj usta wymówiły: — Gustawie, bądź zdrów. Z rana nazajutrz, na noszach z gałęzi sporządzonych, zanieśli ją pasterze okrytą wonnemi ziołami, do mieszkania jéj ojca. Wieść już nas poprzedziła; cała wieś zbiegła się razem. Płacząca matka, blady ojciec, cisnęli się do leżącéj bez zmysłów córki. Jéj przyjaciołki łkaniem napełniały powietrze. Przyjęto nas wszystkich z oznakami najżywszéj przyjaźni; ale moja dusza nią tylko była zajętą. Moje oko śledziło wyrazu twarzy lekarza, był on coraz mniéj spokojny i więcéj pomięszany.

— Nie ma nadziei, rzekł nakoniec do mnie, kiedy go odprowadziłem na stronę; ten kwiat już jest złamany, dłoń gorączki niszczy go wewnątrz. Woda jaskini jest jadowitą. Za trzy dni, już żyć nie będzie.

Kto kiedykolwiek kochał, niech pomyśli co cierpiałem. Zaledwiem dotknął piany na kielichu życia, zdmuchnął ją los przeciwny, a ja musiałem teraz wypić do dna czarę samego

piołunu. Rzuciłem się na kolana przy łożu Amelji, któréj zmysły były obłąkane, sądziłem, że moje krzyki, słodkie wyrazy jakiemi ją wołałem, wrócą jéj przytomność! ale napróżno! obłąkanie nie odstąpiło jéj, dopiéro prawie przy śmierci. Na chwilę przed skonaniem, byłem wtedy sam tylko przy niéj, wymówiła słabym głosem: — Gustawie! — tu, tak krótko! ale tam, długo! Przyjmij moje ostatnie pocałowanie; Gustawie mój! bądź zdrów! Wrzące łzy płynęły z oczu moich na jéj łono.

— Bądź spokojny! rzekła jeszcze, i skonała.

Pozwólcie zamilczéć reszty!

Odtąd w gwarze podróży usiłuję zapomniéć mojego nieszczęścia, ale na próżno.

Horn pochylił się, zasłaniając ręką posępne czoło i wilgotne oczy. Milczące głębokie współuczucie panowało w około. Nakoniec Baron Ferenthal ulżył sobie głębokiém westchnieniem:

— To jest okropne zdarzenie! rzekł, doprawdy, nie pójdę już do żadnej jaskini.

— Ani ja! ani ja! odpowiedzieli towarzysze jego.

— Już zaprzężone, proszę państwa! zawołał przed drzwiami gospody woźnica i dał szczęśliwy obrót rozmowie. Weseli przyjaciele, wsiedli do powozu i pojechali w dalszą drogę.

PODRÓŻ

PO WARSZAWIE.

Wycieczka Trzecia.

Dzień dobry, rzekł Staś wchodząc nazajutrz do mojego pomieszkania, czy dobrze ci się spało? — Jak najlepiéj, odpowiedziałem. — Cóż zamyślasz dziś robić? — Przéjśdź się, kilka godzin siedziałem nad książką. — A więc idźmy. — Bo nigdy nie namyślamy się długo, kiedy o to tylko idzie ażeby chodzić. Wyszliśmy zatém na ulicę, po któréj tysiące postaci ludzkich ustawicznie się snuło, ja już nowe zacząłem czynić postrzeżenia, gdy wtém ktoś mnie

uderzył po ramieniu, odwróciłem się, i ujrzałem Józefa.

— Co tu robisz? zapytałem go. — Wyszedłem szukać sobie pomieszkania. — Czy to ci się nie podobało, które zajmujesz? — A komużby się mogło podobać? o! tak, jest najniedogodniéjsze, a to z przyczyny nieznośnych sąsiadów. Posłuchaj, opiszę ich.

Obadwa z Stasiem przystaliśmy na to i Józef tak zaczął mówić: Jeżeliś kiedykolwiek przechodząc Nowym Światem widział w oknie nos z pod którego wyglądają maleńke usta i podługowata broda w kształcie Włoch wyrysowanych na mappie Europy, jest to nos mojego sąsiada, jest to nos który wart być na wystawie sztuk pięknych.

— Więc ci się ten nos tak bardzo naprzykrzył?

— Nie nos, ale właściciel jego, mający półtora łokcia wysokości a trzy objętości, ubrany co dzień w frak szafirowy i spodnie takiegoż koloru, które pamiętają odkrycie Ameryki, bóty jego podobne do nieszczęśliwych pantofli kupca z Bagdadu, ale szkatuła poważna i godna szacunku.

— To wszystko nie jest powodem dla które-

go twój towarzysz ci się nie podoba, chcielibyśmy wiedzieć inne przyczyny.

— Zaraz je usłyszysz... Właściciel nosa o którym mówię, jest prezesem prześwietnego towarzystwa lichwiarzy, jak mogliście się domyśléć, a ma żonę, kobietę, jak utrzymuje najrozrzutniéjszą w świecie, każdego ranka daje jéj napomnienia, jak ma dzień oszczędnie przepędzać i każdego wieczora słucha rachunku; zawsze prawie jéjmość przepłaci pietruszkę, lub za wiele weźmie funtów mięsa na obiad, właściciel nosa tego nie lubi, i wolałby utracić apetyt, żonę, a nawet swój nos, niż grosz na próżno uronić, taki więc jéjmości wydatek, uważa za występek trudny do przebaczenia, za zbrodnię która powinna bydź ukaraną. Z tego powodu żona właściciela nosa co dzień prawie chodzi z podsiniałemi oczyma, i wtenczas ją można widzieć bez żadnych ozdób na policzkach i pod oczami, kiedy postrzegłszy czerwoność na nosie męża (co gniew oznacza), dąży schronić się do mojego pokoju.

— A ty wtenczas piszesz jaki sonecik do ładnéj twarzyczki, jéjmość narobi chałasu wbiegając do ciebie; jegomość i nos jego dobijają się do drzwi, wprawdzie to nie bardzo przyjemnie.

— Przeciwnie, rzekł Staś, cóż może być przyje-

mniéjszego, jak stawać w obronie piękności i zasłaniać ją przed pociskami zagniewanego małżonka? a chociaż od niego, jak to często bywa, odbierze się jakie dokuczające podziękowanie, oko ładnéj kobiéty łatwo je osłodzi.

— Prawdę mówisz, rzekł Józef, z tém wszystkiém nie chcę bydź obrońcą płci pięknéj w tak przykrém położeniu i mieć przyjemność, unoszenia się nad jéj spojrzeniem, kiedy wprzód ręka męża możeby mi zbyt tkliwe zostawiła wspomnienia. — A więc niezawodnie myślisz się przenieść gdzieindziéj?

— Tak, odpowiedział Józef ze stałością.

— Los udręczając, zsyła często pociechy, rzekł Staś żartobliwie, i tobie nie podoba się jedno sąsiedztwo, za to inne, zapewne bardzo przyjemne; naprzykład, zdaje mi się; że na dole w tym domu gdzie mieszkasz, jest napis: Kawa, poncz i herbata, a na pierwszém piętrze, o ile mogę sobie przypomniéć, Magazyn mód. Zawsze lubiłem ładne twarzyczki, wyglądające przez okno z komnaty w któréj widzieć można gotowe kapelusze i inne stroje, wystawiam sobie zatém przyjemność jakiéj doznawać możesz, mieszkając z temi stworzeniami pod jednym dachem; gdyż co do mnie; chętniebym zniósł sąsiedztwo trzydziestu ludzi, chociażby

każdy miał po trzydzieści nosów i był naczelnikiem lichwiarzy w całym świecie, aby tylko co dzień spotykać przyjemnie uśmiechające się spojrzenia panien z magazynu.

Co się tycze tych panien, nic o nich powiedzieć nie mogę, wszyscy w kamienicy utrzymują że to są dziewczęta dobrze się prowadzące, prócz jednego stróża od bramy... ale któżby mu wierzył? ja gdybym równie jak on trudnił się plotkami mógłbym czynić rozmaite przypuszczenia, nie bardzo korzystne dla sławy moich sąsiadek, ale ponieważ jak wiecie, lubię zawsze lepiéj mówić o ludziach niż zasługują, utrzymuję zatém, a nawet gotówbym przysiądz, że panny z magazynu są dziewczęta rzadkiéj skromności, choć czasem wieczorkami słyszéć można w ich pomięszkaniu, głosy które zdają się być za grube na kobiece. — Na dole, kawa poncz, i herbata kłócą się często ze swoją właścicielką; spór ich bywa długi i nieznośny. Kawa ma słuszne powody; żyje ona w nierozerwanéj przyjaźni ze swoją przyjaciołką śmietanką, a od czasu jak weszła w dom właścicielki kawiarni, musi ciągle cierpieć natrętne towarzystwo mleka. Poncz gniewa się za to, że mu cytrynę dają starą i nadgniłą, a on lubi świeże i pulchniutkie.

Właścicielka kawiarni, wymówki kawy i herbaty, znosi cierpliwie, uważać by ją można za bardzo łagodną kobietę, gdyby jéj służące nie chodziły z cudzysłowami na twarzy, a z wykrzyknikami na plecach; przyczyną tych znaków pisarskich jest zapomnienie się panien, roznoszących kawę, poncz i herbatę, zdarza się bowiem, że ładny wąsik, piękne faworyty i żywe oczko, tak je nie raz zajmują, że od właściciela ich zapominają odebrać należności za kawę, poncz lub herbatę; pani gospodyni jest bardzo uważna, a tak, biédna dziewczyna za swoją niepamięć, uczy się znaków pisarskich, sposobem nie bardzo grammatycznym.

Józef dokończał swego opowiadania, gdy wtém, postrzegliśmy napis: „Stancja do najęcia." wéjdźmy! była to komnata kawalerska, przy oknie stało biórko, przy biórku siedział mężczyzna, o którego młodości świadczyły rumieńce na twarzy, i zdały się mówić, że ten mężczyzna ma lat dwadzieścia sześć, choć włosy temu zaprzeczały; przed nim leżała otworzona książka, po krótkości wierszy można było poznać, że to są poezje, musiała ona bardzo nudne pleść baśnie, gdyż ów mężczyzna smaczno nad nią drzémał, a książka tém obrażona, mówiła że nie ma

uczuć. Wąsy dumne swoim kruczym kolorem, hardo sterczały do góry, i szyderczo uśmiechały się z hiszpanki, która biedaczka opuściła uszy faworyty żaliły się na żelazko, które im co dzień nielitośnie dokucza, włosy na głowie kłóciły się z peruką, że je przytłaczała, i dowodziły, iż ku starości powinny być więcéj cenione niż ich towarzysze wymuskane i ułożone sztucznie przez fryzera paryzkiego, tymczasem przeciwnie się działo. Właściciel bowiem ich, tak lubi kolor czarny, iż nie mogąc znieść swoich jak mówią szpakowatych włosów, kazał je ogolić i pokryć czarną peruką. Na biórku leżały bileciki porozrzucane, jak mi się zdawało, były od płci, którą nie wiem dlaczego piękną nazywają?..., zapewne ironicznie. Z tych biletów wnosić można było, że kawaler o którym mowa, miał dość romansów, nawet szkaradna poczwara plotka, pomiędzy swemi wielbicielami, różne o tém porozgłaszała wieści, których ja powtarzać nie będę, zwłaszcza, że wtenczas więcéj stancją zajęty byłem. Po obejrzeniu zatém tego kawalerskiego mieszkania, wyszliśmy w zamiarze szukania innego, gdyż to się Józefowi nie podobało.

— Wszakże to karta, rzekł Staś pokazując papier, a na nim znane słowa „Stancja do najęjęcia.“ Józef wnet otworzył drzwi i znów ujrzeliśmy nowe pomieszkanie.

Pokój ten był o jednem oknie które wychodziło na ulicę, przy niém siedziała młoda kobieta oparta na ręku zajęta jedynie przechodzącemi, pończocha z drutami roskosznie sobie spoczywała na jéj kolanach, a ręka muskala włosy spadające na szyję. Młoda ta kobieta tak była zajęta jakimś przedmiotem na ulicy, że nie postrzegła nas wcale, nie mogliśmy zatém dobrze jéj się przyjrzéć. W uszach miała złote kolczyki które widziałem na balu u jednéj piękności i nie wiem jakim sposobem dostały się do teraźniéjszéj swéj właścicielki. Pierścienie zdobiły jéj palce które niegdyś miały należeć do jakiegoś hrabiego i tylko za czułe spojrzenie przeszły do teraźniéjszéj ich pani. Ubrana była w suknię długą, nielitośnie zakrywającą jéj ładne nóżki, które jednakże jakby z niechcenia z pod niéj wyglądały. Biała szyjka i nieco niższe członki, piekły raki, gdyż je zbyt przezroczysta okrywała siatka, kibić ściśnięta okrutną sznurówką, tak była zajmującą, iż trudno było oko od

niéj oderwać, zgoła, młoda kobieta ubrana była jak mówią *a là mode* i wyglądała jak laleczka w żurnalu paryzkim mód wymalowana. Ciągle oparta w oknie, śledziła oczami przechodzących, czasem niezrozumiałe słówko wydobyło się z jéj ust, jak na przykład, „nie przychodzi, czy go licho trzyma? na próżno się ubrałam, co za przebrzydły i t. d.“ Wiem że gdybym mógł mówić z jéj serduszkiem, powiedziałoby mi, że młoda kobieta czeka na bogatego bankiera, że to jéj kochanek, ale że ono udziału w tém kochaniu nie ma. Spojrzenia jéj wyraźnie mówiły że ona nie lubi tych strojnych laleczek, które zapewne dla ubliżenia płci męzkiéj, mężczyznami zowią, a które nadzwyczajnie są lekkie bo często u nich i w głowie i w żołądku i w kieszeni pusto, a u niéj całą wagę czyli wartość człowieka stanowi złoto, przyzwyczaiła się od dawna kochać każdego kto je posiada. Spojrzała na mnie, ale nie długo mogła mną się zajmować gdyż moja powierzchowność nie wyglądała na to abym miał wiele złota. W tém, głośnym wykrzykiem dała poznać że postrzegła tego na którego czekała, a my nie chcąc bydź natrętnemi dla niéj gośćmi, wyszliśmy spiesznie; na schodach spotkaliśmy się z mężczyzną mającym

około lat 50, łysina jego wyglądała z pod kapelusza, a nogi szemrały że musiały dźwigać potężny brzuch, który jak pół-wysep stérczał na przód, w jednej ręce miał kij a w drugiej worek z pieniędzmi, zaledwie zbliżył się do drzwi komnaty z któréj wyszliśmy, zaraz je otworzono i zamknięto po wejściu nieznanego nam mężczyzny. Ciekawy, spojrzałem dziurką od klucza, nieszczęściem była zatkana, słyszałem tylko brzęk pieniędzy i często powtarzane słowa »O mój kochany! tu dukat brzęknął — »O mój najdroższy! znów słychać brzęk dukata — O mój w życiu najmilszy! dukat znowu dał się słyszéć i t. d. Zostawmy ich, rzekł Józef i pójdźmy jeszcze gdzie pomieszkanie obejrzéć gdyż i to mi się nie podobało. — O stancje do najęcia nie trudno, postrzegliśmy wprętce kartę wywieszoną i wstąpiliśmy... Stróż z tego domu zaprowadził nas do oficyny i wskazał stancje do najęcia — wchodzimy! — Mury kurzem kryte wyglądały tak smutno jak kamień na powązkach, na środku komnaty stało coś podobnego do stołu, ale bez jednéj nogi, a w około niego cztery brudne stołki, na nich cztery posągi ludzkie siedziały, każdy trzymał kartę w ręku i oczy miał w nią wlepione jak dwudziesto letni młodzieniec w swoję kochankę; jeden tylko z nich

przerzucał stos kart w milczeniu; kilka minut staliśmy, a wcale nas nie dostrzeżono, nareszcie wykrzyknięto: »bankier wygrywa! jeden posąg poruszył się, wyciągnął rękę i zagarnął pieniądze będące na stoliku, inne posągi sięgnęły do kieszeni i znów złoto błyszczy; po chwili milczenia powtórnie krzyknięto: »bankier wygrywa!« i tak daléj, aż przy końcu złotym zegarkiem damie winnéj zakryto oczy, bo była bardzo skromna, i w takiém położeniu zostawała dopóki bankier nie schował zegarka do kieszeni. Kolczyki drugiego ponitera, które tylko co kupił dla żony na imieniny i niósł właśnie do domu, poszły za zegarkiem i widziano je późniéj w uszach kochanki bankiera. Jeden tylko poniter, jak mówią, dotrzymywał placu; dukaty ciągłą u niego odbywały podróż. najprzód z kassy do jego kieszeni (gdyż to był koniec miesiąca) z kieszeni na stół, a ze stołu do kieszeni bankiera; żona tego ponitera, od tygodnia zaciąga długi na wyżywienie siebie i dzieci czeka z upragnieniem pierwszego, aby pensją męża zaspokoić dokuczających dłużników i sprawić sobie świéży kapelusz i suknię; zapewne bardzo płakała gdy jéj mąż powrócił do domu a za napomnienie odebrała od niego nie bardzo przyjemne podziękowanie.

— Wyjdźmy ztąd prędzéj, rzekł Józef.

— Widziałeś jak palce bankiera prędko uwijały się? rzekł Staś. — Nie ledwiebym się założył, że karty zawsze są posłuszne jego rozkazom.

Weszliśmy znowu do innéj stancji, nędznie umeblowanéj, w niéj człowiek małego wrostu udawał zamyślonego, lub też nim był istotnie, ubrany w szlafrok dziurawy, jedną ręką przebierał palcami na leżącéj przy nim gazecie, drugą machinalnie chwytał, maczał i znowu kładł pióro. Widząc ogromne stosy papieru, tu i owdzie książki, niezliczoną liczbę piór w nieporządku leżących, mappy poprzylepiane na ścianie, cerkle, linje, globy i t. p. pomyślał by kto że ten człowiek chce wynaleźć kwadraturę koła, ale bardzo by się omylił. Ogromne stosy papieru są to stare gazety, porozrzucane książki, dawne i zapomniane poezje, które ten mędrzec nielitościwie czasem nicuje, odnawia i za własne drukuje, niezliczona liczba piór, dla tego aby pomyślano że tak wiele ma do pisania, mappy aby wiedział którędy się jedzie z Warszawy do Łowicza, cerklem fajkę wyskrobuje, linją poprawia w piecu, a na globie kapelusz wiesza, słowem, jest to terminator w cechu recenzentów, właśnie teraz myśli jakby wyszydzić aktora, który mu na wczorajsze wido-

wisko po przyjacielsku ofiarował bilet; i ma nad czém myśléć; albowiem, wszystkie jego recenzje smutnego doznały losu; jednych nie chciała przyjąć żadna redakcja a na inne za surowo mu odpisano. Mimo tego, można go zwać wielkim człowiekiem w innym rodzaju. Nie ma dobrego śniadania, obiadu. wieczoru, aby się tam nie znajdował, o wszystkiém mowi, chociaż nic nie zna, wszystkich straszy Laharpem, którego nie czytał, był za granicą, ale na mappie, chodził do uniwersytetu, ale tylko na przechadzkę; słowem, jest to prawdziwy tegoczesny recenzent.—Zejdźmy o piętro niżéj, jest i tam stancja do najęcia.—Wchodzimy — przy stoliku siedzi człowiek z krédką w ręku, przed nim leży kurjer, miejsce jedno podkréślone czerwonym ołówkiem, gdzie było doniesienie o entrepryzie, a nasz nowy znajomy wylicza już korzyści jakie z niéj mieć może, skończywszy swoj rachunek, wziął się do czytania kurjera, kilka razy zaczynał i przestawał, i znowu liczył.

Całe jego pomieszkanie było napełnione różnego rodzaju sukniami, pomiędzy wielu poznałem kilka, jednę widziałem w Saskim ogrodzie przechadzającą się dumnie, teraz, kiedy deszcze nastały, poszła do schowania spekulanta, druga tańczyła na balu i

nawetbyła jedną z pięknych, bal się skończył, a że się bardzo zmęczyła, wypoczywa teraz i poddaje się chętnie swemu losowi, trzeci był surdut za który podobno jeszcze nie zapłacono krawcowi; biedak, zakurzony, jakże musi mu być przykro!.. reszty sukien nie przypominam sobie. Nasz spekulant z uwagę przypatrywał się swoim sprzętom i do każdego poprzylepiał kartki, co ma na nim zyskać. Kto jest ten spekulant?.. nie wiem, uczyniłem tylko dostrzeżenie, że włosy na czubku głowy ułożone są gładko, a nad uszami kręcą się w strąki, ma to być skutkiem dawnego przyzwyczaienia i lubo zadowolnione ze swego teraźniéjszego stanu, żałują jednak, że się rozstały ze swoją przyjaciółką krymką, do któréj od kolébki nawykły.,

— I tu nie chcę mieszkać rzekł Józef, i weszliśmy do innéj stancji, złożonéj z kilku pokoi; w pierwszym nie było nikogo, a w drugim jak można się było domyśléć, matka z córką toczyły następującą rozmowę: — «Trzymaj się prosto, chód niech będzie umiarkowany, lecz nie zbyt poważny; jeżeli ci mężczyna mówi o miłości, spuść oczy i staraj się zarumienić, gdy cię całuje w rękę, ściśnij go zlekka, aby go więcéj do siebie przynęcić, rozumiesz?.. Dobrze mamo.—Możesz

czasem powiedzieć jakie przyjemne słówko mężczyznie, zwłaszcza kiedy bogaty, aby go pogłaskać w sercu, a jeżeli bardzo majętny i będzie ci oświadczał miłość, możesz go o wzajemności upewnić, lecz to zawsze w sposób nie śmiały. Naprzykład, temu hrabiemu co był przed tygodniem, za nadto prędko powiedziałaś, że go kochasz, pośpiech podobny często kobiécie zaszkodzi. Jak idziesz przez ulicę, gdy który mężczyzna chce ci pod kapelusz zajrzéć, odwróć się w inną stronę, lub spuść oczy w ziemię. Za każdém słówkiem młoda panna powtarzała: »dobrze, mamo.« Staś zapewniał że poznaje te dwie osoby po głosie, zbliżył się nieznacznie do drzwi i powiedział że to jest pani M** i jéj córka, są one uważane za bardzo skromne kobiéty; pani M** za dobrą matkę, a jéj córka za wzór cnoty i nikt im nic nie mógł zarzucić. — Te pokoje dla mnie są za drogie rzekł Józef, trzeba innych poszukać, ale że już była godzina obiadowa, rozeszliśmy się, przyrzekłszy zejść się wieczorem, na kolacji u Winena.

DOLINA

NIEZEPSUTYCH LUDZI.

Lord Barrumpy był odludkiem pierwszego rzędu. Przyjaciele jego oszukali go, kochanka zdradziła, cały świat był mu nieprzyjazny; on przynajmniéj tak sobie wyobrażał., i unikał wszelkich zbliżań jak trucizny i zarazy.

Spleen szlachetnego lorda, był raczéj słabością wyobraźni nie zaś uczuć jego; dla tego często spodlądał z okien swoich na ląd i morze, upatrując w odległości tego, co w Europie zdawało mu się zupełnie straconém, to jest miłości i ufności wzajemnéj między ludźmi.

Szczególniéj wschód, odziany tajemniczą, bajeczną zasłoną mistyczności, tak wabiący świeżością poranku, upałem, palmami i wielbłądami, pustyniami i zawsze kwitnącą płodnością ziemi, najbardziej zwracał jego uwagę. Tam w kolebce ludzi, spodziewał się znaleść pierwotną ich

niewinność i po krótkim namyśle postanowił tam się udać, i dopóty w najodleglejszych zakątach téj ogromnéj części ziemi przebywać, dopóki nie uda mu się dopełnić missji którą sam sobie naznaczył.

— Rob! zamów dla nas konie pocztowe!

— Dokąd pojedziemy, Mylordzie!

— Tymczasowo do Stambułu!

— A potém?

— Na koniec świata, jeśli tego będzie potrzeba! Bądź zupełnie gotów na godzinę szóstą zrana.

Angielski lord udaje się w podróż do Stambułu, z taką krwią zimną, z jaką my naprzykład wypijamy filiżankę kawy, albo gramy partją w domino. Nazajutrz, o naznaczonéj godzinie, stolica wielkiéj Brytańji miała jednego mniéj kaprysnego lorda, i nudnego służącego. Przybyli do Konstantynopola, przebiegli Azję mniéjszą, wędrowali w Syrji, ale nigdzie nie udało im się znaleść to, czego tak gorliwie szukali; człowieka nie zepsutego.

Zwrócili się zatém ku Persji; Turcy zdawali się lordowi nadto grubjańskiemi, ociężałemi, nie mogli mu zatém przedstawiać nadziei szczęśliwego skutku jego poszukiwań, i zdawało mu się

że większa rękojmią dopięcia jego celu, przedstawia mu lud Perski, delikatniéjszy i żywszy.

Już na ziemi perskiéj, ale nie daleko od granicy, zatrzymali się. Była to okolica, którą przyrodzenie obdarzyło najbogatszemi ozdobami z swego skarbcu. Niebotyczne, błękitne góry jaśniały jak naszyjnik szafirów, niebo promieniowało na nie, jak wesoły turkus, a perliste wody goniły się żartobliwie w nieskończonych zielonych wałach. Wspaniałość tego miejsca nęciła do siebie lorda, i często z chatki którą najął, i zamieszkiwał z swoim służącym, nieraz na kilka godzin a nawet na cały dzień, wycieczki czynił w głąb kraju.

Służący odludka, do tego jeszcze lorda, wiele ma sposobności uczenia się praktycznie psychologji, bo skrytość jego pana przymusza go do zaostrzania swoich dostrzeżeń ile możności jak najbardziéj, i Rob tyle miał już pod tym względem doświadczenia, iż bez trudu dostrzegał jak dalece twarz lorda coraz bardziéj wyjaśniała się i wypogadzała, a ztąd wniósł, iż pan jego musiał znaleść przedmiot zdolny zachwiać jego antytowarzyskie skłonności. Ale

był on i wsztuce milczenia wyćwiczony, dla tego nigdy nie wystąpił do lorda z pytaniem względem jego dziwnych wycieczek.

W ten sposób upłynęło około siedmiu tygodni; aż nakoniec mylord, sam nie czekając zapytania, dobrowolnie zdał swemu służącemu sprawę z swoich postępków.

— Rob! wiesz ty że jestem już u celu?

— Nic nie wiem Mylordzie!

— O dwie godziny drogi od naszéj chatki, w górach, znalazłem parów; tam znajduje się mała wioska, tak ukryta, tak nieznana, iż rzadko kiedy podróżni i wielblądy tam zabłądzą; w téj wiosce, mieszkają najlepsi, najszlachetniéjsi ludzie z całego świata. Ich serca są czyste jak rosa poranna; nie znają oni falszu, ani postępu, i żyją wprawdzie nędznie, ale wesoło i spokojnie. Musisz ich poznać! Tam jest stary Hamet, szanowny starzec z dużą siwą brodą, prawdziwie klassyczna postać; to godne jest podziwienia, patrzéć, jak ten szlachetny człowiek słowem i przykładem, radą i uczynkiem, kieruje sprawami gminy; jak nieustannie każdemu mądrych i zbawiennych nauk udziela, i z jaką bystrością rozsądku o każdéj zupełnie nieznanéj sobie okoliczności sądzi; a jego córka, miła Haikam! Jes

to ideał kobiéty, tak piękna, miła i cnotliwa razem. Obok naszych najprzyjemniejszych mylady, wyglądałaby jak najpysznéjsza chińska herbata obok rumianku. I jéj narzeczony Alibab, dzielny chłopiec, godzien zazdrości że ma posiąść taką perłę!

— Oh! Mylord coś bardzo się unosi?

— Dziś jeszcze pójdziesz zemną, i sam się przekonasz, że mam zupełnie słuszność. Tam wybuduję sobie chatkę! Tam, w pośród spokojnéj, niepozornéj doliny, gdzie tylko niezepsute serca mieszkają, chcę strawić ostatnie dni mego życia.

Rob widział, że to musiało być coś nadzwyczajnego, co jego, zawsze tak jak kamień zimnego pana, do tego stopnia zajęło; i poszedł za nim.

Długo szli nad brzegiem małego strumienia, aż nakoniec doszli do owego parowu. Leżał on tam zupełnie gdzie się góry zaczynają wznosić, ale tak ukryty, tak niedostrzeżony, jak westchnienie w piersiach tajemnie kochającéj dziewicy. Ale ciemne góry spoglądały jak groźni strażnicy na wioskę, leżącą jak łama na zielonéj murawie. Wszystko było tak wzniosłe i upajające

w téj dolinie, że nawet Rob niemógł się oprzéć poetyczno-głębokiemu wstrząśnieniu.

— Tutaj jest chatka szanownego Hamet! zawołał lord. On sam stoi w pośrodku swoich, zapewne wykładając im jakie zdanie z Koranu.

Lecz kiedy obadwaj zbliżyli się, jakaż scena przedstawiła się ich oczom! Stary, szanowny srebrno-brody Hamet, z ustami mądrość siejącemi, upojony był winem, zacierał ręce, rozprawiał wesoło, i chwiał się komicznie w tę i ową stronę, tak że nieraz otaczający go wieśniacy głośno się rozśmieli. Nie daleko od niego, stał z zmarzczoném czołem, ale śmiało spoglądając i jak się zdawało na coś niebezpiecznego przygotowany Alibab. W téj saméj chwili ruszył z miéjsca wielbląd, na którym siedziała gestą zasłoną pokryta kobiéta; była to Haikam. Zdawała się być głęboko zasmuconą, i obfite łzy wylewała. Zobaczywszy lorda, rzuciła nań z nieskończenie bolesnym wyrazem, spojrzenie pożegnania.

— Co to znaczy! zawołał lord prawie przerażony. Co się tu stało? Powiedz starcze, dokąd udaje się Haikam, twoja córka?

— Łaska proroka rozciągnęła się nad nią, bąknął stary; widzisz tych czarnych z dobytemi bulatami? Oni mi dali złota, dużo złota,

sześć, siedm, ośm garści złota. I teraz zawiozą ją do Ispahan, do seraju Szacha! Mnie, dali przewybornego napoju, który mię wesołością napełnił! Daléj! niech zabrzmią okrzyki wesela! Po tych słowach upadł na ręce najbliżéj stojącego, nie mogąc się na nogach utrzymać.

— To niepodobna! zawołał lord. Alibab, ty kochasz twoję Haikam, i możesz na to zezwolić?

— Cóż to ciebie obchodzi, odpowiedział dumnie młodzieniec. Dla czego się mięszasz do naszych spraw i nasze czynności naganiasz? któż ci nadał władzę Kadego?

— Daj mu pokój! mruknął któryś z wieśniaków. Alibab także jedzie do Jspahan, jako ochotnik do straży przybocznéj Szacha; naczelnik murzynów wziął go w swoję opiekę; ale sądzę że nie tak prędko byłby tego stopnia dostąpił, gdyby nie Haikam.

Zgaduję! krzyknął lord. Biedna! ma zostać ofiarą ukartowanego podstępu. Szczęściem całego życia i rozdartém sercem ma płacić za zdradę swego kochanka i bezrozumną słabość tego starca! Nie pozwolę na to! Daléj tu do mnie dzielni chłopcy, pomóżcie mi wydrzeć ją z pazurów tych zbójców.

Precz niewierny! krzyknął Alibab, i z dobytym kindżałem rzucił się pomiędzy Anglika i tłum, który w oka mgnieniu rozproszył się.

Lord skamieniał prawie z podziwienia i gniewu. Świta czarnych wyruszyła, mając wpośrodku rozpaczającą Haikam, a za niemi poszedł Alibab, z spuszczoną głową, ale mocnym i pewnym krokiem.

CUDOWNY RATUNEK.

Jan Fryderyk Mehlin, mieszczanin z Badenweiler, i ojciec liczněj rodziny, został we czwartek, d. 3 Lipca 1824 roku, wysłany z swego rodzinnego miasta aby jak najspieszniéj do Staufen bardzo pilny list zaniósł. Było to wieczorem, między 8mą i 9tą godziną; do Staufen było około trzech godzin drogi, częścią przez doliny i wzgórki, częścią przez gęsty lasek. Zważając

na tę odległość, mniemano, że powróci z rana nazajutrz, ale i na obiad, i przez cały dzień, napróżno go oczekiwano. Smutek i trwoga ogarnęły całą jego rodzinę, szczególniéj kiedy po długiém oczekiwaniu, zamiast ojca, przyszedł posłaniec z Staufen, z doniesieniem że ani listu ani człowieka z Badenweiler nie było. Jan Mehlin uważany był za bardzo uczciwego i porządnego człowieka, nie można było zatem pomyśléć, że się gdzie w karczmie zabałamucił. Prócz tego, wyszedł z domu zupełnie trzeźwy i przy zdrowych zmysłach. Jedna więc tylko okropna myśl, rozdzierała serca jego żony i dzieci, to jest, że został zapewne w lesie zamordowany.

Już trzy noce przeszły, już rodzina Jana bliską była ostatecznéj rozpaczy. Wtém, w sercu jednego człowieka, jakby za boskiém natchnieniem, powstała nowa myśl; przypomniał sobie przepaść przed dawnym bardzo czasem wykopaną głęboką na 84 a szeroką w górze 14 a u dołu 6 stóp, która w koło otoczona była krzaczkami i mchem. Konrad Carrer, mieszczanin w Badenweiler, był ten, któremu przyszło na myśl, iż może nieszczęśliwy Mehlin wpadł w owę przepaść.

Własnie mając iść za interessem do Staufen, postanowił dłuższą udać się drogą przez las i

zobaczyć ową okropną przepaść; dwakroć jednak bliskim był odstąpienia swego zamiaru, pomyślawszy iż ta przepaść zbyt jest odległa od drogi, środkiem lasu prowadzącéj, i że chociażby istotnie nieszczęśliwy wpadł w nią, niepodobném prawie byłoby znalezienie go, a nie dopiero ocalenie. Już też istotnie udał się zwyczajną drogą, kiedy po trzeci raz wpadła mu na myśl okropna głębia przepaści, i napełniła umysł jego niespokojnością. Jakby święte natchnienie z nieba, szeptało mu coś w sercu, żeby nie szedł daléj rozpoczętą drogę, ale zwrócił się w stronę, na ową leśną ścieszkę.

Z niespokojném sercem przybył blisko przepaści i zaraz na jéj brzegu dostrzegł miejsce gdzie oderwała się mchem porosła ziemia, to zdawało mu się znakiem, że tutaj ktoś wpadł w otchłań, i chociaż chwiejąc się między nadzieją i obawą, nie wiedząc, czy, jeśliby nieszczęśliwy znajdował się w otchłani, ma się cieszyć lub smucić, przystąpił bliżéj, ile możności nad sam okropny brzeg. Z trwogą słuchał czynie usłyszy odgłosu jakiego szelestu; potém wziął mały kamyk i rzucił go w głębią. W tedy usłyszał stłumione głosy wychodzące z otchłani;

głośno zapytał, kto się tam znajduje. Z drżącém sercem usłyszał odpowiedź: Jan Fryderyk Mehlin z Badenweiler.

Ten nieszczęśliwy doszedł był już do Sulzburg' stąd obrał drogę przez las prowadzącą i zapewne dla skrócenia jéj opuścił zwykłą ścieszkę. Nie wiedząc o owéj przepaści, tém bardziéj że już dość ciemna noc zapadła, spiesząc się aby prędko list oddać, za nadto blisko nad brzeg otchłani przyszedł i wpadł w nią, w tém samém miejscu gdzie ziemia była oberwana. Trzy noce i prawie trzy dni tam przepędził, bo już była trzecia godzina po południu, kiedy mu niespodziany ratunek nadszedł. Prawdopodobnie wstrząśnienie odebrało mu przytomność; bo jak sam sobie przypominał, długo leżał w głębokim śnie, i kilkakrotnie zbudziwszy się znów wpadał w zupełne omdlenie, nie wiedział nawet że już blisko trzy doby przepędził w tém okropném miejscu. Kiedy nakoniec odzyskał zmysły, łatwo się domyśléć, że go okropna rozpacz ogarnęła. Przerażająco ciemna była przepaść, otoczona zimnemi; gładkiemi skałami. W tém położeniu smutném, zebrał jeszcze raz wszystkie siły i wdrapał się w górę po drągu, który się przypad-

kiem znajdował w przepaści, ale wkrótce napowrót zeszedł, nie znalazł bowiem nigdzie miejsca gdzieby mógł zatrzymać się, wciągnąć za sobą drąg i znowu wyżéj postąpić. Prócz obawy śmierci, dręczyło go okropne pragnienie, którego nie mógł niczém zaspokoić, Wołał kilkakrotnie o pomoc, ale nikt mu nie odpowiadał. Możnaż się dziwić iż w téj chwili przeklinał dzień w którym na świat przyszedł? — Już uchwycił nóż aby się zabić; ale nagle wspomniał na swoję żonę i dzieci „Wytrwam rzekł sam do siebie, będę czekał!“ Z tym zamiarem znużony i osłabły położył się na piasku.

Wtedy, jednym razem, kamyk rzucony ręką zbawcy upadł blisko niego, i głos ludzki, jakby głos Anioła, zabrzmiał w jego duszy. Jak najprędzéj pobiegł teraz Carrer do najbliższéj wioski, donosząc, że Mehlin o którym powszechnie mniemano, że umarł, znajduje się żywy w przepaści. Mnóstwo ludzi pobiegło na miejsce, z drabiną o trzydziestu szczeblach, do któréj przywiązano mocną, długą linę. Wpuszczono drabinę w przepaść. Najprzód spuścił się tamże śmiały młody człowiek. Podał on osłabłemu biedakowi pokrzepiający napój

potém przywiązał go do drabiny i z niebezpieczeństwem życia, wydostał się po sznurze na wierzch. Wyciągnięto ostrożnie drabinę, do któréj nieszczęśliwy był przywiązany. Któż opisze tę chwilę, kiedy ocalony Mehlin stanął na bezpiecznéj ziemi, i do otaczających go te pierwsze wyrazy wymówił: Co się dzieje z moją żoną i dziećmi? — i jak ucieszyła rodzinę jego wesoła wiadomość, że ojciec ich żyje i że go wkrótce zobaczą; to człowiek może uczuć, ale nie opisać

Cały ten przypadek z powodu dziwnych, połączonych z nim okoliczności, za cud prawie uważanym być może. Już to samo, że człowiek spadł z wysokości 84 stóp, nie poniosłszy nawet lekkiéj rany na ciele i że przepędziwszy trzy dni i tyleż nocy, w głębi napełnionéj nie zdrowemi wyziewami, wyszedł z niéj następnie prawie zupełnie zdrów, bo tylko fizycznie osłabiony niedostatkiem posiłku i trwogą, jest nadzwyczajném i prawie nie podobném do wiary.

Przydajmy, do tego, jak nagle i w samą porę przyszła wybawcy myśl o téj okropnéj przepaści a uznamy zbieg okoliczności jeszcze] dziwniejszym. Że Mehlin spadając utracił przytomność, to było dla niego dobrodziejstwem nie zaś nieszczęściem, bo większą cześć tych trzech dni któ-

reby mu się zdawały wiekami, przepędził w zupełnéj bezwładności i braku czucia. Ale że wybawcy nie przyszło na myśl, nazajutrz zaraz po zniknięciu Mehlina szukać go w owéj przepaśc w którym to razie nie byłby otrzymał odpowiedzi od leżącego bez zmysłów, i zwątpiłby o pobycie tam jego, a przynajmniéj o życiu, to naprowadza nas koniecznie na myśł o cudownéj ręce wszystko widzącego i kierującego STWÓRCY.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

Półrocze drugie.